LAMUS

JESIEŃ 1910
ZESZYT ÓSMY
T. II. Z. 4.



Je me vante que ſur la terre,
Je fais multiplier le fruit,
Qui par les Arbres est produit,
Et que le Laboureur reſserre.

L'AVTOMNE.

Qu'Apollon garde ſa Maiſtreſse:
Je n'enuie point ſou Amour
Puis que Bacchus me fait la cour.
Et que Pomone me careſse

J. falck fecit

le Blond le jeune excud demeurant ſur le pont N. Dame a lenſeigne du Pelican. Auec Priuilege du Roy.

TREŚĆ ZESZYTU ÓSMEGO.

Treść szczegółowa rocznika 1910 „Lamusa", jakoteż przypomnienie treści rocznika 1909 umieszczono przy końcu tekstu.

Lamus wychodzi cztery razy do roku w zeszytach objętości łącznej około 40 arkuszy druku. Każdy zeszyt zawiera kilka plansz jedno- lub wielobarwnych. Prenumerata wynosi rocznie: w Galicyi K. 12·—, w Wielkiem Księztwie Poznańskiem M. 10·50, w Królestwie Polskiem R. 5·—. Cena każdego zeszytu oddzielnie K. 4·—, M. 3·40, R. 1·60.

Rocznik trzeci „Lamusa" wychodzić będzie w sześciu zeszytach do roku. (Zapowiedź na końcu tekstu). Prenumerata na rocznik III. wynosi K 20.

*REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI, LWÓW, SENATORSKA L. 4. * WŁASNOŚĆ REDAKCYI.*

*NAKŁADEM A. ALTENBERGA I J. MORTKOWICZA * SKŁADY GŁÓWNE: ALTENBERG LWÓW. CENTNERSZWER WARSZAWA.*

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

Część pierwsza — Dzisiaj.

W cieniu miecza.

FALANGA TRAGICZNA.

I.

Nam, którym codzień białą skroń całuje duma,
A oddal tajna dała źrenice jastrzębie,
Bratem jest bój zdobywczy, a siostrą śmierć-kuma.

Nadzy, miecz niesiem w dłoni, bo tarcze na dębie
Zawiesiliśmy świętym, wraz z wiecznymi śluby,
Że będziem znali jeno dal, szczyty i głębie.

Włos bez hełmu nam stroi dąb w zielone chluby.
Z mieczami w prawej, w szereg wiążem się w pochody,
W lewych dzierżąc prawice braci za przeguby.

Prócz własnej krwi czerwonej niemasz nam nagrody
I niema zadowoleń nam z czynów tysięcy
I nie cieszą nas żadne zwycięskie zawody:

Bo najmniej, co nam wolno uczynić, jest: Więcej!

II.

Skoro brat nowy wstąpi w nasz bitewny szereg,
Przynosi tarczę z sobą, którą jego ręka
Sama wykuła w spiżu bez skaz i usterek.

A jako że niegodzien wroga, kto się lęka,
Budzim brata w noc ze snu, cisnąwszy w tarcz krzemień,
Że kruszec gromkiem echem, jak twardy grzmot, szczęka.

Brat zaś, li miecz chwyciwszy, bez trwogi oniemień,
Bez zwłoki mknie, rzucając tarcz tkniętą z omacka:
Bo wprzód mu odwiązaliśmy u tarczy rzemień.

I krzykiem budzim wroga, aby nie znienacka
We śnie nań spaść, lecz dumnie, otwarcie, wśród jawy.
Gdyż im sławniej się broni moc wroga junacka,

Tem piękniej też pracuje i dla naszej sławy.

III.

Świat i my: wzniosła zdobycz i śmiali zaborce!
Tę świetną zaoraliśmy sobie dzielnicę,
Z wolą i dumą w pługu: wołami w tej orce.

Lecz jeśli zakreśliliśmy sobie granice,
To jeno by je ciągle przekraczać zuchwale,
Lecąc duchem nad gwiazdy i snów tajemnice:

Dla czystej, pięknie dobrej walki, nie ku chwale
Której czar nawet serca tchórzów k'czynom mami.
Czynów naszych nikt nie śmie ryć dłutem na skale.

Sławą darzyć się możem jeno w sobie, sami,
Gardząc marną posągu żądzą i oklasku.
Nie wymawiamy nigdy swych imion ustami.

W nocy jeno nam wolno pisać je na piasku.

IV.

Nie w zasługę idziemy! Sędziwa zasługa
Nie podźwiga już miecza, co dał młode czyny.
Dla żagli nie stworzona przystań, lecz żegluga.

Nie po zdobycz! Szlachetny bój nam cel jedyny.
Kto żądzą łupu śmiały, jest dla nas przedajny,
Lub kogo pewny wynik gna w bój, czy wawrzyny.

Idziem na nieodpłatny i na śmierciodajny
Szał walki, trzaskać wraże oporów przyłbice,
Bo nawet nie po Prawdę, choć ku Prawdzie tajnej.

Bezkorzystni, jak szczyty i jak błyskawice,
Oddajem za nią śmierci ziemską ciał ulepę:
Choć wiemy, że i orły prosto w słońca lice

Patrzeć mogą dopiero, gdy stare i ślepe.

V.

Bym nie łudził się, co mnie czeka nieodzownie
Za życia bohaterski szał w wiecznym rozpędzie,
Chowam, jak bracia moi, kielich, głaz i głownię.

Kroczę z nimi nad morze w pochodu obrzędzie,
Gdzie, kruż nalawszy winem, mówię dłoni: „Wylej!“
Rozrzutne, jak ten puhar, życie moje będzie.

Potem ochrzciwszy kamień imieniem swem, milej
Brzmiącem niegdyś mej matce, niż śpiew, jak z cięciwy
W toń rzucam go. Dać wszystko, wziąć nic: mój przywilej.

I zatknąwszy na brzegu głownię, w żar ją żywy
Rozpalam u fal skraju tańczących z szelestem.
W nocy morze ją zgasi szumnymi przypływy,

A rano martwy węgiel powie mi, czem jestem.

VI.

Gdy po dniu twardym błysną ciche gwiazdy w złocie,
A piersi się westchnieniem głębokiem rozszerzą,
Snów poddawać nie wolno nam szczęścia tęsknocie.

Nic dla nas! Nas godziny żadne nie sprzymierzą
Z miłowaniem przesłodkiem, jako miód w pasiece.
By pomnieć to, dzierżymy w ustach różę świeżą:

Niby ów pocałunek, którego kobiece
Usta nigdy nie złożą na krwawej, jak róża,
Ranie w piersi płonącej w przedśmiertnych chwil spiece.

I kiedy w noc wiosenną, co myśli odurza
Winem marzenia, czoła płoną gwiazd ekstazą:
Dłoń nasza, której szczęścia nie znaczona kruża,

Ciśnie do skroni miecza zimnego żelazo.

VII.

Niecierpliwego serca nieukojny wrzątek
Budzi nas świtem: okiem wodzimy dokoła
Szukając, kędy czynu nowego początek.

Bo powietrzem płuc naszych trudy i mozoła
I wiecznie nam wysiłku i prześcigów trzeba
Z ucieczką szczytów w błękit i z skrzydłem sokoła.

Z niebezpiecznego jeno umiemy żyć chleba,
Wieczyście niegotowi i sobie wyprzedni,
Jako dojrzewająca jest młodość efeba.

Pniem się wzwyż po granitach i po gołoledni
Lub dłonie nam od wioseł twardnieją modzelą.
Nie znamy wczasu. Każdy nam dzień jest powszedni.

Dzielnym śmierć jest dopiero świętem i niedzielą.

VIII.

Iżby życie waleczne, które jest jedynem,
Było nam droższe, niźli najsłodsza biesiada:
Zaprawiamy je myślą o śmierci, jak winem.

Za nami, idącymi ku słońcu, cień pada
I kładzie się na ziemię, jak i my polężem.
Cudne to upomnienie słoneczne i rada:

Że niema dnia dla męża, kiedy nie był mężem
I mieczem nie wykuwał go w walki gorącu.
Jeno tak blasku chwały bez cienia dosiężem.

Tem bujniej żyć chce w walce, kto myśli o końcu.
A im dzielniej go bitwy święty żar rozpali,
Tem młodszy i piękniejszy straci swój cień w słońcu,

Gdy śmierć w południu życia na wznak go powali.

IX.

Najwyższy był z nas czołem brat, który padł wczora
Na wznak rozkrzyżowawszy szeroko ramiona,
Jakby w uścisk chciał gwiezdne wziąć niebo wieczora.

Młodych kędziorów pełne, fijołkowe grona
Ocieniały mu czoło, mędrsze od czół braci,
Jako od świtu głębszy jest wieczór, co kona.

I gdyśmy go żegnali, skłoniwszy postaci,
Ust jego, co nam słowa mówiły najmędrsze,
Nie tknęliśmy, jak czyni brat, gdy brata traci;

Ani czoła, co snami sięgało w nieb wnętrze,
Wsparte o gwiazdy lśniące iskrami złotemi.
Całowaliśmy stopy mu, od czoła świętsze,

Bowiem się opierały na najświętszej ziemi.

X.

Gdy brat nam padnie w boju, gałęźmi oliwy
Nieranne z tyłu ciało skrywamy, gdzie padło,
By nie patrzył na martwą śmierć krąg słońca żywy.

Potem, zwłoki spowiwszy w białe prześcieradło,
Niesiem je ciemną nocą do najdalszej groty,
By jutro i wspomnienie miejsca nie odgadło.

I wzniesiony stos zlawszy winem starej cnoty,
Ubrawszy trupa kwieciem, rozpalamy smolną
Pochodnią, odwróciwszy twarze, pożar złoty.

I odtąd już nam, żywym, odwiedzać nie wolno
Ani pamiątać grobu. Jeno cyprys świeży,
Zasadzony przed brata przystanią padolną,

Wskazuje słońcu cieniem swym, gdzie brat nasz leży.

PRÓBA SILNYCH

I my, nim w bój wylecim, na kształt rojów pszczelich,
Po miód śmierci na kwiecia krwawego kobierce,
Idziemy nad brzeg morza, na fale w rozterce
Spokojnem patrzeć okiem, na spienioną biel ich.

I wsparci na płomiennych mieczach archanielich,
Snów ogromnych i ogni słonecznych wydzierce,
Zapraszamy na ucztę nasze dzielne serce,
By w ręce Morza wypić złoty wina kielich.

Ale jest wino nasze straszne i okrutne!
Nie jak to, co podnietą oszałamia smutne
Serca w niebezpieczeństwie przepaści i zguby.

I trzeba mieć dłań głowę tęgą, wielkiej próby,
Bo przed walką o cudy wśród gróz i przerażeń
Otrzeźwia, odbierając czar ułud i marzeń.

LEOPOLD STAFF.

Ofiarnicy.

Jefte, syn Emanuelowy, ocknął się z drzemki, podniósł bezładnie rozburzoną głowę i oczyma, pełnemi jeszcze snu, wodził nieprzytomnie po izbie, łagodnie jasnej od błękitnych odbić czystego nieba i złotawych refleksów zieleni sadu zalanego upalnem słońcem letniego popołudnia. Trzepocąc sennie powiekami, błądził spojrzeniem po czysto obielonych ścianach, lecz po chwili znów głowa opadła mu gnuśnie na posłanie. Wtopionego w półsenną jawę kołysały przytulnie gospodarskie gdakania kur, zmieszane z kochliwem gruchaniem gołębi. Niekiedy od pobliskich winnic przywiewał wiatr przytłumione głosy pracujących najemników, a od pastwisk beczenie kóz i owiec, i głuche, przeciągłe ryki bydła. Za oknem, w sadzie, szeleściły słodko liście oliwek, drzew cytrynowych, granatów i fig, wstrząsanych lekkim podmuchem od Libanu, czasem spadający owoc jabłoni uderzył głucho o miękką ziemię.

Drzemiący zawarł twardo powieki, jak gdyby pragnął znowuż zapaść w sen; przed zamkniętemi oczyma migały mu szare, okolnym dniem przejaśnione plamy i przeganiały precz senność. Zwlókł się tedy ciężko z rozkopanego posłania i, usiadłszy na ławie, zatopił twarz w dłoniach. Lecz każde włókno rozprężało się w nim ku gwałtownemu wybuchowi, jak zgięta w dłoniach stal. Zaciął szczęki i porwał się dziko, a na grube usta spłynął mu gorzki grymas bezsilności, wraz z wymyślnie brutalną klątwą, którą cisnął nagle krótkim, gardłowym bulkotem.

Wyszedł z izby i, stając w progu, patrzył tępo przed siebie: w słońcu drżały złotem prześwietlone plamki roju komarów, a na środku dziedzińca pstra gromada kur, skupiona bezładnie wokół rozsypanych ziaren kukurydzy i owsa, pilnie i z pośpiechem tłukła dziobami w ziemię, walcząc niekiedy ze sobą w zawistnem łakomstwie wśród krótkich, wrogich pokrzyków. Zmie-

szane z niemi krzątały się czerwononogie, schludne gołębie i przelewnie niezdarne kaczki, a z dala od gromady drobiu ostrożnie i chyłkiem poskakiwała ku jadłu hałaśliwa banda wróbli. Za podworcem wgłębiał się sad, ciężki od soczystej i cierpkiej nadziei bogatego zbioru; gięły się pod brzemieniem dojrzewających owoców splątane gałęzie niskich drzew, których pnie świeciły resztkami wapna, spłukanego już w części wilgocią.

Jefte, z utkwionemi przed siebie nieruchomo oczyma, z ociągliwem zapamiętaniem jasnowidza, ruszył ku ostrokołowi. Z świstem skrzydeł wzbił się płochliwy obłok gołębi i wróbli, a potem opadł płynnie na dachy chaty, obory i stodoły. Jefte doszedł do kamiennego płotu, okalającego obejście, i patrzył na spalone trawy pastwiska, ubielonego stadami żerujących gęsi i barwnemi plamami przeżuwających w słońcu krów. Gdzieś nad parowem postrumiennym dymiło bezświetlne w blaskach słońca ognisko; na lewo rozciągały się karne szyki winnic, a w prawo orne pola, żółte od dojrzewającego owsa i ściernisk po zżętej pszenicy: stamtąd dolatał uszu Jeftego dźwięczny brzęk kos i zgodny śpiew pełni, nucony przez żniwiarzy, upojonych rozumnie pewnym i na duchu podnoszącym rytmem wspólnej pracy. Jefte dłonią przysłonił od blasku zmrużone oczy i patrzył tam długo wytężonym wzrokiem; a potem, oderwawszy spojrzenie od pilnej gromady żniwiarzy, zawisł oczyma w bezkresnej dali gościńca, wysadzanego strzępiastymi wiechciami akacyi. Po chwili bezruchu machnął beznadziejnie ręką i zawrócił ku dziedzińcowi. Siadł w cieniu na klocu do rąbania drewien, oparł się plecami o ścianę chaty, wyciągnął nogi daleko przed siebie i, splótłszy piegowate dłonie na karku, wplątał się oczyma w głąb sadu. Męczyły go myśli owiane mętem. Dziwiło go teraz to, o czem już wiedział przedtem. Nie sen, nie sen! Niczego mu oczy nie skłamały! — Oparł łokcie na kolanach, a palce wtopił w rozburzone włosy z jakiemś dzikiem łakomstwem. Omotała go znów bezduszna tępota: niewidzącemi oczyma wpatrzył się w udeptaną gładko ziemię podworca, kołysząc się rytmicznie na chwiejnym klocu; niekiedy jakby łuska opadała mu z oczu, zaostrzał wzrok ku widzeniu i wtedy rozgarniał stopami sypki miał suchego pyłu, by znów bosemi piętami zasuć ciemniejsze wilgocią wnętrze, które był obnażył.

Z kuchni doszedł go cichy śpiew niewieści, zgrzytliwy i starczo zadyszany:

— Pójdziesz ze mną z Libanu, o oblubienico,
Spojrzysz z góry Amana, z wierzchu góry Sanir
I Hermon, ze lwich jaskiń i z gór lampartowych,
Ujęłaś bowiem serce moje, siostro smagła.

Małe, bure oczki zmgliły mu się mlecznem bielmem złości; zaciąwszy szczęki z twardą zawziętością, rzucił się niecierpliwie, aż kloc pod nim zachybotał wstrząśniony.

— Wilczyco, czy was zęby bolą? — syknął szyderczo, odwracając się gniewnie ku oknu kuchennemu, w którem po chwili ukazała się zwiędła i bezkrwista twarz starej służebnicy, Rebeki. Ręce chude, żylaste i tłuste od pomyj, ocierała w brudną ścierkę i uśmiechała się przytem tępo, pokazując dwa żółte zęby, sterczące sieroco w bladem dziąśle.

— Gniewasz się, Jefte? — zapytała gderliwie przymilającym się głosem oszukańczej znachorki. — Nie wiedziałam, synu, że tu siedzisz i możesz słyszeć śpiewkę wyczerpanej do dna studni, co wspomina swą wodę, — dodała z błędnym wyrazem mrocznej, więziennej niemal pustki w wypłowiałych oczach. — Śpiewałam sobie, bo... bo tak jakoś lżej... Krzyknij w głęboką studnię, a także ona sobie zakrzyknie. Inaczej smutno...

— A któż to w was krzyknął? — zakpił złośliwie.

Łokciami o wnękę okna się oparła i nachyliła na Jeftem.

— Wspomnienie, synku, wspomnienie. Nie zawsze było, jak jest. Była wiosna, i lato, i jesień... A w zimie, kiedy niema nic prócz tego, co jest... w zimie zawsze miło zaśpiewać sobie to, co się przy żniwie śpiewało: wtedy i słońce wróci myślom, i noc parna, i kwiaty polne, i sad umajony...

Jej oczy wypłowiałe i mętne, jak powietrzne bańki na zgniłych bagniskach, zdawały się patrzeć gdzieś niezmiernie daleko, a kąty sinych, wąskich warg uniosły się w uśmiechu bladym, jak kwiat zwarzony przymrozkiem, w uśmiechu, który mówił, że niedarmo oczy błądzą tam, dokąd się już wraca tylko opowieścią lub snem. Długą chwilę trwała z tym dalekowidzącym uśmiechem na ustach; a potem, jakby opowiadała sobie, zaczęła znowuż głosem jednostajnym i miarowym:

— Był młody i silny. Oczy miał czarne i czarne włosy...

— A gdyby rude miał włosy?! — zachichotał Jefte złym głosem, potrząsając mierzwą miedzianej czupryny.

Lecz Rebeka, jakby go nie słyszała zgoła, ciągnęła dalej:

— A potem, po długiej słodyczy... potem poszedł sobie precz, — zakończyła nagle szeptem ledwie słyszalnym.

Jefte porwał się dziko.

— A ona poszła bez słodyczy nawet! — zaprzeczył gwałtownie, rzuciwszy się ku Rebece z groźnie wzniesioną pięścią. — Poszła, bo

rude miał włosy, a brat miał czarne włosy i tłuste policzki! Poszłaś, to chybaj, plucho, gdzie tam chcesz, i legaj w słomie, z kim chcesz! Ty będziesz brzuch nosić, a nie ja, ani on. Ale jego to ja — —!

Zachłysnął się przekleństwem twardem, jak głaz, i dysząc ciężko, pobladły zatoczył się pod ścianę. Pięście i szczęki ścięły mu się kurczowo, głowę zalał wściekły udar krwi wzburzonej, a w oczach jęły mu tańczyć żółte i czerwone plamy, jak w słońcu ten rój komarów. Chwilę wyziewał z siebie złość i zwolna gasł.

— Suka! — wykształcił przez zwarte zęby i ciężko osunął się na kloc. Znów palce zatopił we włosach i w bolesnem poczuciu niemocy wgniatał aż do bólu pięście w oczodoły, z lubością wsłuchiwał się w przyspieszony rytm krwi w pulsach i raz poraz spluwał dla ulgi daleko na środek dziedzińca.

— Jefte! — usłyszał nad sobą głos Rebeki.

Wzruszył ramionami kilkakrotnie i nie odpowiedział.

— Jefte! — powtórzyła kobieta z wyrzutem.

Każdy muskuł naprężył mu się, jak cięciwa niechybnego łuku i cały wydał się sobie drapieżcem, co czyha chytrze na ofiarę, wyzywającą go z dziecięcą niemal nieświadomością zasadzki.

— Nie sierdź się, synku, nie sierdź — zaczęła znów głosem drażniąco dobrotliwym, pełnym roztropnej perswazyi. — Wszystko znieść trzeba na tym świecie... I od wszystkich. A lepiej jest, synku, od swojego, niż od cudzego. A kogoż masz bliższego, niż...

— Starszy jestem! — przerwał chrapliwie, uderzając się butnie w piersi.

Nagle spojrzał na kobietę oczyma jakby innemi, z tem zdumieniem oddalenia, płynącego z poczucia wyższości z powodu krytej tajemnicy.

— A zresztą... zresztą skąd wy...? — zapytał z szerokim gestem zdziwienia.

Uśmiechnęła się pobłażliwie i domyślnie zmrużyła wypłowiałe oczy:

— Wiem, dziecko, wiem wszystko — pokiwała głową. — Ho, ho, stara jestem, niedowidzam, ale widzę, synku, widzę, co się wkoło dzieje. Niewidzące oczy wglądają głębiej, bo są starsze — dodała, z powagą wznosząc oczy i palec w niebo.

Lecz Jefte skoczył do niej, porwał ją za ramię i przechylił ku sobie przez otwarte okno.

— Gadaj, co wiesz! — zacharczał groźnie, wpatrując się błędnie w jej twarz bezkrwistą i zmarszczoną.

Z lękiem chciała się wyrwać i cofnąć w głąb, lecz, jak kleszcze, wrzynały się palce jego w jej rękę.

— Gadaj, co wiesz! — wrzasnął przeraźliwie i posiniał na twarzy od złości, jak bez.

— Józef ci Sarę wziął — wyszeptała przerażona.

— A! — ryknął gniewnie i targnął Rebeką wściekle, aż piersią padła na oparcie okna.

— Oszalałeś?! — jęknęła starka, podnosząc się i patrząc nań oczyma bezlitośnie osmaganej suki.

Rozcierała obolałe ramię i mruczała coś niewyraźnie pod nosem.

— Gdybym była twym ojcem, łebbym ci ukręciła, ty...

— No co? — porwał się ku niej wyzywająco.

Chwilę mierzyła go nienawistnym wzrokiem.

— Ty, ty... znajdo! — wyksztusiła wreszcie w spazmie dotkliwej bezsilności. — Tak, tak, znajdaś, wiedz! Na miedzym ojcowej cię znalazła — krzyczała, przysiadłszy, i raz poraz wskazując nań krzywym, chudym palcem wiedźmy.

Oszołomiony cofnął się, uszom nie wierząc. W oczach zakotłował mu mętny wir. Zachwiał się i oparł o ścianę, by nie upaść. Jak nieprzytomny mrugał powiekami i zdawał się nic nie rozumieć. Lecz nagle potarł sobie dłonią czoło, a w uszach zabrzmiało mu posłyszane słowo w jakiemś nieznanem dotąd znaczeniu i powadze: Znajda! Z opętańczym wrzaskiem, w którym była i cała nagłość i groza niespodzianej nowości, cała ta bezlitosna celność nieomylnego ciosu, i płacz gniewu, i ryk wściekłości, i konwulsyjny skowyt poczucia własnej niemocy, — rzucił się na oślep przed siebie, z pięściami złożonemi w ciężki młot, powolny pewnej ręce kowala-mocarza.

Kobieta odskoczyła w głąb izby z nieludzkim krzykiem śmiertelnego strachu:

— Zabije! Ratujcie! Boże!

Jefte rzucił się za nią, lecz wtem na progu ochłonął, a szał spadł zeń nagle, jak woda spływa z członków, odjętych falom rzecznym. Stanął i pochylił głowę. Z za węgła domu nagle wyszedłszy, ukazał się Józef. Był od brata wyższy i silniejszy; twarz, zaczerwieniona od pośpiechu pyszniła się pełnią zdrowia, a ciemne oczy błyszczały żywo z pod czarnych łuków brwi. Pośpiesznie podszedł pod okno kuchenne i, w milczeniu skinąwszy Jeftemu głową na powitanie, zawołał do wnętrza:

— Rebeko, daj mi jeść! Ale wartko, bo czekają mnie.

Odgarnął z czoła bujne kędzierze i pot otarł z pod oczu, nabiegłych krwią od zmęczenia.

— Ty skąd? — zapytał cicho Jefte, nie podnosząc nań oczu.

— Ode żniwa, — odrzekł zapytany, nie odwracając się i niecierpliwie bębnił palcami o ścianę.

Bracia milczeli. Józef dreptał w miejscu, wodząc żarłocznie oczyma za krzątającą się w kuchni służebną i powtarzał wciąż pod nosem:

— Prędzej, prędzej...

Chciwie porwał jadło, podane mu przez okno, i łakomie utopił w niem zęby zdrowe i białe. W ciszy słychać było tylko stłumione chrupanie jedzącego i ciężkie dyszenie Jeftego, który wodził za bratem nieufnie schmurzonemi oczyma i przygryzał wargi.

— Wracasz do żniwa? — zapytał znów po chwili, spoglądając na Józefa z popod brwi.

— Nie, — odrzekł ten krótko ustami pełnemi jadła i, żując pośpiesznie, pochylił się, by poprawić przed drogą sandał.

Nagle zwrócił do brata szybko głowę i, poprawiając omackiem rzemyk, zagadnął badawczo:

— Dlaczego pytasz?

Jefte wzruszył obojętnie ramionami, lecz oczyma uchodził przed spojrzeniem brata.

— Pytam, — rzekł z prostotą — bo dziwi mnie, żeś odszedł żniwiarzy, by zjeść, skoro już wkrótce wszyscy wrócą na wieczerzę.

— Głodny byłem, — odpowiedział Józef, zwracając się znów pilnie do ciżem.

— Widzę.

— Ano więc.

Umilkli, spozierając ukradkiem na siebie.

— Pewno później wrócisz... — zaczął znowuż Jefte po chwili, kreśląc na piasku patykiem nieudolne koło.

A gdy Józef nic nie odpowiadał, dodał:

— Razem ze żniwiarzami? Czy czekać ciebie z wieczerzą?

— Nie czekajcie, bo nie wiem, co wypaść może, — odrzekł Józef z wysiłkiem nisko nad ziemią pochylony.

— Pewno, nigdy wiedzieć nie można: to tu, to tam, to ten, to owa...

Kij prysnął w ręce Jeftego na dwie części.

— A czasem i poczekać przyjdzie dłużej, niż się człowiek spodziewał, — dorzucił, bawiąc się w zakłopotaniu ułomkiem, co mu w ręce został.

Józef wglądnął uważnie w małe, bure oczki brata i nagle roześmiał się głośno.

— Czemu się śmiejesz? — schmurzył się Jefte i końcem języka zwilżył suche, zwisłe wargi.

— Czemu? — powtórzył wesoło Józef, zabierając się do drogi. — Bo raduję się, że kogoś obaczę. Pozdrów ode mnie żniwiarzy! — dodał, śląc bratu pożegnanie lekceważącym ruchem dłoni.

— A skłoń się ode mnie Sarze! — odciął Jefte, blednąc jeszcze bardziej, lecz siląc się na uśmiech.

— Dzięki, nie zapomnę! — odkrzyknął z dala Józef i wśród śmiechu raz jeszcze odwrócił się do brata.

Potem ruszył żwawo drogą i oddalał się szybko. Długą chwilę patrzył za nim Jefte, z zastygłym na trupio-bladej twarzy przyśmiechem podstępnej uprzejmości, który zwolna jął się roztapiać, aż wreszcie spłynął dwoma beznadziejnie głębokiemi bruzdami, zsączającemi się od kątów ust ku brodzie. Małe jego oczy zwężyły się jakby i zmatowiały, a wargi, załamane płaczliwie, poczęły drżeć, podrywane nagłymi skurczami. Znów dłonie zwinęły się w pięść, twardą i zemściwą, jak młot powolny pewnej dłoni kowala-mocarza; znów szczęki zwarły się na głucho, a nozdrza rozdęły chciwie od szybkiego oddechu.

— Poczekajcie, poczekajcie! — zgrzytnął gniewnie i pogroził pięścią pyłowi, opadającemu zwolna po śladach Józefa.

Ostatni skrawek czerwonego słońca usunął się cicho za widnokrąg, krwawiąc jeno jeszcze czoła nielicznych obłoków, rozsianych po niebie, jak owce, znieruchomiałe w drodze. Mleczne opary wzniosły się z pól, wynurzyły się z jaru postrumiennego i ociągliwie sunęły wilgotnym tumanem ku winnicom. Z brzękiem lśniących kos wracali od żniwa najemnicy, powolni i twardzi, postępując poważnie zgodnym i rozumnie pewnym krokiem ludzi, nawykłych do wspólnej pracy. Za nimi, wzbijając chmury pyłu, kroczyły dostojnie ociężałe krowy, niepokojone kolejno natrętnemi napaściami jurnych, rozpragnionych byczków; wznosząc głowy, porykiwały niekiedy tęsknie, jakby żegnały gasnący dzień, co rozlewał się jeszcze krwawymi ostatkami na zachodzie.

— Ho! - ho! - ho! — pokrzykiwały pastuchy, uśmierzając batami gwałtowne zabiegi miłosne zalotnych lekkoduchów.

Wśród kurzu przebiegła stłoczona lękliwie gromada owiec pod baczną strażą pilnych psów, które po zwartych grzbietach potulnego stada, jak po ziemi, przebiegały, by surowo karcić niesfornie rozbrykane buntownice.

Szedł błękitny zmrok, szedł od wschodu, jakby był dniem; w ciemne masy zlewał plamy krzewów i korony drzew, wysuwał się sennie z głębokich zaułów i bezświetlnych wnętrzy, zatapiał się w wysokich trawach, czołgał się gnuśnie po ziemi, jak dym.

Oparty o niski mur, patrzył Jefte zmartwiałemi oczyma w niebo, rozkrwawione, jak nigdy niegojąca się rana. Skostniała tępota zapamiętania znieruchomiła go, a wnętrzem jego przewiewał smutek głuchy, jak stępot kroków po zbutwiałych liściach w leśnym ostępie. Niekiedy owiewał go rozszlochany podmuch żalu, oplatała go cicha i łagodna tęskność, a w źrenicach zawisały łzy niewypłakane. Światami leciał ku kochaniu sercem, z którego wewnętrznym płaczem przelewał się nadmiar bólu, ustami ku ustom straconym, ku tym oczom, jak chabry i warkoczom, jak noc. Kolebała go cicha muzyka żałości, wygnania i opuszczenia, boleściwa muzyka, płacząca bezskargliwym smętkiem i niemocą, której nie wygra nic, jeno drzewa jesienne i bolejące serce. Szedłby bez końca działem pastewnym, skrajem oliwnego gaju, po zarosłych kretowiskach, a potem jarem postrumiennym, hen, ku Libanu górom błękitniejącym na widnokręgu, i nuciłby sobie bezsłownie, co dzwonki jąkają owcze, co drzewa śpiewają cmentarne, co świegocą święte jaskółki przed burzą: pieśń u dziecięcej kolebki i lament u trumny, śpiew do kochania i rozłąki. Nuciłby z cicha sobie i myślom swoim, jak się szepce modlitwę, i szedłby powoli, zapatrzony w wiotką trawę, gnącą się pod stopami, kijem ścinałby wysokie szczyty chwastów, niekiedy zagwizdałby sobie szeroko hasło pastusze — i szedłby, szedł, długo, bez końca, byle dalej, byle jak najdalej stąd, za las... za zręby stoków... hen — hen...

W oczach zamigotały mu łzy litości nad sobą: widzi się sam wśród niegościnnej pustaci, na posłudze u ludzi cudzych i złych. Biją, nogą kopią, urągają, krzywdzą... Zniesie, zniesie wszystko pokornie i cicho, jak podły pies. Nawet się nie poskarży, jeno w nocy popłacze sobie wśród mroku nad dolą swoją sobaczą... Albo... albo rękę wyciągnie pod arkadami marmurowej bóżnicy, przynożnym żebrze skowytem i przecież może wpadnie mu do garści nędzny grosz, choćby nawet oplwany obelgą pogardliwej litości. O, zniesie, zniesie, zniesie i skomleć potrafi, jak pod progiem pies obity i przepędzony precz na słotę! Zapytają ludzie: „Gdzie Jefte się zapodział?“ — O, daleko jest-ci Jefte, daleko! W świat wywędrował ludziom złym na urągowisko i poniewierkę, żebrze psim jękiem o suchy kęs chleba... — Wziął sobie Józef Sarę, z nią szczęście i wiosnę, a on, znajda bezdomny, pod arkadami marmurowej świątyni, z ręką wyciągniętą błagalnie, głodny, siny i porzucony...

— Jefte, czemu ty płaczesz? Jefte!...

Ocknął się i, zawściągnąwszy oczy z wędrówki marzenia, zobaczył

rozumną, spaloną słońcem twarz ojca. Nieznacznie otarł oczy dłonią, wyprostował się żwawo i, siląc się na swobodę, rzekł:

— Ej, nic!

Uchodząc oczyma przed badawczem spojrzeniem ojca, wykonał drżącymi palcami szereg dzikich ruchów, jakby się bronił przed napaściami roju os oszalałych i natarczywych, i raz poraz powtarzał zdławionym głosem:

— Nic, nic, nic!

Stary Emanuel pogładził biały i wełnisty obłok brody, odgarnął za uszy włosy siwe, aż do ramiom spadające, i kilkakrotnie z niedowierzaniem pokiwał głową czcigodną.

— Czemu się, ojcze, dziwujesz? — zapytał Jefte, podnosząc na ojca płochliwe spojrzenie.

Ten wzruszył ramionami.

— Ja?... Ja się już niczemu nie dziwię, synu — odrzekł z pobłażliwym uśmiechem. — Zbyt stary na to jestem i doświadczony. Nie dziwuje się, kto wie.

Odważnie utkwił Jefte swe małe, bure oczki w oczach ojca.

— A ja się dziwuję przeto właśnie, iż wiem — szepnął drżącym głosem. — A tak, tak, dziwuję się, bo wiem.

— Cóż takiego wiesz, że się dziwisz?

— Dziwię się, ojcze, żeś schował przed znajdą prawdę — wyrzekł szybko z żarliwym wyrzutem, przytakując głową namiętnie. — Dziwię się i pytam: poco? poco? poco?...

Wstrząsał gwałtownie rękoma przed oczyma ojca, rozwarłszy szeroko powieki. Nagle ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała, a głowa pochyliła się na piersi.

— Gdybym był wiedział wpierw, mniej ostrym ciosem zaszyłby się nóż w serce — wyrzekł cichym głosem skargi.

— Skąd wiesz? — zawołał ojciec, cofając się zdumiony. — Kto ci nabajał? — poprawił się zaraz.

— Zaszczekała mi dziś o tem wilczyca!

Ojciec postąpił ku niemu, ujął go łagodnie za przegub dłoni i wstrząsnął przyjaźnie jego ręką.

— Synu... — zaczął wzruszonym szeptem.

Lecz Jefte wyrwał dłoń z ręki starca i przerwał surowo:

— Nie jestem twym synem!

— Jefte, do kogo masz żal? — ciągnął dalej ojciec. — Czym ci dał, choćby nawet w gniewie, powód do domysłu? Czym dla ciebie był inny, niż dla twego brata?

— Nie mam brata! — zawołał Jefte jeszcze gwałtowniej. — Nie miałem go nigdy! Nikogo nie mam, nikogo! Słyszysz, ojcze? Nikogo! Jestem tylko wyrodnym synem wyrodnej swej matki, co już pewno dawno nie żyje. Więcej nikt, nikt!

— Jefte, co tobie?...

Przyskoczył gwałtownie do ojca, wpił w jego ramię palce, jak szpony, i, dysząc, jął syczeć mu w ucho głuchym, gorącym szeptem:

— Skowycze mi całe serce i wyje pod chłostą! Łbem walić o ścianę, drzeć pazurami ziemię, szarpać zębami i krzyczeć, krzyczeć aż do skonania!... Wszyscy tak samo chodzą, jak wczoraj chodzili i przedwczoraj; przyśmiechują się do siebie i płodzą dzieci; pogodą się trapią, plotą wieńce dożynek i bajki dla dzieci; chodzą, skaczą, przytupują sobie do opętańczego tańca i nie wiedzą... oni, ojcze, nie wiedzą, że tu pęka jedno serce ludzkie! Litości! Miłosierdzia! Jedno tylko serce mam w piersi, to jedyne, kochające serce! Gdy pęknie i stanie, pokazując ostatnią godzinę... Boże bezlitośny i zły! kroplą po kropli sączyć się będzie czas dalej w zegarze żywota innych i nikt nie wspomni o tym... — Krzyczy mi coś w głębi wołaniem zbłąkanego: „Oszukali! Na bezdroże wywiedli! Nic nie uratuje!“ Skradli, co miałem najumiłowańszego i ostawili samego, jak topielca w nocy na dnie wezbranej rzeki! W górze woda, błądzę rękami: woda. A w górze, niezmierzenie już daleko, toczy się życie dalej niewstrzymanym potopem: żyją w słońcu, ktoś śmieje się gwiazdom, księżycowi ktoś płacze, ktoś się rodzi, ktoś morduje człowieka, a pijane gardła śmiechem wtórują urodzinom i konaniu. Życie, życie!... I tylko ja jeden, sam, czarną otoczony nocą i miękką tonią. Usuwa się ziemia pod stopami, dusi w gardle wrzask: „Ja także chcę żyć! Ja także chcę żyć!“ Lecz coś jednym zamachem wtłacza mi mój krzyk znowuż w krtań: — Nie wolno! — „Dziewczynę chcę mieć ku miłowaniu!“ — Nie wolno! Inny ci ją weźmie. — Czemu? czemu? czemu, na Boga, nie wolno mi mieć ani matki, ani ojca, ani brata? Nic! nic! Ta myśl wierci, jak świder, iglicą się wpija w tępą głuchość i dławiącem przejmuje zdumieniem: dlaczego mnie jednemu nie wolno mieć własnego ukochania, mieć go?! Nie znałem matki, nie miałem ojca, ni brata — i tę mi też skradli!! Uciekajcie! nie zbliżajcie się, bo kąsam, bom się wściekł i kąsam!

Zatchnął się i zaszedł od rozdzierającego łkania i krzyku.

— Jefte! Co tobie? Nic nie rozumiem!

— Ja sam nie rozumiem, ojcze. Sączy mi się z serca jad: zatruje sobą każde dobro. Ciężkie mam chmury w sobie: zasują sobą każde

słońce! Ja dziś najgorszy z ludzi, bo chcę się mścić, chcę drapać, kąsać, szarpać! Chowajcie przede mną wszystko żelazo, bo każdy błysk jego przypomni mi mą krzywdę!

Rozszalał się w uniesieniu i gorzał wszystek dzikim żarem rozpętanej w pustyni nawałnicy. Oczy płonęły mu niesamowitą łuną wewnętrznego pożaru, który gorącymi płomieniami słów buchał, jak lawa i głazy z rozpalonego wnętrza ziemi.

— Kto ci zawinił, synu? Przeciw komu dyszesz? Kto wzniecił w tobie pioruny? Synu, — zawołał ojciec uroczyście — stara dłoń cię wspomoże, przysięgam! Powiedz wszystko ojcu, powiedz wszystko, a pójdzie z tobą przeciw niemu.

Przeraził się Jefte i serce mu stanęło.

— Ojcze, tobie nie wolno! — przerwał, odtrącając go dziko od siebie.

— Synu, klnę się, że napuszczę jadem nóż i wpiję go w piersi twego krzywdziciela.

— Nie - nie - nie - nie - nie - nie!! — zaprzeczył gwałtownie, zatykając uszy. — Nie przysięgaj, ojcze, na Boga, nie przysięgaj, bo tobie nie wolno! Tobie nie wolno! Nie wiesz, coś powiedział! Cichaj, cichaj, święte gwiazdy na nas patrzą!...

Z nabożną trwogą wzniósł oczy ku niebu i spojrzeniem zdawał się o przebaczenie modlić gwiazdom, tym milczącym szpiegom ponocnych myśli, słów i uczynków. Skulił się lękliwie pod brzemieniem świadomości swej winy i głowę zakrył dłońmi, jakby ją chronić chciał przed niechybnym gromem kary.

— Chodźmy stąd — szepnął, pociągając ojca. — To miejsce snadź kusi. Każ jutro okadzić je świętem kadzeniem.

Zgasł potulnie i złamał się cały przerażeniem sobą. Raz poraz z niepokojem spozierał na ojca i drżał struchlałem sercem na myśl o grozie bliży starczego synobójcy.

— Tyle słów nierozważnych, tyle słów... — szeptał zdławionym głosem i napół nieprzytomnie przecierał dłonią czoło. — Ciężką obarczyłem się winą i nieprzebaczalną.

— Ofiarę jutro złożysz Panu i odpuszczone ci będzie — pocieszał ojciec.

— Tak, tak, pójdę z Józefem złożyć jutro ofiarę — pochwycił skwapliwie. — Zaraz o świcie... Może Pan odwróci swoją gniewną karę... Zaraz o świcie, by dnia nie poczynać z ciężarem winy na barkach.

Uczuł słodką ulgę oczyszczenia, a przedziwna błogość niemowlęcej

niemal czystości napełniła serce jego ufną pogodą. Pragnąłby potrzebujących obdarzać, przebaczać winowajcom, przycisnąć do serca świat cały i mówić mu słowa dobre, kojące, braterskie.

Wracali zwolna ku chacie pustym dziedzińcem. Z za długich i wąskich pasem mgły przeglądał księżyc wschodzący, a z daleka pohukiwały trąby pastuchów-wartowników.

Weszli do izby, oświetlonej mrugliwymi płomieniami świec zatkniętych w siedmioramienny świecznik i siedli naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy z łagodnem pobłażaniem i ufną nadzieją.

— Tak, zaraz o świcie pójdę z Józefem złożyć ofiarę — mówił Jefte głosem przyciszonym, mrużąc w zamyśleniu oczy. — A potem, gdy wrócę, z najemnikami pójdę ku żniwu, za rzekę, doglądnę pasieki, o południu nakarmię gołębie Józefa. Potem znów zajdę do żniwiarzy, wrócę wieczorem do podoju...

Przechylił głowę przez poręcz ławy i marzył o dniu jutrzejszym i o sobie, zapobiegliwym i przewidującym; wywoływał obrazy jasne i słoneczne, które minioną rozmowę z ojcem zacierały zwolna swym szczęsnym i beztroskliwym rytmem pogodnego życia w wielkodusznem zapomnieniu krzywd, we wzniosłem przebaczeniu i wśród boskiego spokoju zbożnej serca zgody w obliczu Pana. Rzeczy drobne i kochane, święte i małoznaczne, jak pokorne mrówki, śpiewały w nim podniebny hymn uwielbienia, w którym zespalały się szmery chybotanych liści, pobrzęki pszczół i kos żniwiarzy, pohukiwania pastuchów i wilgotne wonie nadrzecznych pustek. Uświęcał swą miłością i podnosił do tajemniczo wielkiego znaczenia wszystko to, co dotąd, jako nikłe i nieważne, omijał obojętnie i niedbale; oplatał teraz siecią tkliwie łagodnych uczuć każdą drobnostkę, każde źdźbło, kwiat każdy. I sam rozkołysał się dobrocią, pobłażaniem i przywiązaniem gorącem do samego siebie, wydał się sobie jedną z tych rzeczy świętych, dobrych, godnych wielkiego miłowania i czułej tkliwości.

Ktoś nagle zakołatał do drzwi pewną ręką. Jefte drgnął. Uderzenia powtórzyły się w szybkiem następstwie. Były niecierpliwe, gwałtowne i żartobliwie niepokojące. Poznał Jefte wesołą pustotę dobywającego się i widział już jego oblicze zadowolone, upojone dosytem, dumne przechwałką łatwego zwycięstwa. Wtapiał się czuciem w swobodną od ugaszonego żaru pewność zdobywcy i z najgłębszych den jego istoty znów wzniósł się mgławym obłokiem gryzący i duszny opar zawiści; oplatał go znów i usuwał się przygnębiającym ciężarem na ciemię, przygniatał do ziemi i krew rozbudzał na nowo. A gdy Jefte przypomniał swój przed chwilą sen o dobroci, wydał mu się on nagle

obcy i daleki. Zdało mu się, że w tym wzlocie uczucia wyczerpał w sobie ostatek tkliwości ciepłej, dobrotliwego przebaczenia i tego wszystkiego, co ludzkie. Próbował znów wznieść swoje serce, zatrute nagle jadem mściwości, ku uczuciom miękkim i dziecięcym, lecz wydało mu się ono jak głaz, z którego, chcąc go dźwignąć, zdzierał jeno do reszty i niepowrotnie ostatki miękkiego mchu. Opadła jego dobroć jak bezwładnie zwisają ramiona, które się już nigdy podnieść nie mają, jak strudzone śmiertelnie lotem skrzydła.

Ojciec otworzył podwoje i w progu, w widmowem świetle chwiejnych płomieni, stanął wyniosły zdobywca.

— Przywiodłem wam gościa, — rzekł i, cofnąwszy się w cień, popchnął przed siebie czerstwego starca, odzianego w nędzne łachmany. — Wędrowiec o nocleg prosi. Spotkałem go u przełazu, — dodał, wchodząc za przybyszem.

— Pokój temu domowi i błogosławieństwo Pana Zastępów, — rzekł uroczyście nędzarz.

— Witamy gościa w zagrodzie Emanuela, syna Sofarowego, — powiedział ojciec.

— Masma Łazarzowy opiece Pana oddaje uprzejmych gospodarzy, — odrzekł przybysz.

Postawił w kącie wysoki kij pielgrzymi, brzegiem nędznej skóry wielbłądziej, która zwieszała się z grzbietu, otrzepał pył z postrzępionych sandałów i skłonił się nisko.

— Powiedz, Jefte, starej Rebece, że gościa na wieczerzę mieć będziemy, — rzekł ojciec.

— Bóg spłać!

Stary Emanuel posadził gościa za stołem i zapytał:

— Skąd idziecie i dokąd wola?

— Chodzę wszędzie, i tu tedy przyszedłem, — odpowiedział Masma i włożył w usta kęs chleba.

Prócz chleba zresztą niczego tknąć nie chciał. Popijał wodą i, wodząc wokół trzeźwemi oczyma, zdawał się spojrzeniem zazierać do serca. Lecz oczy te nie były złe. Były jeno zimne i doświadczone, oczy, dla których niema tajemnic ni niespodzianek.

A potem, gdy otarł kąty ust grzbietem kościstej dłoni i rozsiadł się wygodnie na ławie, jął prawić o lądach i morzach, które poznał w latach całożyciowej włóczęgi; z wyższością wszechwiedzenia mówił o ludziach, którzy są, i o tych, których już niema; o duszach, które nie szukając, odnalazły siebie i są dostojne niewątpieniem i sobą władztwem, i o tych, co szukają, a znajdą siebie w dzień śmierci...

— Jam z tych drugich, bo moim udziałem życia droga wieczysta. Zszedłem świat cały: od Gazy do Damaszku, od Gebal do Hebron, od Akko do Kir Moab. Ja zawsze w drodze, mieszkaniec dróg. Nic mnie nie boli, bo wiem, że drogą zawsze gdzieś dojdę i zawsze coś znajdę, co, zrodzone z ognia i walki długiego szukania, nierównie bogatsze i szacowniejsze będzie od tego, co się w dłoń samo wsunęło, nieszukane. Nigdy nie traci, kto szuka, bo częstokroć ten, kto znalazł, z sił opada, jako że wierzy, iż ma już wszystko w dłoni; i sądząc, że znalazł już wszystko, traci to, czego jeszcze nie znalazł. A ten, kto bezustanku szuka, nie stracił jeszcze nic, bowiem wszystko jeszcze może znaleźć. Kto osiadł na polu szczodrzeńca, stracił łan pszenicy; kto zajął się zbiorem owoców oliwki, stracił całe niezmierne bogactwo winobrania. I gdyby każdy, idąc swoją drogą i znajdując, mówił sobie: „Dalej“, nie zabijałby człowiek człowieka, bo wszyscy ciągle szukając, nie zazdrościliby sobie dorobku znalezienia. Kto osiadł na polu szczodrzeńca, zawidzi bratu, który przeto zajął łan pszenicy, jako że później od pierwszego powiedział sobie: „Oto mam“. Lecz najlepiej spocząć dopiero w dzień śmierci, bo plon wtedy najbogatszy — plon całego życia. Życie jest szukaniem. I wie się nie przeto, że się umiera, lecz przeto się umiera, że się już wie. Dalsze życie jest bezowocne, skoro nie spodziewam się już niczego. — A ja, Masma Łazarzowy, nic nie wiem i nic nie mam, bo ciągle idę tam, gdzie już nie można powiedzieć: „Dalej!“

— Nie, Masmo! — zawołał Józef. — Najbogatszy ten, który po drodze zagarnia wszystko, co się trafi: czy to pole szczodrzeńca, czy to łan pszenicy, — i zaśmiał się, spoglądając bokiem na Jeftego.

— Tracisz czas w drodze, zatrzymując się przy rzeczach, które cię mało wzbogacą.

— A któż wiedzieć może, czy to, co na końcu drogi zdobędę, będzie warte tego, cobym po drodze sobie w sakwę nazbierał?

Masma rzucił ramionami i rozłożył ręce.

— Synu, a któż wiedzieć może, czy łan pszenicy nie zjałowieje?

— Wzbogacę wydajność gleby, nawiózłszy gnoju.

Podniósł się Masma i, wznosząc palec do góry, rzekł z półuśmiechem zwycięstwa:

— Wzbogacisz dorobek sobą samym.

I usiadł znów poważny, wodząc wokół doświadczonemi oczyma. — Jefte łakomie pochłaniał te słowa zgmatwane i bogate, jak gałęzie owocowego drzewa i, szukając wyjścia dla tego ekstatycznego skłębu widmowych zwidzisk, miotał się sercem w bezsilności i niemocy. Nie-

kiedy zatracał siebie, stając się wszystek żądzą chciwego schłonięcia tych myśli nasyconych i niepożywnych, jak rozpalony piasek. Oczami nad miarę rozszerzonemi błądził kędyś bardzo daleko i dziwił się, że jeno czasami ze zwichrzonego tumanu, jak jasnowidzenie, wychyliło się ku niemu coś tak bliskiego, iż, zdawałoby się, rękę tylko trzeba przed siebie wyciągnąć, by dosięgnąć celu, — a razem tak coś dalekiego, że ramiona opadały mu bezwładnie, a do oczu cisnęły się łzy bezsilne. Błądził poomacku, naoślep rzucał się łapczywie zdrowym głodem ku obrazom wyrazistszym, co odbijały nęcąco z chaotycznego bezładu i zdawał się je powtarzać szeptem i językiem przyciskać do zwartych zębów, by mu się snadź nie wymknęły podstępnie. Patrząc na Józefa, czuł jedno: by żyć, trzeba iść swoją drogą. Ma ktoś łan pszenicy, czy dziewczynę kochaną... nic to! „Dalej!“ — Lecz potem znowuż mijały go obojętne, odrzucające niekiedy larwy słów, mijały zimne, wyniosłe, niedostępne. Wtedy migały mu upiornie w oczach chwiejne, czerwone płomienie kopcących świec, których dym czarny rozciągał się w długi, męcząco nieprzerwany pochód widmowych mar, przeginających lubieżnie swe potwornie szpetne cielska; z mocą brały się za przeguby rąk, w zawrotnem kolisku zataczały jakiś szalony pląs powietrzny, krótki i dziki, jak wrzask opętańca, i z szyderczym, przeraźliwym chichotem wybiegały sznurem nieprzerwanym przez otwarte okno, precz w noc. — Znagła ocknął się, drżąc wszystek, jak łachman na wietrze. I znów tylko chybotały płomienie kopcących świec, podrygując kurczowo, jak potworne karły.

Wracał zwolna myślą do życia z zapamiętania nieprzytomnego: siedział na zaszczytnem miejscu trzeźwy, mądry koczownik i mówił głosem przytłumionym, jakby dochodzącym do uszu Jeftego z dna grobu:

— ...O, czemuż ludzie nie pilnują swej własnej, sobie przeznaczonej drogi i czemu dobro życia zatruli złem współzawodnictw i waśni?! Czemu nie mówią: „Dalej!“ w siebie zapatrzeni, lecz spozierający z ukosa i z zawiścią na przestrzeń, dzielącą ich od innych?! Nie stąd-że rodzi się zbrodnia, nie tu ma początek pierwszy oczu błysk krwawy i ściśniętych pięści obuch pogroźny?... Czemu ludzie nie są na innych ślepi?! — Pierwsza krew polała się z zemsty. Pierwszy świst obucha w powietrzu wszczęła dłoń współzawodnika — o łaskę Pana... Stanęli dwaj bracia u swych ołtarzy, by ofiarować: Kain złożył na stosie z owocu ziemi, Abel zasię zabił owieczkę ofiarną. Podżegli suchy chrust, nagromadzony na ołtarzach, bracia zwaśnieni, lecz Pan, chcąc dać świadectwo swej przychylności dla sprawiedliwego Abla, a gniewu na złego Kaina, przyjął mile Ablową ofiarę, a Kainową

precz odrzucił ze wzgardą, dym ścieląc po ziemi. I wtedy zawrzał odrzucony gniewem przeciwko bratu swemu i ciosem potężnym obucha zabił go!

— Znam to — przerwał Józef, rozparty ufnie na ławie. — Nie poszłoż im o dziewczynę?

Stary włóczęga spojrzał Józefowi uważnie w oczy i nagle roześmiał się wesoło, rozkładając szeroko ramiona:

— Wilk zawsze myśli o owcy, a głodny o chlebie!

Krew uderzyła Jeftemu do głowy, czoło pokryło się kroplistym potem, a żyłami jęły przebiegać mroźne wiewy. Opadł ciężko na ławę i całym ciężarem skołatanej rozpaczy runął w namiętny szamot rozterki. Był jak drzewo, otrząsające się z próchna...

Z zapartym oddechem wsłuchiwał się w śmiertelne rzężenie konającego, w jęk rozpaczliwie błagalny, dochodzący go gdzieś z bezedna: „Bracie, nie daj mi umrzeć!“ Mrowie dreszczu wstrząsnęło całem ciałem skrycie knującego, przed którego oczyma wykwitał zwolna krwawy kwiat utęsknionej zemsty. Bezustanku wracały mu przed oczy brudne plamy krwi, skrzepłej na rozpłatanem ciemieniu i obuch, skąpany w posoce. Dał się bezwładnie unieść wirowi, bezpamiętny, wpatrzony jeno uporczywie w siebie: widział się zimnym i bezlitośnie obojętnym na błagalne wołanie pomocy; niewzruszonym się widział, stojącym z posągową surowością, ze skrwawioną maczugą w kurczowo zaciśniętej pięści; widział się mitycznym mścicielem-zwycięzcą, tryumfującym nad zimnym zewłokiem wroga. I zdało mu się, że olbrzymieje, że wyrasta dumną głową pod niebo, że ramiona pęcznieją mu niepożytą mocą, a uda krzepną w potężne kolumny z granitu. Stał się wyniosłym dla niewidzialnych oczu, olśnionych jego czarem boskiej niedostępności orlego gniazda nad zawrotną przepaścią. Był sobie, jak dziw rozpętanego orkanu, jak cudo grozy rozhukanych koni. Czuł się upojony sobą i oczarowany: sam sobie drogowskaz i cel, sam sobie bodziec i wykon. — „Bracie, nie daj mi umrzeć!“ Lecz zimny mściciel-zwycięzca wskazując na swój ołtarz ofiarny, rzecze: „Odrzucił z owocu ziemi. Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“ Był zdumiony i ogłuszony tą świętą niemal prostotą nagłego jasnowidzenia, co oślepiająco jasną błyskawicą rozświeciło mu noc poczucia miażdżącej krzywdy i lękliwego wahania.

Z założonemi na piersiach rękoma wpił się urągliwem wyzwaniem w zamglone sennością oczy brata, a pogardliwym uśmiechem litował się jego gnuśności.

Podniósł się i rzekł:

— Pójdę przyładzić na jutro żertwę. Złożę Panu z owocu ziemi.

* * *

Z podworca doszedł uszu Jeftego piskliwy, obłudnie przymilający się głos „wilczycy“, dziarskie gaworzenie kur i szelest rozsypywanych ziaren.

— Tiu-tiu-tiu-tiu-tiu-tiu...

Zachrypłym głosem zapiał kur, gdzieś odpowiedziała mu krótka i niezdarna próba dorastającego pisklęcia. Jefte zwlókł się z posłania i przetarł oczy. Z chaotycznego skłębu sennych marzeń, jak z mlecznej toni, wyprysnęła znagła jasna myśl przypomnienia:

— Dziś!

Otrząsnął się ze złudy, jak ptak z porannej rosy i z twardą zaciętością niezłomnego postanowienia obciągnął na sobie odzież, zniełaḑzoną wśród niespokojnego snu.

Czuł jasno i nieugięcie. Zaciął szczęki. Znów widział się olbrzymem, dosięgającym głową niebios, o ramionach napęczniałych niespożytą mocą, o udach skrzepłych w potężne kolumny z granitu. Płomienny żar wewnętrzny rozpalał mu policzki, a myśl ustawiczna o niezłomności postanowienia hartowała i zwielokrotniała jego zaciętość. Dla zajętego jedną myślą świat okolny stał się czemś niepotrzebnem zgoła i stapiał się w jeden niedorzeczny obraz rzeczy zbytecznej, istniejącej jeszcze tylko z przyzwyczajenia: sad, stojący nieruchomo w świeżej przymgle wczesnego, bezsłonecznego jeszcze poranka, perłowo-modre niebo, prześwietlone ukrytem jakiemś srebrem, rośne trawy, omotane jeszcze pajęczemi nićmi roztapiającego się zwolna mroku, — całe to hałaśliwie czerstwe poczynanie się dnia wydało się Jeftemu podrzędną śmiesznostką znudzonego starca, co nie umie wyrzec się zajęć, do których przywykł. Jefte sam czuł się ośrodkiem niedającym się usunąć, biegunem nieodwołalnym, około którego całe dziś miało się owinąć, jak nić na kołowrotku obracającym się z dziką szybkością około swej osi. Czuł się ważny postanowieniem swem groźnem i koniecznem, czuł się jakby boskim posłannikiem, oczekiwanym długo zwiastunem czynu, dławiącego dech w gardle i upojnego razem, jak niespodziane połączenie cielesne w niepewności schrony nawiedzanej licznie. Dzień ten wydał mu się dniem nieubłaganie koniecznym, jakby od dawna przeznaczonym i przewidzianym w wyrokach boskich, dniem niemal świątecznym. Cała szara dal dnia wczorajszego i przedwczorajszego gubiła się przed jego oczyma, otulona mgłą jednostajności, zlewała się w głuchą nicość. Dopiero dziś, to dziś jakieś inne, straszne i utęsknione, wyraźne i jasne, jak tarcza słoneczna, wybijało się oślepiającem światłem swego przeznaczenia. Z tej mlecznej toni życia nieważkiego, przeżytych dni nic nieznaczących, ach,

nie przeżytych nawet, lecz jeno przebytych, z szarości bezsilnych targań i miotań się bolesnych, dzień ten wykwitał, przejaśniony olśniewającym blaskiem.

Jefte krzątał się starannie około stroju: nabrawszy w usta wody, zlał strugą dłonie i obmył twarz, gładko przyczesał włosy i przywdział odświętną odzież. Gotów do drogi, usiadł na ławie. Trząsł się wszystek. Lecz nie troskał się tą drżączką, bo zdało mu się, że cała fatalność dnia wstającego jest swoją nieodwołalnością niemal święta, nie dopuszczająca wahań, ni wtórnych postanowień; że ostatecznej pieczęci nie zdoła nic, ani nikt przełamać, on sam nawet; że bieg tych przedziwnych swą nowością wydarzeń pójdzie niezmiennie wytyczonym już raz szlakiem, chociażby nawet wzdrygała się wola, a ramię osłabło w połowie drogi. Już widział czyn spełniony, już żył nim raz podczas Masmowej opowieści, gdy zatracił siebie, a stał się jeno srożącym Kainem, co ma pomścić na bracie odrzucenie przez Pana ofiary; gdy wtopił się wszystek w Kainowe czucie dumy i godności potarganej w strzępy, w rozpacz poniżenia, gryzącą serce odrzuconego wzgardliwie przez Pana Zastępów. Ten dym, ścielący się po rośnej trawie, czołgający się nisko, jak kopnięty nogą pies, ten dym ofiarny, pokorny i nieśmiały, niegodnie upokorzony i miażdżąco schłostany pogardliwym szydem, — stał się dla Jeftego podnietą drogowskazu, łechcącym bodźcem odwetu. — I teraz nie był już bratem, nienawidzącym brata dla odjętej podstępnie dziewczyny, a stał się ofiarnikiem odepchniętym wyniośle, mszczącym poniżenia na ofiarniku, którego objatę Pan mile przyjął. W głowie jego dzwonem w bezkres rozkołysanym krzyczała jedna myśl, pieniąca burzliwie krew: „Odrzucił ofiarę z owocu ziemi! Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!“ Jefte gorzał i w zanadrze wsunął nóż.

Nagle piorunem złamała go druzgocąca wątpliwość: „A jeśli... jeśli... nie odrzuci?!“

Ścierpł wszystek od grozy możliwości niespełnienia zamysłu, którym już żył, którego już wolą dokonał. Zbladł jeszcze bardziej, pot zimny oblał mu ciało, a na oczy padło mleczne bielmo, jak spadającemu w przepaść górską. Chwycił się za głowę i zatoczył, jak pijany.

— Nie, nie, nie, to niemożliwe... — wyjąkał drżącemi usty.

Struchlałego nawiedziły rozpaczne zwidzenia: przed oczyma jego rozciągała się beznadziejnie szara dal dnia jutrzejszego i pojutrzejszego, gubiła się w mgle jednostajności, zlewała w głuchą nicość. Dalej znowuż mleczna toń życia nieważkiego, dni bladych i nic nieznaczą-

cych, które należy znów przebyć wśród szarości bezsilnych targań i miotań się beznadziejnych.

— Nie! nie! nie! nie! To niemożliwe!

Skulił się i zmalał pod brzemieniem rozterki, jak pod ciężarem niezmiernego głazu. Tarzał się rozpacznie po ziemi i gryzł palce. Lecz nagle podniósł się na ręce, odgarnął z czoła kosmyki zlepionych włosów, potem wstał gwałtownie i butnie uniósł głowę; małe, bure oczy błysnęły mu żmijowymi językami gromów, a szczęki wykrzywiły się zacięciem nieustępliwej stanowczości.

— Musi odrzucić, musi! Cisnę mu w twarz bluźnierstwo świętokradcze, plunę mu w ślepia jadem szyderstwa, lekceważenia, pogardy!... Spalę mu w ofiarę trzewia zdechłej suki, lub cuchnące łachmany żebracze! Musi odrzucić, musi!

Piana wystąpiła mu na wargi, a całe ciało drżało, jakby z zimna. Wąż krzywdy świszczał mu w uszach. Kusząca i groźna ponęta bluźnierczego świętokradztwa kusiła go jak przepaść, gnała go przed siebie i smagała rozpalonymi biczami. A na usta spływała modlitewna prośba do jakichś bóstw, wyższych od Pana: „Oby odrzucił mą ofiarę! Oby odrzucił!"

— Jefte, czyś już gotów?

Jefte nabrał tchu w piersi i odrzekł wolno:

— Tak, jużem gotów.

Porwał swą codzienną odzież w drżące ręce i wywijał nią w powietrzu, jak wojennym znakiem na gruzach zdobytego miasta.

— Dam mu ją, a sobie złagodzę nową odświętną. Tak, dam mu ją.

Pędem skierował się ku stodole, gdzie spał koczownik. Odchylił ciężkie drzwi i wszedł w mroczne wnętrze.

— Masmo Łazarzowy, śpisz?

Na szczycie stogu słomy ukazała się ascetyczna twarz włóczęgi.

— Już dzień? — zapytał głosem chrapliwym i gnuśnym od snu, przeciągając ramiona. — Ano, trzeba mi w drogę!...

Zagarnął zmierzwione włosy za uszy i zsunął się z kopicy.

— Zanim jednak ruszycie, przewdziejcie tę oto szatę, którą przeze mnie ojciec wam przysyła.

Masma spojrzał na ofiarowaną mu odzież i pokręcił głową.

— Szatę? — powtórzył i skrzywił się, wzruszając ramionami. — Ej, nie! Mam starą, a ta mi do grobu wystarczy. Trzydzieści już lat ją noszę: żal się rozstać...

Badał i przewracał odzież, podaną mu przez Jeftego, patrzył w nią

pod światło i nagle z podziwem podciągnął siwe brwi aż gdzieś do połowy czoła:

— Godna szatka: nawet nie dziurawa!

Podniósł na Jeftego żywo oczy i zaśmiał się zcicha.

— Nieprawdaż? Godna królewskiego dziecka: nawet nie dziurawa!

Chwilę jeszcze przewracał ją na wszystkie strony, a wreszcie, oddając ją z powrotem, potrząsnął głową:

— Nie, to nie dla mnie — rzekł.

Cofając rękę, wzbraniał się darzyciel przyjąć znowu szatę z rąk starego włóczęgi i gwałtownie napierał:

— Weźcie, Masma, musicie wziąć, nie godzi się odrzucać podarku.

— Wziąć? — zastanawiał się koczownik. — Ha, wziąłbym ją nawet, ale... poco mi jej?...

— Wdziejecie ją.

Masma wpatrzył się weń wątpiącemi oczyma.

— A cóż zrobię ze starą?

— Ostawicie starą dla mnie.

Oczy włóczęgi błysnęły tajonym śmiechem.

— Poco? — zdumiał się głośno.

— By... bym miał po was pamiątkę — wyjąkał Jefte, patrząc w ziemię.

Chciałby jednym zamachem wywikłać się już raz z tych sieci. Był gniewny na siebie, że żarliwym naporem dawał możność snucia domysłów.

— Niech i tak będzie — powiedział obdarowany, jasno spoglądając na darzyciela.

Przewdział odzież i ostawił Jeftemu swój przegniły, cuchnący potem łachman. Znajda porwał radośnie te strzępy, przyciskając je do piersi, jak skarb najcenniejszy, rzucił się w ciemny kąt stodoły i wsunął zdobycz w worek z ofiarną pszenicą.

— Hej, Jefte! — zawołał z podworca ojciec. — Śpiesz, Józef już czeka!

Pośpiesznie porwał wołany na ramiona wór ofiarnej pszenicy i wyszedł ze stodoły; a za nim wolnym krokiem postępował koczownik ze zmarszczoną namysłem twarzą.

Na dziedzińcu stał już Józef z ofiarną owieczką na barkach. Jeftemu mocno serce biło, gdy ojciec, kładąc dłonie na głowach odchodzących ofiarników, rzekł uroczyście:

— Oby Pan wejrzał na was i ofiary wasze!

„Oby odrzucił moją! Oby odrzucił!“ modlił się cicho knujący.

Ucałowali ręce ojcowskie, poważni i milczący.

— A wy? — zwrócił się Emanuel do Masmy. — Już dalej w drogę?

Schmurzony namysłem włóczęga skinął głową w milczeniu.

— Tedy Bóg prowadź! — powiedział ojciec, wsuwając mu w zanadrze kawał chleba.

—Dziękuję za szatę. Syn dał! — przypomniał Masma.

— Zedrzyjcie w zdrowiu! — życzył Emanuel, odprowadzając gościa i synów do wrót. — Już pewno nigdy się nie zobaczymy.

Koczownik przystanął i, wskazując kijem drogę wysadzaną strzępiastymi wiechciami akacyi, rzekł:

— Nigdy się nie cofam.

Znów ruszył i, śląc oczy w bezkres, dodał zcicha:

— Jeno dalej, dalej, przed siebie...

Jego oczy doświadczone i schmurzone teraz namysłem, hardo patrzyły i wysoko.

— Z Bogiem! — zawołał ojciec, przystając u przełazu, i chwiał w powietrzu ku odchodzącym ręką drżącą i żylastą.

— Żegnajcie! — odkrzyknęli prócz Jeftego.

Ten milczał, czując ciężar w sobie. Dyszał ciężko pod brzemieniem wora ofiarnej pszenicy i męczących myśli. Zdrętwiałe nogi poruszały się, jak kłody. W ustach czuł cierpką czczość, jak posmak miedzi.

— Wy dokąd? — zagadnął po chwili włóczęga.

— Na leśnej polanie mamy swe ołtarze — rzekł Józef, przystając. — Wy drogą?

— Dla mnie i bezdroże jest drogą, gdy niem idę — powiedział, nie patrząc na Jeftego.

— Tedy żegnajcie; tędy nam droga.

Bracia skręcili w leśną drożynę. Józef szedł przodem pewnym krokiem, a za nim, skulony pod ciężarem, wlókł się zwolna Jefte. Nic nie mówili do siebie. Chrzęścił suchy łom pod ich stopami, skąpanemi w wilgotnej od rosy trawie, niekiedy płaczliwie skarżyła się owca, znieruchomiona na barkach Józefa, lub zaszumiały poważnie szczyty sosen, ożywione wiatrem. Gdzieś w dymnym fiolecie leśnego wnętrza tłukł się dzięcioł i gruchały dzikie gołębie.

Jefte patrzył uporczywie na swe stopy, migające przed jego oczyma w miarowym chodzie, i za każdym krokiem czuł głuche w czaszce dudnienie. Chciałby był przymknąć znużone oczy i wytchnąć, lecz droga wydłużała się w nieskończoność. Z wysiłkiem nadążał za nieznużonym bratem, a każdy przyśpiech jego dolewał kroplę goryczy do kielicha nienawiści, po brzegi już napełnionego.

Wyszli wreszcie na polanę, gdzie widniały dwa kamienne ołtarze ofiarne; każdy podszedł do swego i złożyli na ziemi ciężary. Jefte rozprostował grzbiet i wodził wokół oczyma jakby zupełnie innemi, podczas gdy Józef szybkim ruchem noża rozpłatał gardziel beczącej owcy. Na widok dymiącej się krwi, rozdął Jefte chciwie nozdrza i namacał nóż, ukryty w zanadrzu.

Ruszyli w gąszcz po chrust. Jefte tułał się od drzewa do drzewa, z jakimś dzikim niemal pośpiechem, składając suchy łom na lewem ramieniu. Nagle zabrzmiały mu w uszach słowa starego koczownika: „Dla mnie i bezdroże jest drogą, gdy niem idę." — Stanął. Czemu stary Masma to powiedział? Czyżby się domyślał? Lecz czemu pragnąłby go jeszcze pobudzić?

— Dla mnie i bezdroże jest drogą... — powtórzył Jefte pół-głosem. A po chwili znów dodał słowa dziwnego starca: — Nigdy się nie cofam...

I dotykalnie niemal zjawiła mu się surowa i rozumna twarz włóczęgi, jego oczy trzeźwe i doświadczone, spozierające w głąb serca.

— Jefte! — zawołał Józef rubasznie z polany. — Czyś się powiesił na suchej gałęzi?...

Ocknął się, a szyd skrzepił go i zaciął. Syknął wściekłością i znów uczuł się olbrzymem, dosięgającym głową niebios, o ramionach napęczniałych niepożytą mocą, a udach skrzepłych w potężne kolumny z granitu. „Odrzucił ofiarę z owocu ziemi! Niechaj tedy zginie ten, na którego wejrzał!"

Twardym i stanowczym krokiem wyszedł na polanę: Józef już podpalał żertwę, złożoną na stosie. Jefte wpatrzył się bez tchu w prosty pień dymu, wznoszący się z Józefowej ofiary i poraz drugi namacał nóż, ukryty w zanadrzu.

— Przyjął... — szepnął i otwartemi usty wchłonął łakomie powietrze woniejące żywicą.

Zgarnął chrust na ołtarz i, zasłoniwszy sobą stos, wydobył z wora cuchnący łachman żebraczy, przysuł go warstwą pszenicznego ziarna i wtedy znów ciężko westchnął, niby pod ciężarem klątwy nieodwołalnej konieczności: „Stało się!..."

Ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała, a w głowie huczały dzwony, rozkołysane w nieskończoność, waliły spiżem serc w obolałą czaszkę i dudniły w uszach głuchym pomrukiem przestrogi: „Nie ofiaruj! Nie ofiaruj!"

Jak nieprzytomny, drżącymi palcami skrzesał ogień i słyszał, jak całe okole, wiekowe drzewa, strumienie leśne i leśne strachy ponocne rozkrzy-

czały się tysiącami grzmiących głosów: „Nie ofiaruj! Nie ofiaruj!“ Lecz od den najgłębszych jego istoty odpowiedział głos surowy: „Nigdy się nie cofam!“

Zatrzeszczał zapalony chrust. W czarnych kłębach dymu, snującego się chytrze między suchemi gałązkami przeświecały niekiedy krwawe błyski ukrytego płomienia, które znowuż przygasały. Nagle buchnął jasny ogień, okrążał łom zdradliwie płochliwymi językami, zagarniał zachłannie przestrzenie coraz większe, czasem z podstępnem udaniem cofał się, zaczajał chyłkiem w gąszczu zamotanych gałęzi i wypadał silniejszy, tarzał się, jakby wśród rozkosznych bólów, syczał, wysysając tajemne soki, aż wreszcie rozpętał się nieokiełznaną, wszechwładną mocą żywiołu.

Odstąpił Jefte wstecz i z zapartym oddechem śledził dym wznoszący się z ołtarza. Zatchnął się w oczekiwaniu. Nagle oczy zaszły mu mgłą, głowę owiał mętny tuman ogłuszenia; cofnął się i, ze zdumieniem rozprężając skostniałe ramiona, całą pięścią rzucił w niebo krzyk przeraźliwy:

— Przyjął! Jednak przyjął!

Ze stosu wyrastał ku niebu prosty słup dymu.

Zatoczył się bluźnierca ze śmiechem, potrząsając szyderczo dłonią ku błękitowi:

— Niedobrze tam już snadź, niedobrze! Wszystko bierzesz na swą chwałę, byle kadzidło, byle dym, o, niewybredny!

Trząsł się wszystek ubezwładniającym spazmem śmiechu.

Z leśnego gąszcza nagle wynurzył się stary włóczęga.

— Przyjął, starcze, przyjął Pan twe łachmany w ofierze! — zawołał doń Jefte, zanosząc się od śmiechu.

Twarz starca pogodna była, rozjaśniona uśmiechem dobrym i pobłażliwym.

— Nie łachmany moje, lecz twoją ofiarę, — rzekł spokojnie. — Chcąc bluźnić, synu, ofiarowałeś. A kto królowi w myśli jeno złorzeczy, kornie głową kłoniąc, ten strachem hołd jego mocy składa.

— Lecz łachmany, starcze! Cuchnące łachmany! — zawołał Jefte, patrząc rozszerzonemi nieprzytomnie oczyma. — Czemu nie strzelił we mnie gromem, ani nie zawołał: „Jefte, cóżeś uczynił?!“ Czemu na znak gniewu nie rozścielił dymu po trawie?...

— Święty ogień łachmany oczyścił, a Pan przyjął oczyszczone — mimo twą wolę.

Zachwiał się Jefte i, przylgnąwszy plecyma do pnia drzewa, tarł dłonią czoło. „Co teraz tedy, co teraz?“ wołał w nim bezradny

skowyt rozpaczy. I znowuż przed oczyma przyjętego niespodzianie ofiarnika rozciągnęła się beznadziejnie szara dal dnia jutrzejszego i pojutrzejszego... głucha nicość bladych dni... Boże! Boże!... Wróci do domu z pochylonem czołem, jak winowajca — bezwinny. — Nie, wróg musi umrzeć!

Podniósł oczy i ujrzał brata, stojącego w cichem bezprzeczuciu przed swym ołtarzem, z twarzą ukrytą w dłoniach, i pogrążonego w modlitwie. Nie miał siły... „Pan przyjął!“ Wszystkie władze jego, zbyt długo spiętrzone w groźny słup gniewu, zwiotczały, opadły, rozlały się, jak woda.

Lecz znowuż szarpnął nim piekielny ból i zajęczało w uszach straszne pytanie: „Co teraz?!“ Padł bezwładnie na ziemię i zawył krwawym szlochem, wgniatając w policzki zaciśnięte pięście. „Co teraz, co teraz?!“ — Jednak nic nie widział. Szarość, szarość bez kresu i dojmujący ból — i wstyd!... A!

Znagła targnął się, jakby rwąc krępujące go więzy i dzikim ruchem wyrwał nóż z zanadrza. I odtrącając starca grozą obłąkanych oczu, stanął hardo, z twarzą wzniesioną w niebo.

— Przyjąłeś te strzępy, przyjąłbyś padlinę zdechłej suki... to przyjmiesz i ścierwo bluźniercy! — zawołał dzikim, chrapliwym śmiechem szaleńca i wtłoczył sobie nóż w serce krótkim, lecz mocnym zamachem.

Krwią zbroczony padł martwy u stóp ołtarza.

JAN STRZEMIĘ.

Z cyklu „Chwile“.

I. ANI TY DUSZY SWEJ NIE RZUCISZ PSOM.

Ani ty duszy swej nie rzucisz psom,
Ani ja blasków twoich nie zapomnę...
Chociażby jakieś nieszczęście ogromne
Wkroczyło z tobą w ten pusty mój dom,
Jabym cię schwycił za te ręce obie
I miłościwie przygarnął ku sobie,
Szepnąwszy tylko: „Nie pierwszy to grom“!

Nie mam zwyczaju obliczać się z tem,
Co świat nam powie lub zarządzą nieba,
Przeto niczego lękać się nie trzeba,
Lecz powtarzając, iż życie jest snem,
Czekać spokojnie, aż życie się prześni,
Bez względu na to, czy później czy wcześniej
I czy też dobrem będzie albo złem.

Jest za i przeciw — któżby wątpił? Któż?
Ani ja dzisiaj ani ty ni człowiek
Cudzy, któremu noc nie zwarła powiek
Na dnia różnicę... Przecież tylko tchórz
Rad jest te nędzne gwichty kłaść na szale,
Tłomacząc sobie, że istnieją fale,
Tnące się wzajem na głębinach mórz.

Dławi cię krzyk ten — mówisz? Krzyk ten zdław
I krwi wezbranie w swej piersi zastanów.
Spieszącej brzegiem rozpalonych łanów
Ku czystym wodom, niech ci powie staw,
Któremu burza lustra nie rozsadza,
Że przejdzie mimo nas złowroga władza,
Dzierżąca berło nienawistnych praw.

A gdyby chciała urągać i nam —
Czelność się zawsze panoszy i wszędzie —,
Jest czem opłacić przekupne jej sędzie:
I ty masz dosyć i ja dosyć mam
Dumy czy pychy — dwa równe walory,
Jeżeli zdeptać trzeba nazbyt skory,
Mimo miedzianych stóp zbyt skrzętny kłam.

Podaj prawicę i wejdź ze mną w dom,
W którym się życie nie kryje w osłony
Tych albo tamtych względów. Niestrwożony
Pożarem dachu, gdyby go wszczął grom,
Ani ja swego nie ukorzę wnętrza,
Ani ty, ranna jutrznio przenajświętsza,
Swej jasnej duszy nie porzucisz psom.

Nie od dziś śmieję się — i ty się śmiej! —,
Słysząc, jak ludzie szlachetni i zdrowi
Lubią bliźniemu prawić człowiekowi,
Że się w tragiczny zagrzebuje lej,
Że, nie chcąc folgi dać przezornej radzie,
Sam się z oczami zamkniętemi kładzie
W statek bez steru, bez wioseł i rej.

Vogue la galère!... Lecz to nie jest ton
Pękniętej struny!... Nie topielców hasło,
Lekceważące słońce, gdy już zgasło
Ponad rafami! Nie rozpacz to łon,
Które wywróżyć miały wielkie szczęście,
A którym dzisiaj wygrażają pięście,
Gdyż z wróżb ich wyrósł wprost przeciwny plon.

Vogue la galère!... Nie żaden to cud
Krzyczeć tak śmiało, gdy morze spokojne
Fal swych na straszną nie gotuje wojnę;
Gdy mewa, siadłszy na okrętu przód,
Ufnie spogląda w oblicze żeglarzy,
A reszta stada w błękitach się waży,
Wspólną tworzących głębię z głębią wód.

Bo dziś przecudny otacza mnie dzień,
Jakgdyby stworzon, ażeby na wieki
Przeczyła dusza blizkiej czy dalekiej
Groźbie pomroków. Zapatrzony weń,
Czuję, jak słodko wdziera się do serca
I za i przeciw wszelakie uśmierca
Od łąk płynący powiew wonnych tchnień.

Wszystko dziś wszystkim przebaczyć bym rad,
Jeśli cokolwiek przebaczać należy
Ludziom, co przecież są bez win. Na wieży,
Zda mi się, jestem strzelistej i świat
Płynnem się srebrem u stóp mych rozściela
W rozfalowaniu radosnem! Wesela
Obraz, jakiegom nie widział od lat.

I ty się raduj! Tobie ja ten złom
Greckiego słupa zawdzięczam, tę ciszę,
Co tutaj liśćmi wierzbowymi pisze
Znaki, zaledwie dosłyszalne, tchom
Podobne cichym twej słonecznej duszy,
Która niewczesny krzyk w sobie zagłuszy
I której rzucać nie godzi się psom!

Drzwi me otwarte, zamiecion mój próg,
Na stole złote czekają owoce,
W dzbanie z kryształu blask wina migoce
I precz odgania widma mrocznych trwóg;
Do wnętrza izby zagląda, ciekawy
Tej w moim domu niezwykłej zabawy,
Pan, na syryndze grywający bóg.

Pod białą ścianą rozpalił się ślaz,
Rozpłomieniły się piwonie duże,
Na bezkolczastych krzach rozbłysły róże;
Rąk nieskaleczysz, gdy się do tych kras
Zabierać zechcesz, zapachów spragniona,
W których się kąpie królewska korona
Życia, co umie tak nas witać, nas!

O świcie blizki rozegra się łan
Głosem przepiórek, lub w sąsiednim lesie
Wieści o zorzach wstających rozniesie
Rychła kukułka; a gdy zmilknie Pan,
Lubiący słońce południa, mądrości
Święty ptak, sowa, śród zmierzchów zagości,
Dreszcz tajemniczy śląc do naszych ścian.

Przeto się gotuj do drogi, a zważ,
Abyś przybyła w mój ogród, nim jeszcze
Listopadowe zaczną padać deszcze,
Nim zima puści szron, swą przednią straż,
Zanim me grzędy z purpury i złota
W szarość lodową oblecze martwota,
Prześladowczyni ziół i wróg ten nasz.

A gdyby w drodze opadły cię znów
Głuche wątpienia, co ponoć się zrosły
Z wieczystym rdzeniem twej duszy wyniosłej,
Odpędź tę sforę, pamiętna mych słów,
Że ogień z wodą nie zawrze przymierza,
Lecz serce z sercem, gdy cios w nie uderza,
Odeprzeć zdoła i tysiączny huf.

Że gdyby nawet wraz z tobą w mój dom
Jakieś nieszczęście wkroczyło ogromne,
Jeszcze ja blasków twoich nie zapomnę!
Nie! nie! szepnąwszy: „nie pierwszy to grom!“
Jeszcze pochwycę cię za ręce obie
I miłościwie przygarnę ku sobie
I ty swej duszy nie porzucisz psom!...

II. GRÓD TAJEMNICZY.

Zamykam oczy
I oto widzę, jak się z wód przezroczy,
Z cichych, głębokich wód
Biały wychyla gród.

Widzę, jak mury,
Z srebrnego ciosane granitu,
Gubią się w taflach błękitu
U góry
I dołem...
Jak w nich podwójnem swem czołem
Uwięzły wieże,
Ciemnawą
Przecięte linją zwierciadła
Nad ławą
Dachów i kopuł i arkad i bram
Z złocistej miedzi...

Wielką ja ciszę znam,
Lecz takiej ciszy, co gdzieś tu usiadła
I siedzi,
Niewidna oku,
I strzeże
Tych ciężkich, zawartych wrótni,
Nigdy ja do tej nie słyszałem pory.
Snać smutni,
Jak zmory,
Własnego bojący się kroku,
Mieszkają ludzie w tem mieście...

Lat dwieście
Albo i trzysta lat
Mógłby pochłonąć rojny, gwarny świat,
A, zda się,
W tym rojnym i gwarnym czasie
Nikt by się tutaj nie uśmiechnął jeszcze.
Nawet cyprysy,
Porastające ten pagórek łysy,

Wsparty o pował granitowych ścian,
Nigdy snać dotąd nie popadły w dreszcze,
Jak czarne, olbrzymie igły,
Ten kształt ich śmigły,
Znieruchomiony,
Tnie nieboskłony.

Nieśmiało,
Chociaż ni sługa nikomu
Ni pan,
O swoje państwo strwożony,
By się przypadkiem w proch nie rozsypało,
Zanim do domu
Wrócićby mógł,
Stukam w miedziane wierzeje
Od strony
Rozległych dróg:
Stuk! stuk! stuk!...

Dziwnie się dzieje
W tej schroni
Mych snów...
Wiem:
Nie młota-m
Głośnego użył, lecz dłoni,
Cichszej od ciszy, co goni
Blaski po toni,
Nietkniętej
Najlżejszych powiewów tchem...
Nikt się nie spytał „a kto tam?“
I „po co? mów!“
Nie spadło na moją głowę,
Lecz jak odmęty
Głębokich mórz,
Jak dwie olbrzymie cichej wody masy,
Rozstąpiły się dwie wrotnie spiżowe...
Któż je rozdzielił? Któż
Zmysłom je rozwarł mych uszu i ócz:
Nie zgrzytnął w zamku klucz,
Nie zaskrzypiały zawiasy,

Nie zjawił się żaden stróż,
Coby mnie wwiódł
W ten biały gród.

Przez cuda tych bram,
Przez ten złocisty spiż,
W którym, jak w lustrze klisz,
Nieba odbija się krąg
I woda i bezmiar łąk
Nadbrzeżnych,
Wszedłem do miasta
Sam
I chodzę,
Oczom puściwszy wodze.
Co chwila wyrasta
Gmach,
W słonecznych, śnieżnych
Skąpany skrach.
Naokół
Jeden za drugim cokuł
I balkon i gzems i szczyt,
Z białych ciosane płyt,
W białym rzeźbione marmurze...
Szerokie, duże
Ulice, place
Co chwila z przed oczu tracę,
Albowiem nowy co chwila
Świat się wychyla
Przedemną —
Wspaniały,
Kamienny świat!
Pracą wzajemną
Tysiące go lat
Budowały...

Gdy przed mojemi zamkniętemi oczy
Wyłaniał się z głębin przezroczy
Ten gród,
Niewielkim kastelem się zdał,
W głaźny ujętym wał,

Wystrzelający z wód.
A teraz mi rósł
W coraz to większy, ogromniejszy cud,
W coraz to szerszem rozwijał się kole.
Jak gdyby wszystkie miał rozsadzić tamy,
Coraz to dłuższe od bramy do bramy
Wycinał drogi —
Nieznany popędzał go mus...
W tem mieście, rozległem,
Jak niekiełzanej wyobraźni pole.
Zgromadzającej swe plony
Na jawie czy w snach,
Przez dzień czy miesiąc, przez rok czy też wiek,
Dopiero później spostrzegłem,
Zdumiony,
Iż żaden nie minął mnie wóz,
Żaden niespotkał mnie człek.
Najpierw ogarnął mnie strach,
Czułem dłoń trwogi
Na sobie,
Jak gdybym nagle stał przy jakimś grobie;
Zdawało mi się, że w oczy mi błyska
Jakowaś biel cmentarzyska,
Że w tem widzeniu skrawem
Kamiennych pomników stos
W nieziemskim się pali
Pożarze.
Ale niebawem
Chciwy, radosny, wesoły
W wnętrzu się mojem ozwał głos,
Że te kościoły,
W które mnie losy
Zawiodły,
Ślą jakieś dotąd niesłyszane modły
W niebiosy;
Że w sali,
Którą nieznani dla mnie zbudowali
Mocarze,
Nad nowem prawem
W płomiennej mowie

Płomienni rajcują rajcowie;
Że w kuźni,
Co swym ogromem
Źrenicom mym bluźni,
A w której nagle okna mi rozbłysły,
Śród niepojętej roboty
Tysiączne padają młoty,
Że tylko me zmysły
W swojem kalectwie widomem
Ani nie widzą ni słyszą,
Jakie potęgi dyszą
W tym grodzie...

A może to jedna z złud,
Któremi człek się tumani,
Do niezmierzonej przystani
Po wielkiej płynący wodzie,
Z której, jak cudów cud,
Biały wyrasta gród?

Zamknął się za mną cichy ciężar bram;
Nad taflą zwierciadła
Cisza usiadła,
Największa z tych, które znam,
I siedzi
I strzeże złocistej ich miedzi —
Strzeże zamczyska,
Co błyska,
Biały, przedziwny gmach,
Co z wód przezroczy
Przed zamkniętemi wychyla oczy
W białych, przedziwnych snach...

* * *

JAN KASPROWICZ.

From a polish forest.

Come and wander in the forest, wander deep and wander far
Till we reach the inmost stillness where the silver shadows are:
Where upon green moss the lichens and the scented needles fall,
Where the wind sings in the tree-tops and no worldly voices call:
Squirrels rock among the branches, ferns and toad-stools deck the way,
Come and wander, come and wander on this dark and silent day!

When the moon shows, elves will meet us, burning with a wild blue light,
While their unseen music holds us wonder-stricken in the night:
All the toad-stools will be glowing, pale the hare-bell lantern's flame
While in golden chariots riding we forget the way we came:
There's a palace in the hollow where princesses laugh and sing,
While eternal childhood dances in the heart's unending spring...

Come! my feet shall wear glass slippers and your hand shall hold my hand
Even though midnight ring, too loyal not to know and understand:
Come! for we must face the dragon, armed with our enchanted sword,
And the prison door shall open to the magic of a word:
O the fairies are not dead yet, I can hear their voices still,
Come and find them, come and find them, in the forest on the hill!

LAURENCE ALMA TADEMA.

Z POLSKIEGO BORU (PRZEKŁAD).

Chodź, pójdziemy w bór głęboki, chodź, daleko pójdziem w bór,
Tam, gdzie srebrne drzemią cienie, przenajgłębszej ciszy wtór;
Gdzie na miękkość mchów zielonych opadają igły z drzew,
Gdzie nie słychać ludzkich głosów, tylko wiatru słychać śpiew,
Gdzie wiewiórki skaczą miękko, gdzie muchomor pełen kras,
Gdzie zaściela paproć drogę, w mroczny, cichy pójdziem czas.

W blask miesięczny, z ogniem w oczach płynie k'nam rusałek tłum;
Niewidzialna ich kapela tak nas więzi, śród tych dum
Tak się palą muchomory, taki żar na dzwonki padł,
Że siedzącym w złotym wozie znikł nam drogi naszej ślad:
Głos zaklętej brzmi królewnej, czarodziejski tu jej gród,
W sercu wiecznej tu młodości nieskończony kwitnie cud.

Chodź w trzewiczkach pójdę szklanych, dłoń ma spocznie w dłoni twej,
Mrok północy nas ogarnie, ty świadomość żywą miej,
Że miecz dzierżąc czarodziejski zwyciężymy smoczy chów,
Że kaźń bramy swe otworzy na zaklęcie naszych słów!
O, nie zmarły jeszcze baśnie, ja ich cichy słyszę gwar:
Chodź ich szukać w bór ten górski, chodź powitać tu ich czar!

Laurence Alma Tadema.
Z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz.

Füger, Lampi, Grassi

w galeryi obrazów hr. Dzieduszyckich we Lwowie.

Chlubnie i powszechnie znany jest piękny zbiór dzieł największych mistrzów naszego malarstwa w pałacu byłego Marszałka kraju ś. p. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, nieodżałowanego opiekuna naszej sztuki, protektora artystów, tudzież założyciela i fundatora słynnego Muzeum etnograficzno-przyrodniczego.

Grottger, Matejko, Jul. Kossak, Michałowski, Rodakowski, stary Rejchan, Franciszek i Bruno Tepa, Loeffler, Lange, Chojnicki, Grassi i inni, oto największe i wielkie nazwiska naszego malarstwa z jakiemi się w tym jakościowo i ilościowo bogatym zbiorze spotykamy.

Jako nowa zasługa zaszczytnie w dziejach naszych zapisanego, rodu Dzieduszyckich przybywa dla Lwowa, urządzona staraniem i znacznym kosztem Małżonki ś. p. Marszałka, Alfonsyny hr. Dzieduszyckiej, wspaniała instytucya kulturalna.

Jest to, od roku już uporządkowana, nadzwyczaj umiejętnie, tudzież z wielkiem znawstwem i ze smakiem zebrana, okazała kolekcya obrazów (przeszło 400 sztuk) dawnych mistrzów, pradziada obecnej właścicielki, wybitnego męża stanu, prezesa stanów galic., posła do Napoleona I., tajnego radcy austr., kawal. ord. Orła Białego, św. Stanisława, franc. Legii Honor. itd. itd. Ignacego hr. Miączyńskiego, zmarłego w zagadkowy sposób we Wiedniu dnia 25 października 1809 r. W zeszytach następnych podamy w krótkości historyę powstania, oraz omówimy najcelniejsze dzieła pięknej tej galeryi [1]). Na razie zajmiemy się tylko obrazami wymienionych w nagłówku malarzy; są one bowiem najściślej złączone z osobą pierwotnego fundatora galeryi hr. Mią-

---

[1]) Galerya jest otwarta dla zwiedzających bezpłatnie co niedzieli od godz. 11—2 popoł. w inne dnie za zgłoszeniem się w Zarządzie Biblioteki Poturzyckiej od 10—1. Kurkowa 17. Katalog w przygotowaniu; obrazy są oznaczone kartkami.

czyńskiego, oraz z rodem Dzieduszyckich, a zarazem są też drogiemi wspomnieniami, najważniejszych i wielkich, chociaż nieszczęśliwych chwil, porozbiorowych naszych dziejów.

W czasie krzewienia się idei i rozkwitu romantyki, która wszędzie i we wszystkiem szukała ideału i dążyła do doskonałości, a osiągała tylko uniwersalność wszelkiej wiedzy, i ujednolicanie, zespalanie płodów ludzkiego ducha — przeobrażała się też zwolna na wewnątrz i zewnątrz wiedeńska akademia sztuk pięknych.

Po czasach wyłącznego hołdowania i absolutnego poddania się wpływom sztuki włoskiej, głównie szkoły bolońskiej, za pierwszego jej kierownika Piotra Strudla de Strudendorff w latach od 1692 do 1714 i po miękkich rządach Antwerpczyka z rodu, a Francuza z wykształcenia i zapatrywań, Jakóba van Schuppena (1650—1751) zaczęło się zwolna panowanie klasycyzmu, romantyzmu i haseł narodowych, kolejno pod dyrektorami: Unterbergerem (1695—1758), Trogerem (1698—1777), Meytensem (1695—1770) i Sambachem.

Wielki, nieprzebierający w środkach reformator Józef II., który nienawidził zresztą wyższych zakładów naukowych, zamieniając uniwersytety na t. zw. „wyższe licea“, miał jednak należyte zrozumienie dla sztuk pięknych, miłował je nawet, cenił i dbał szczerze o dobro wiedeńskiej akademii. W roku 1783 powołuje do Wiednia na zastępcę dyrektora akademii malarskiej, był nim mierny malarz, Franc. Kaspar Sambach (1715—95), — głośnego już wówczas malarza, którego starano się też zaangażować do Petersburga, — Henryka Fryderyka Fügera (1751—1818).

Füger jest nieodrodnym, a wybitnym człowiekiem swej epoki. Sztuka jego składa się z dwóch głównych, zasadniczych pierwiastków, których nazwy: Winckelmann i romantyzm. Nie przestawał on jednak być klasykiem, nawet w dziełach o pewnych cechach romantyzmu.

Przy końcu XVIII. i z pocz. XIX. wieku, ścierały się ze sobą w dziedzinie sztuk plastycznych rozmaite prądy, o różnej sile natężenia i mniej lub więcej wybitnym wpływie. — Jedni widzieli jedyne zbawienie w naśladowaniu dzieł włoskiego odrodzenia, drudzy szukali tego samego w świecie staroklasycznym, inni znowu uznawali za ostateczny cel sztuki jak najwierniejsze kopiowanie natury, jeszcze inni chcieli osiągnąć to samo przez ascezę religijną. Wszyscy razem zaś dążyli szczerze do ideału doskonałości. Ale myśląc ciągle nad receptą na doskonałość, zapominali o sobie samych i nie rozumieli, nie oceniali należycie dwóch genialnych swych nauczycieli i interpretatorów wielkiej sztuki: Winckelmanna i Wackenrodera. Nie rozumiał dobrze

nauki Winckelmanna i nie dorósł jej malarskim swym talentem, ani też inwencyą, najbliższy i najserdeczniejszy jego przyjaciel, bardzo przez współczesnych przeceniony Antoni Rafael Mengs (1728—79).

Wielkie zaś, wiecznie żywe, prawdziwe, zapalne i przepiękne słowa Wackenrodera (Herzensergiessungen) przebrzmiały bez należnego im hołdu i bez szczerego przejęcia się niemi, mimo uduchowionej swej mocy, mimo zaświatowego czaru i powabu. Chcąc koniecznie ująć w stałą formę i skodyfikować reguły piękna gubiono się w mętnem, a bezowocnem doktrynerstwie. Jedyny wyjątek stanowiła Anglia już z Hogarthem (1697—1764), Gainsborough'em (1727—88) i Reynoldsem (1723—92) na czele. Tam myślano trzeźwo i rozumnie, podczas gdy na kontynencie europejskim mimo trzeźwych również i mądrych słów wielkich apostołów sztuki, Winckelmanna, Wackenrodera, Goethego i Schillera szukano ciągle jakiegoś jednego wielkiego a nowego słońca. Rafael (Santi), Leonardo, Michał Anioł, Correggio, Rubens i Rembrandt oto owe słońca małe jeszcze, z których usiłowano koniecznie zrobić jedno słońce wspólne, jako ogniskową wszelkich ideałów i doskonałości. O jednem tylko zapomniano, że elementy przetwarzać i tworzyć nowe, może tylko sam Stwórca, lecz chyba nigdy — człowiek.

Człowiek jest tylko środkiem, jest tym objektem, jedynie materyą i narzędziem w którem i przez które przejawia się i ucieleśnia owa niepojęta, bezkreśna pramoc twórcza, którą Bogiem zowiemy. Twórczość ludzka jest tylko atomem ducha bożego; nie ma tedy mocy rozdzielania i łączenia atomów innych w nowe pierwiastki doskonałości. Klasycyści, klasycy i romantycy malarstwa miast skupiać swe duchy i dawać potężne, ożywcze całości własnych organizacyi duchowych, gubili się i wyniszczali swe siły w poszukiwaniach i wynajdywaniach co raz to nowych, a rzekomo lepszych idei i ideałów, niepomnąc, że największym i najtrwalszym ideałem, to przedewszystkiem własny, skupiony w sobie, silny, a twórczy duch. Zapomniano, że twórczość prawdziwa wychodzi z głębin wnętrza duszy, lecz nigdy z samego tylko świata zewnętrznego. Piękno zewnętrzne, zarówno czystej przyrody, jakoteż gotowych już dzieł ludzkich musi być najzupełniej przetopione i rozłożone znowu na pierwiastki w szczerym a silnym ogniu duchowym, jeśli ma się narodzić nieskazitelnem, w pojęciu człowieka, pięknem nowem, którego istota jest zawsze ta sama i niezmieniona, czy tkwi ona w dziele twórcy muzyka, poety i architekta, czy też malarza i rzeźbiarza.

Winckelmann nauczał, że koniecznie jakaś idea powinna być pun-

ktem wyjścia dla twórczego artysty. Piękno stawiał on wyżej ponad prawdę realną, spokój ponad wzruszenie i akcyę, bo majestatycznym spokojem i dostojnym gestem raczej, niż ruchem odznaczają się arcydzieła sztuki greckiej. Zaczem tkwi ono nie w otaczającym nas świecie realnym, lecz w formie i kształtach, które ani do wyobrażeń szczególnej jakiejś osoby, ani też do wyrażenia stanu duszy wcale się nie nadają. Jest to t. zw. winckelmanowskie „nienasycone pragnienie piękna", — jest jakoby określeniem samej jego istoty, prapierwiastku samego w sobie. Oto jedno z najpierwszych haseł: „piękno dla piękna" — „sztuka dla sztuki".

Nie natura sama, jako taka, może już być pięknem skończonem i doskonałem. Wprawdzie jest w niej piękno, lecz tylko to niższe, realne, rzeczowe, niejako dotykalne, bo podpadające pod zmysły. Prócz tego jest jeszcze piękno inne, wyższe, wznioślejsze, przeczyste piękno ducha ludzkiego, poczęte bez form i kształtów świata zewnętrznego, które je tylko skalać i zniszczyć mogą. A więc nie posąg człowieka wymodelowany wiernie z żywego wzoru, lecz pewnego rodzaju przetworzenie, przekomponowanie go według upodobań twórczego ducha, a nie samych tylko oczu, może zbliżyć się do owego nigdy nieosiągnionego ideału piękna prawdziwego, leżącego poza naturą i wogóle poza możliwością wykonania go i ucieleśnienia.

Do osiągnięcia podobnego piękna dążyli artyści greccy. Dlatego też posągi ich są rzadko portretami ludzi, a są zwykle uplastycznieniem ich własnych artystycznych przeżyć i pojęć piękna oderwanego, pozazmysłowego, duchowego. Rzecz jasna, że Winckelmann, ani wśród najbliższego swego otoczenia, ani wogóle w Europie całej, nieposiadającej wówczas, żadnego równego mu duchem, geniusza na polu sztuk plastycznych, nie znalazł godnego interpretatora i plastyka wielkich myśli swoich. „Nienasycone te pragnienia" były zresztą i są zawsze nieziszczalne, niemożliwe do urzeczywistnienia zapomocą sztuk plastycznych. Może je zadowolić chyba tylko muzyka i w mniejszej już części — poezya.

Podobne hasła głosił też i Lessing, twierdząc, że zadaniem sztuki jest przedstawić z całą swobodą piękno dla niego samego, a nie dla jakiegoś nauczania i umoralniania, gdyż ono samo kształci serce i uszlachetnia sposób myślenia.

Przewodnią myślą romantyków było również uszlachetnianie całego otaczającego nas świata realnego, szukanie we wszystkiem piękna i wysubtelnianie uczuć, słowem, ich zasadą był „idealny realizm".

„Duch i natura to jedno", mówił Novalis. Wszystkie te nurtujące

wówczas prądy czysto duchowe i ścierające się wielkie hasła wyrządzały wśród adeptów sztuki dość wielkie szkody i spustoszenia. Niejeden bowiem nietylko średniej miary, ale i prawdziwie uzdolniony, urodzony artysta, byłby się inaczej rozwinął i dosięgnął może wyżyn Parnasu, gdyby nie był musiał, uniesiony prądem czasu, wdrapywać się na niemożliwe do osiągnięcia szczyty i stawać często nad zawrotnemi przepaściami. Wszyscy bowiem stawali na rozdrożach wielkich haseł i dążeń, a tylko bardzo nieliczni zdołali po wielu latach błądzenia i szukania odnaleźć drogę właściwą, wiodącą w głąb własnej duszy i tam, a nie gdzieindziej, nie w samych tylko stworzonych już podnietach zewnętrznych — szukać natchnienia i mocy twórczej.

Na takiem rozdrożu, zaraz w początkach swej młodości znalazł się też, późniejszy nauczyciel obu Lampich, i pośrednio Grassiego: malarzy nadw. Stanisława Augusta, dyrektor akademii wiedeńskiej H. F. Füger.

Po krótkiem studyowaniu prawa przerzuca się na pole malarstwa, udając się na naukę do dyrektora akademii w Stuttgarcie Mikołaja Guibala, Lotaryńczyka z rodu, jednego z przyjaciół i najwybitniejszych uczniów Raf. Mengsa. Chłonie więc z całym zapałem młodzieńczej duszy wszystkie nauki i przykazania winckelmannowsko-klasycznego piękna. Maluje przy tem bardzo mierne i sztywne, pierwsze swe portrety i miniatury, które wcale jeszcze nie zapowiadały późniejszego, tak znakomitego portrecisty. Po przestudyowaniu za pośrednictwem Guibala zasad malarskich Mengsa, którego stawiano wówczas wyżej nad Rafaela Santi (Don José Nicolas de Azara) i nazywano go najsławniejszym i najzasłużeńszym malarzem Europy (Cean Bermudez) — udał się Füger na dwa lata do Drezna. Tam zapoznał się ze zjawiskową, przesubtelnioną i przeczuloną organizacyą psychiczną nieziemskiego Wackenrodera, a tem samem wszedł w drugi świat wielkich myśli i górnych zasad — romantyki. Bujając myślą w niebiańskich, rozświetlonych światach przepięknych marzeń Wackenrodera, studyuje w galeryi drezdeńskiej dzieła Włochów, głównie szkoły bolońskiej: Carraccich i Domenicchina. Ztąd udaje się na dalszą naukę do dyrektora akademii w Lipsku, Oesera — lipskiego Mengsa, jakby go nazwać można.

Jedzie następnie na krótki pobyt do akademii wiedeńskiej. Uzyskuje tam od cesarzowej Maryi Teresy wielkie stypendyum na wyjazd do Włoch i udaje się wprost do Rzymu, gdzie przebywa pełnych osiem lat. Z początkiem roku 1782 wyjeżdża do Neapolu, zkąd, jak nadmieniłem już, powołał go Józef II w rok później tj. w r. 1783

na zastępcę dyrektora akademii wiedeńskiej; w r. 1795, po śmierci Sambacha, został jej dyrektorem. Po dziesięcioletnich, pełnych chwały rządach w akademii, którą wzniósł do nieznanych przedtem wyżyn i po wykształceniu całego zastępu dzielnych artystów składa w r. 1806 urząd kierownika, by objąć stanowisko dyrektora Belwederu, właściwie istniejącej tam znanej galeryi obrazów. Na nowem tem zaszczytnem stanowisku pozostał już do swej śmierci tj. do r. 1818.

Füger nie był wyobraźnią stwarzającą nowe, własne światy, ale niezwykle subtelną, wytworną, czułą i wykwintną miał duszę, znakomicie przystosowaną do dworskości i woniejącego, upudrowanego, miękkiego życia 2 połowy XVIII w. Elegancyą i wdziękiem był romantykiem, zachowując jednak zawsze klasyczny spokój i powagę.

Cechy te znajdujemy na wszystkich dziełach Fügera, które z biegiem czasu niejako uświadamiają się, wyrabiają i stają się nietylko środkiem, lecz też ostatecznym celem jego pojęć piękna i sztuki. Owo tzw. włoskie „sfumato“, tj. najdelikatniej rozpływające się światła i cienie przy równoczesnem zatarciu wszelkich ostrych i widocznych konturów doprowadził on, wzorując się oczywiście na Leonardzie tj. właściwie na szkole medyolańskiej, tudzież na Correggiu — do niebywałej wprost perfekcyi,—nawet do przesady. Gdyby nie jego rysunek, nie zawsze poprawny i nie przeciętność, jeżeli już nie banalność tematów oraz kompozycyi, mógłby był Füger zostać jednym z największych, genialnym artystą swego czasu, większym i lepszym od pośredniego swego, a tak bardzo przechwalonego nauczyciela, Rafaela Mengsa.

Zaszkodziły mu jednak jego zawsze przepiększone t. zw. obrazy „historyjne“ (Historienbilder), tj. biblijne, mitologiczne, alegoryczne i batalistyczne, które zaczął tworzyć po objęciu posady w akademii wiedeńskiej, tudzież brak sił do wyzwolenia się z akademizmu, oraz z wszechwładnego klasycyzmu. Najbardziej popularnem i najsłynniejszem w Europie dziełem literackiem była wówczas przełożona na język francuski i angielski „Messyada“ Klopstocka. Füger lubując się w dziełach Klopstocka i podzielając jego zapatrywania na sztukę, tworzy cały cykl olejnych, niewielkich obrazków malowanych na kredowym papierze, ilustrujących jego „Messyadę“. Całość (20 sztuk) znajdująca się w wiedeńskiej akademii jest pod względem kompozycyi wcale mierna, chociaż niezła w rysunku i dobrze malowana, mimo błędów perspektywicznych. Kolorytem i sposobem rozłożenia światłocienia przypomina zaś bardzo hiszp. malarza Zurbarana (1598—1662), zwłaszcza Nr. 1030 i 31. Wpływy hiszpańskie przeszły na Fügera za pośrednictwem szkoły Mengsa, który przebywał przez 15 lat (1761—75),

jako malarz nadworny w Madrycie, hołdując tam głównie sztuce Murilla, której ślady odnajdujemy w niektórych jego portretach i obrazach religijnych.

Piękny obraz olejny Fügera malowany również na papierze i pod wpływem dzieł Zurbarana, przedstawiający św. Brunona, klęczącego w grocie przy modlitwie (106X77 ctm.) posiada galerya hr. Miączyńskiego (Dzieduszyckich). Jest to obraz z epoki późniejszej, wiedeńskiej, kiedy zarzuca on już owe zbyt rozpływające się mdławe, przesłodzone tony i kontury (Magdalena — Wiedeń), a zaczyna być bardziej samym sobą tj. dzielnym i rzetelnym malarzem, jakim jest zwykle w przepysznych swoich portretach. Nawiasowo należy tu wspomnieć, że galerya jest w posiadaniu jeszcze jednego a może i dwóch innych wielkich obrazów religijnych, bardzo zbliżonych do pędzla Fügera. Rzecz ta wymaga jednak dalszych studyów i badań, które jeżeli potwierdzą przypuszczenia, w takim razie mielibyśmy we Lwowie, prócz jednego z najlepszych, najpiękniejszych portretów (o czem niżej) i wymienionego św. Brunona jeszcze dwa bez wątpienia najdojrzalsze i wspaniałe jego obrazy religijne.

Z dniem każdym niemal zdobywa dziś Füger — w siedem lat przed stuletnią rocznicą swej śmierci, — ogromną, a zasłużoną sławę znakomitego portrecisty. I gdyby był wyłącznie ten tylko rodzaj malarstwa uprawiał, byłby go niewątpliwie do nieprześcignionej doprowadził doskonałości. Wielką już sławę współczesną*) zrobiły mu portrety:Józefa II, arcyks. Elżbiety; Karoliny królowej Neapolu, generała Laudona, hr. Rzewuskiej w otoczeniu jej dzieci, oraz scena z życia rodzinnego Maryi Teresy (w skarbcu ces. zamku).

Kiedy w pierwszych dwóch dziesiątkach lat XIX wieku srożyła się nad starą Windoboną gwałtowna burza fantastycznych rojeń — napoleońskiego geniuszu i „romantycznych“ jego przedsięwzięć, podbicia i zawojowania całego globu, wtedy pracował też gorączkowo, bez wytchnienia i... dyrektor wiedeńskiej akademii sztuk pięknych. Najwybitniejsi, dyplomaci, politycy, najwyżsi arystokraci, wodzowie i monarchowie znachodzili na tyle czasu przy całym ogromie swych zajęć i czynności, by zagościć do pracowni głośnego z „kunsztu“ i wytworności dyrektora akademii i Belwederu. Nikt nie chciał ominąć sposobności, by upamiętnić sobie własnym portretem ważną chwilę dzie-

---

*) Portreiy Fügera rytowali: J. J. L. Billwiller (autoportret), V. G. Kininger 1819 E. Ffeiffer 1791 i in. Wiedeńska akad. sztuk piękn. nagradzała w ubiegł. stuleciu najlepsze prace swych uczniów złotym medalem im. Fügera („gold Füger-Medaille“). „Ztschr. f. bild. Kunst“. Tom XIII. str. 31.

jową swego pobytu w starej rezydencyi Habsburgów. Ciężko zwłaszcza musiał Füger pracować w czasie zaczętego 22 września 1814, a ukończonego 9 czerwca 1815 roku „kongresu wiedeńskiego“, na którym było obecnych czterech obcych monarchów (Rosyi, Prus, Bawaryi i Würtembergii), tudzież 450 dyplomatów.

Ale i przedtem już podczas „pokoju wiedeńskiego“ w roku 1809 niewiele mniej musiał mieć „roboty“. Ważyły się wówczas we Wiedniu i nasze sprawy; chodziło o rozszerzenie i ustalenie zarówno granic, jakoteż władzy i politycznych wpływów z jednej strony Księstwa Warszawskiego z drugiej zaś Galicyi. Mężami stanu zabiegającymi o te sprawy byli wybitni nasi, ówcześni politycy i dyplomaci: Ignacy hr. Potocki i Ignacy hr. Miączyński, potomek w prostej lini, wielkiego hetmana i ulubionego przez Jana III, wodza Atanazego Miączyńskiego, który przyczynił się był bardzo do zwycięztwa pod Wiedniem (1683). Jakby na ironię losów jego potomek zginął skrytobójczą śmiercią, (prawdopodobnie mord polityczny) w tym samym Wiedniu, bronionym niegdyś przez wielkiego swego przodka, dnia 25 października 1809 r. w sile wieku, bo 49 roku życia (ur. 7 lipca 1760 r.). I w tym właśnie roku, może nawet bezpośrednio przed tragicznym swym zgonem, jakby przeczuwając jego zbliżanie się, i jakby pragnąc pozostawić potomności dobrą swą podobiznę, portretował się Miączyński u najznakomitszego wiedeńskiego portrecisty dworu i najwyższych dygnitarzy.

Portret ten, malowany olejno na płótnie (112×88·5 ctm.) podpisany i oznaczony datą 1809 świadczy najlepiej jakie i czyje wpływy miał już 58 letni wówczas Füger za sobą i jak po mistrzowsku umiał je opanować, a raczej wznieść się ponad nie i dać siebie samego, jako syntezę długoletnich swych doświadczeń i przejść artystycznych. Są tu jeszcze resztki owego dawniej przesadnego, mdławego „sfumato“, są ślady szkoły Mengsa i Francuzów, jest klasyczne dostojeństwo Winckelmana i lekki subtelny powiew górnych lotów romantyki, a nadewszystkiem góruje już ogromna rutyna wielkiego malarza — artysty. Zresztą w tym wypadku niezbyt trudne miał Füger zadanie, bo wszystkie te wybitne cechy współczesnej kultury, miał już gotowe, ucieleśnione w wytwornej postaci swego modela.

Wiedział zapewne, że ma przed sobą nietylko człowieka wielkich zalet i zdolności lecz także zapalonego miłośnika i szczerego znawcę sztuki. Dlatego też portret ten malowany widocznie z wielkim zapałem wypadł pod każdym względem tak świetnie i wspaniale.

Całe ułożenie niepozbawione pewnej dekoratywności i niby jeszcze

konwencyonalne, jest jednak zupełnie naturalne, swobodne i pełne dworskiej dystynkcyi zarazem. Rysunek całości zupełnie poprawny, a ułożenie na murze lewej ręki, trzymającej mały zwój papieru, oraz jej skrócenie jest oddane wprost znakomicie; prawa ręka oparta na kłębie. Przepyszna jest też głowa i uduchowiony wyraz twarzy. Gdybyśmy nawet nie znali historyi tego magnata o szerokim a zarazem artystycznym geście życia — drugi Stanisław August —, który całą niemal swą fortunę poświęcił dla sprawy polskiej, dla naszej kultury i dla sztuki — musielibyśmy się tego domyślać, patrząc na tę klasycznie piękną i klasycznie wytworną, postać Miączyńskiego na portrecie Fügera. Subtelna, a na rzeczy piękne i wielkie bardzo snać czuła dusza, szlachetna duma i wyniosłość niezwykłego człowieka, oraz jakaś łagodność, jakiś prawdziwie wielkopański gest, tudzież męski wdzięk i urok przemawia z całej pogodnej twarzy, z pięknie zakrojonych ust i z wiele mówiących, zwróconych w lewo, a patrzących na widza oczu. Włosy niezbyt długie, siwiejące zaczesane gładko w tył, czoło wyniosłe, nos orli zgrabny, twarz gładko wygolona. Do całości dostraja się też znakomicie koloryt i śmiała, ogromnie wprawna technika malarska. Strój cały, t. j. frak, kamizelka i nieco widoczne pantalony jasnopurpurowe, aksamitne z jasnemi światłami; pierś przepasana szeroką, jedwabną wstęgą niebieską orderu Orła Białego; dość wysoka szyja owinięta szczelnie białą chustką z małym koronkowym żabotem, poniżej zwisają ułożone na niebieskiej wstędze dwa ordery, obok na piersi lewej, widoczne nieco, dwa inne ordery: krzyż i gwiazda. Tło stanowi jasne niebieskawo-zielonawe niebo z złotawym odcieniem, pokryte lekkiemi, podobnemi w kolorycie, lecz ciemniejszemi, szarawemi obłokami. Poniżej na lewo widok w dal: na balustradę, i grupy gęstych, kopulastych szczytów drzew na których tle unoszą się niezbyt wyraźnie malowane, duże, białe ptaki.

Portret ten jest niezaprzeczenie jednem z najpiękniejszych i najdojrzalszych dzieł, malowanych w ostatniej epoce życia i twórczości Fügera. Okazał on się tu mistrzem w całem tego słowa znaczeniu.

Drugi podobny portret, jego pędzla, malowany również we Wiedniu w r. 1808, przedstawiający Jana Jacka hr. Tarnowskiego znajduje się w galeryi obrazów w Dzikowie. Z tych mniej więcej czasów pochodzi też zapewne podobny w kompozycyi i w całem wykonaniu piękny portret rosyjskiego księcia Mikołaja Youssoupowa, znajdujący się w zbiorze Prachowa w Petersburgu, reprodukowany w VI tomie publikacyi rosyjsko-franc. „Le tresors d'art en Russie", („Chudożestwenyja sokrowyszcza Rossii"... i. t. d.)

Z portretem naszym łączy się dalej portret ojca artysty znajdujący się w galeryi akad. sztuk p. we Wiedniu Nr. 1025, tudzież portret żony, oraz obrazy pod Nr. 2, 3, 4 i 6 w galeryi ces. Najwięcej jego dzieł posiada wiedeńska akademia, bo wraz z wspomnianym cyklem „Messyady“: 51 sztuk. A niewątpliwą jest rzeczą, że i w posiadaniu polskiem odnajdzie się niejeden jeszcze cenny portret, lub obraz jego pędzla który dziś, bądź wcale nie jest znany, bądź też podobnie jak przepiękny portret hr. Miączyńskiego, — który uchodził dotąd za dzieło Lampiego ojca, — uchodzi za dzieło innego artysty. Albowiem techniki malarskie Fügera i Lampiego star., oraz częściowo młodsz., jakoteż innych jego uczniów i naśladowców np. Dornera (Augsburg Nr. 228) są tak do siebie zbliżone, że niejednokrotnie trudno je rozróżnić i pod tym względem, przy dalszych dokładnych badaniach, niejedna jeszcze nastąpić może zmiana denominacyi. Wymieniając obrazy Fügera, znajdujące się w polskiem posiadaniu, należy też wspomnieć o niezwykle interesującem jego dziele historyczno-alegor., przedstawiającem: „Sąd marszałka Małachowskiego“, na które zwrócił mi uwagę p. dr. Z. Batowski. Dzieło to znajdujące się u Jerz. ks. Lubomirskiego w Rozwadowie, wymienione w „Katal. wyst. obrazów — serya I. 1908“ prof. Dr. Jerzego hr. Mycielskiego, może uda się nam później podać w reprodukcyi. Portret jego pędzla, przedstawiający ks. Maryę z Czartoryskich Wirttemberską, posiada Muz. Czartoryskich w Krakowie.

Specyalną właściwością galeryi hr. Miączyńskiego, świadczącą o wielkiej jego wiedzy i o umiejętnem zbieraniu obrazów, jest to, iż starał się najwidoczniej pozyskać zawsze dzieła nauczyciela i ucznia tej samej pracowni czy szkoły. Podobnie ma się rzecz i w tym wypadku. Mając wspaniały portret i jeden, a może i trzy? obrazy głośnego, słynnego malarza Fügera zakupił też obraz jednego z wybitniejszych jego uczniów Jana Babtysty Lampiego młod. (syna) 1775—1837), przedstawiający popiersie amora. Jan Lampi jun. kształcił się wraz z młodszym swym bratem Franciszkiem, (1783 — 1852) zmarłym w Warszawie, spolonizowanym wiedeńczykiem, u Fügera, tudzież u swego ojca Jana Baptysty starsz. (1751—1830). Podobnie jak ojciec i Füger był on głównie portrecistą. Portrety jego są bardzo zbliżone całym swym wyglądem do podobnych dzieł obu nauczycieli: są jednak bardziej sztywne, konwencyonalne i wygładzone. Takim jest też obraz, a właściwie portet jakiejś kobiecej piękności przebranej za amora i to typowego amora z pierwszych lat XIX wieku.

Jest to malowidło olejne na płótnie (76×61·5 ctm.) przedstawiające w owalu młode dziewczę, — nieco mniej niż półpostać natur.

wielk. —, zwrócone w stronę prawą (od widza) z odwróconą ku widzowi i lekko w tył przechyloną głową o bujnych falistych, ciemnokasztanowatych włosach. Prawe ramię i prawa część piersi, umyślnie niekobiecej, obnażona; opadającą ciemnoniebieską szatę przytrzymuje, przechodzący skośnie przez pierś, wąski rzemyk na którym wisi w tyle, na plecach kołczan ze strzałami. Z poza głowy wystaje, nad kołczanem koniec łuku, który amor zdaje się przytrzymywać z przodu dotykając ledwie swej piersi delikatnym, charakterystycznym, pełnym szyku i elegancyi ruchem lewej ręki. Tuż nad tą ręką umieścił artysta na neutralnem, ciemno-zielonem tle pełny swój podpis: „Johann Babtist Edler von Lampi pinxit Anno 806“. Tak podpisywał się też zwykle i Lampi ojciec, cały jednak sposób malowania owego amora oraz kolorystyka przemawia za Janem, synem; tem bardziej, że obraz nasz jest w całości wykonania bardzo zbliżony do portretu Canovy w wiedeńskiej akademii (Nr. 295) malowanego przez Lampiego młodszego.

Ma wszystkie jego charakterystyczne cechy, głównie ów, ciemny, odznaczający go od ojca i od Fügera, niejako swój własny koloryt. I tu widzimy jeszcze (fotogr.) wybitne reminiscencye leonardowsko-correggiowskiego światłocienia i całego ułożenia postaci, przepiększonej jednak klasycznemi i romantycznemi doktrynami swej epoki. Więc niby klasyczna poza i spokój przy słodkim rozanielonym wyrazie twarzy, co wszystko razem czyni z figlarnego i ruchliwego amorka jakimby być powinien, bardzo poważną, spokojnie i z anielską cierpliwością pozującą młodą dzieweczkę, czy też faktycznie dziewczęco-pięknego chłopaczka; — może nawet zamówiony przez hr. Miączyńskiego portret kogoś z jego blizkich.

Przy tem wszystkiem obraz jest bardzo dobrze narysowany i mimo przesadne wygładzenie, — co czyni go łudząco podobnym do oleodruku, — z wielką wprawą namalowany; także w tonach mimo dość twarde znowu światła jest wcale udatnie, nawet ze smakiem zharmonizowany.

Całość zatem, wcale miłą i niepozbawioną wdzięku, biorąc ze stanowiska epoki, musimy nazwać nietylko dziełem dobrem i pięknem, lecz wprost doskonałem, świadczącem o wielkiem już wyrobieniu i niepospolitem uzdolnieniu malarskiem Lampiego młodsz., który bawił również (jak ojciec i brat) jakiś czas w Warszawie na dworze króla-estety, Stanisława-Augusta.

Pośrednio łączy się z galeryą hr. Miączyńskiego — portret Kościuszki, malowany przez Józefa Grassiego (1757 — 1838), należący już do cennego zbioru obrazów polskich ś. p. Marszałka Włodzimierza hr.

Dzieduszyckiego; łączy się węzłami i tradycyami rodzinnemi oraz tem, iż pochodzi z tej samej, wiedeńskiej szkoły — Fügera tudzież z tych samych czasów, ostatnich walk i zabiegów o całość rozpadającej się ojczyzny.

Grassi, Wiedeńczyk z rodu i wykształcenia artystycznego, a jak Lampiowie, Włoch z pochodzenia, był wychowankiem akademii wiedeńskiej. Po objęciu w niej wicedyrektury przez Fügera w r. 1783 był już 26 letnim, dumnym na swą sztukę młodzieńcem. To też w latach następnych był raczej jego współzawodnikiem i pośrednim tylko odbiorcą jego wpływów, a nie uczniem bezpośrednim. Wpływy te zresztą nie były zbyt silne i wybitne, bo Grassi inną, niby własną kroczył drogą. Przedewszystkiem był malarzem kobiecego wdzięku i uroku; słynął jako znakomity portrecista kobiet, podkreślając zawsze w ich twarzach te rysy i znamiona, które czyniły je najbardziej ujmującemi i miłemi. Oczy jego kobiet zawsze duże, podłużne wyrażają zwykle jakąś zadumę i sentyment, twarze zaś przy subtelnych, przedelikaconych rysach mają zwykle wyraz z lekka melancholijny. Nie posługuje się przy tem, ową tak bardzo dla Fügera charakterystyczną, często ckliwą manierą rozpływających się zbyt miękko cieni i znikających konturów. Technika jego jest zwykła, gładka przy doborze, choć nieco silnych i kontrastowych, lecz zawsze zharmonizowanych barw, przez co zbliżał się też trochę, w odróżnieniu od ojca i Fügera — do techniki Rembrandta i szkoły rzymskiej.

Poprzedzonego głośną już sławą, zaprosił go Stanisław August ok. r. 1790 na swój dwór do Warszawy, prawdopodobnie na miejsce Lampiego, ojca, który wyjechał był na dłuższy pobyt do Petersburga. Grassi maluje tam cały szereg (Ossolińskiej, Lubomirskiej, Kossowskiej, Jabłonowskiej itd.) pięknych portretów i obrazów, a przy tem tak bardzo zapala się dla naszej sprawy i przejmuje się naszą niedolą, iż mimo utraty w czasie zamieszek całego swego mienia (5000 zł. czerw.), chociaż sam Niemiec z urodzenia, zaciąga się jako podoficer gwardyi do szeregów i broni Warszawy przed najazdem Prusaków w r. 1794. Kościuszko miał go wówczas osobiście wybawić z wielkiego niebezpieczeństwa. Po upadku Ojczyzny wraca na krótki czas do Wiednia, a stamtąd udaje się ok. r. 1800 na posadę profesora akademii mal. do Drezna, gdzie z przerwą sześciu lat, (1816—21) kiedy bawił w Rzymie, pozostaje aż do śmierci (1838).

Przebywając w Warszawie namalował też Grassi kilka portretów Kościuszki; najwcześniejszy w r. 1792, znajdujący się obecnie w Gołuchowie, przedstawia naszego bohatera w całej postaci, w zbroi pod

drzewem, w chwili kiedy obciera chusteczką szablę. Z portretu tego polecił Kościuszko Grassiemu sporządzić kopię w popiersiu, którą ofiarował następnie w upominku dzielnemu swemu adjutantowi z pod Racławic (4 kwietnia) i z pod Szczekocin (6 czerwca 1794 r.) Wawrzyńcowi Marcinowi hr. Dzieduszyckiemu. Portret ten uważa p. M. Gumowski w dziełku swem pt.: „Portrety Kościuszki" za zaginiony, pisząc dosłownie na str. 12: „sam Grassi powtórzył ten portret, tylko ale w popiersiu... Portret ten miał się znajdować w zbiorze Dzieduszyckich. Tymczasem z bardzo poważnych ust słyszałem, że obecnie go tam niema i że nikt nie wie gdzie się znajdować może." Otóż tak źle nie jest, gdyż portret ten podajemy właśnie w reprodukcyi wraz z ramą, na której czytamy wyrazy: „Tadeusz Kościuszko Waleryanowi Dzieduszyckiemu". A znajduje się on stale i w wielkiem poszanowaniu, — chociaż bardzo już wybladły i popękany — w pałacu J. Eksc. Włodzimierzowej hr. Dzieduszyckiej we Lwowie.

Rama, tudzież umieszczony na niej napis (dedykacya) nie są już niestety oryginalne. Rama pierwotna była tak bardzo zniszczona, że najbliższa już rodzina Wawrzyńca musiała zastąpić ją nową, wzorowaną mniej więcej na tamtej, przyczem pozłotnik popełnił błąd, wypisując słowo „Waleryanowi" zamiast „Loranowi", („Laurent"). Tak bowiem nazywano wówczas z francuzka, w rodzinie i w kołach znajomych hr. Wawrzyńca.

Po upadku powstania, ostatni z adjutantów, wielkich wodzów polskich, zabrawszy, jako ostatnią pamiątkę po walce za wolność, portret ukochanego swego naczelnika przeniósł się w zaciszne strony rodzinne[1]).

Portret Kościuszki przeszedł ze zmienioną już ramą, do zbioru Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego od prawnuczek hr. Wawrzyńca.

Jak widzimy z reprodukcyi nie jest on podobny do znanych nam rysów twarzy bohatera z pod Racławic. Natomiast jest tu ów łagodny sentyment, jakiś cichy smutek, rzewność i melancholia, jaka cechuje kobiece portrety Grassiego, oraz wszystkie owe charakterystyczne znamiona stylu epoki, jaka go wydała.

Zresztą nie ze względów na podobieństwo rysów, portret ten jest drogą i cenną, narodową pamiątką polską.

JÓZEF PIOTROWSKI.

---

[1]) W r. 1795 pojął za małżonkę Anastazyę, hrabiankę Mierównę, córkę Jana i Maryanny hr. Tarnowskiej, a osiadłszy na dobrach Jabłonowa i Semenowa, zasłynął niebawem, jako znakomity agronom, pomolog i botanik. Słynne ogrody i odpowiednio urządzone zakłady jabłonowskie „doprowadził do niebywałej doskonałości", jak wyrażał się o nim znakomity znawca, Stanisław hr. Wodzicki, ówcz. prezes Rzeczp. Krak. („Kronika domowa Dzieduszyckich" str. 404) Wawrzyniec hr. Dzieduszycki zmarł we Lwowie dnia 19 paźdz. 1836 r. pozostawiając dwóch synów i dwie córki.

Nowe książki.

IGNACY PADEREWSKI: O SZOPENIE — LWÓW, TOWARZYSTWO WYDAWNICZE, 1911.

...„Zaco wy mnie tak gościcie, — zaco tak hojnemi darzycie mnie słowy?... ...Czy zato, że jak inni pcham pod górę skromną swoją taczkę?... Czy zato że na ołtarzu Ojczyzny złożyłem moją skromną, synowską ofiarę?... Są między nami godniejsi, zasłużeńsi... i zapewne każdy niemniej miłuje Polskę odemnie, — tylko we mnie się to jakoś dziwnie głośno odezwało“...

Kiedy minął czas wielkich uniesień romantycznych, kiedy słowa tylko zostały te same, a duch, który je stwarzał uleciał niepostrzeżenie, — i byliśmy często świadkami i twórcami neoromantycznego frazesu, aby się zeń otrząść potem z uczuciem pustki i pogardy dla własnych słów, wtedy faza następna naszego wewnętrznego rozwoju przyniosła nam obok rozumnej, pozytywnej refleksyi, zło większe, niż wszystko inne: Wstyd uczucia! Pomogła nam w tem niemiecka ironia romantyczna i Heine. — Odtąd nie słowa jęliśmy brać za frazes, ale uczucie, i gasząc namiętnie wszystką nieprawdę naszych fałszywych entuzyazmów, zaczęliśmy z nią razem gasić i prawdę nam najdroższą, nasz ogień wewnętrzny — zaczęliśmy świętą rzecz: Ojczyznę, nakrywać błazeńską czapką! — Gdzie tli w nas czucie jeszcze i kult dla tej świętej rzeczy, tam chowa się nieśmiałe w piersi, ale poza zagrodę ust wyjrzeć nieśmie, zajaśnieć zwycięzko nie potrafi. Bo aby złamać ciężką zaporę nawyknień całego pokolenia, aby skruszyć nieufność do słuchaczy, aby uwierzyć w ich zrozumienie, musi wyjść z serca wierzącego, z duszy gorącej i wielkiej, jak te dusze dawne, aby jak czucie tych dawnych stać się „rewelatorem słów“ i budzić za ich pomocą nowe uczucia i nowe czyny.

Toteż kiedy się ono zkądeś w tej powszechnej ciszy i w tym mroku smutnym tak dziwnie głośno odezwało, obróciły się w tę stronę oczy wielu ludzi, jak ludzi którzy oddawna czekali na objawienie... i już niemal wierzyć przestali, że doczekają. I naraz przed ten areopag dusz, gdzie jedni kosy kują a drudzy odprawiają kabaret, wszedł nastrój uroczysty i niewidziany, wszystkie czapki z głów spadły, nawet te, które i w kościele zwykły nie schodzić z głowy. I chociaż nie wszyscy dorośliśmy do tego nastroju, chociaż po

dawnemu poskromić — bywało — chcieliśmy uczucia starannie zdumiewając się nad „wymową“ Paderewskiego, choć znaleźli się i tacy co przed sztandarem nawet noszący „kaduceus Polski“... jedną z najuroczystszych chwil (po przemówieniu Paderewskiego na bankiecie w Kole) pożegnali trywialnym kupletem operetkowym, ziarno jednak, które plon wyda obfity, zostało rzucone. Przyszedł ktoś, kto przerósł nas wszystkich, kto w sercach naszych część Polski obudził i ogniem nas wewnętrznym pozarażał.

O jednem z największych dzieł jego... mam pisać recenzyę... słów brakuje... Oby tej książeczki małej nie brakło w żadnym domu polskim, niech niesie wszędzie, jaknajszerzej tę pożądaną zarazę.

M. P.

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Jan Kucharzewski: Maurycy Mochnacki (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910).
O pomnikowem tem dziele zamieścimy obszerniejsze sprawozdanie.

Romuald Minkiewicz: Lucyan, dramat współczesny i przyszłych pokoleń, pięć aktów z prologiem (Warszawa, E. Wende i sp., 1911).

Romuald Minkiewicz: Nad morzem mojem, księga tęsknoty. (Warszawa, 1911. E. Wende i sp.)

Roman Kreczmar: Poezye. (Warszawa, 1911. Centnerszwer i sp.) *Młoda jakaś pieśń, a uwagi godna i gorętszego słowa. W mroku czczych a pełnych pozy elukubracyi jaśnieje czystym blaskiem poważnej i szczerej prawdy, książka ta niebogata na ilość, ale bogata w jakość. Mimo reminiscencyi pewnych, od których jednak nikt prawie dziś nie jest wolny, przegląda z kart jej samodzielne odczucie i rozmach i ton szlachetnej refleksyi.*

Walenty Zieliński: Królewskim szlakiem (Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff).

Józef Mirski: Ahaswer (nakł. L. Chmielewskiego, Lwów).

Dr. Józef Kretz: Stanisława Wyspiańskiego Akropolis, jako dramat świadomości narodowej. (1910).

Benedykt Hertz: Bajki i Satyry (Warszawa, 1911, skład gł. w księgarni Centnerszwera).

Dr. Tadeusz Grabowski: Filozofia Juliusza Słowackiego (Wyd. Tow. Filozoficznego w Krakowie Nr 1), *stron 131*

Adam Szymański: Lew Tołtoj, istota jego działalności (Kraków, nakładem autora, 1911).

Wacław Berent: Ozimina, powieść. (Nakł. Jakóba Mortkowicza, 1911).

Henryk Zbierzchowski: Pająk i inne nowele (Lwów, Tow. Wyd. 1911).

Władysław Kozicki: Wolne Duchy, dramat karnawałowy w trzech aktach. (Lwów, 1911. Tow. Wydawnicze).

Robert Browning: Pippa przechodzi, poemat dramatyczny. Z ang. przeł. Jan Kasprowicz (Tow. Wydawnicze, Lwów, 1910).

Katalogi wystaw retrospektywnych Tow. Zachęty sztuk Pięknych.

Wystawa dzieł Jana Piotra Norblina, skatalogowana przez Zygmunta Batowskiego. Warszawa, październik-listopad 1910. *Zasługą dra Batowskiego jest stworzenie doskonałego typu katalogów wystaw monograficznych przez ułożenie szablonu dla wystaw retrospektywnych „Zachęty“. Rozgląd jasny, zrozumiały i wygodny, a dotychczas nigdzie niestosowany powinien na zawsze służyć za wzór.*

Wystawa dzieł Aleksandra Orłowskiego, skatalogowana przez Władysława Tatarkiewicza. Warszawa, listopad 1910. *Przedmowa dra Tatarkiewicza, zwięzła, cała na trzech stronach zawarta, w sposobie ujęcia jest prawdziwem arcydziełem.*

*

Miesięcznik literacki i artystyczny. Pismo poświęcone literaturze i sztuce pod redakcyą Dra J. H. Retingera.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod. red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de litérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

Museion. Miesięcznik poświęcony literaturze i sztuce. Wychodzi w Paryżu i Krakowie pod redakcyą Władysława Kościelskiego i Ludwika Hier. Morstina.

Les Marches de l'Est. Revue mensuelle illustrée (Recueil de littérature, d'art et d' histoire) *prawie każdy zeszyt zawiera kronikę polską.*

Przewodnik Antykwarski. Dwutygodnik dla bibliofilów i zbieraczów poświęcony bibliografii oraz miłośnictwu książek i zabytków sztuki i kultury. (Warszawa — Mokotowska 54). *B. cenne i jedyne w swoim rodzaju pismo.*

Część druga — Wczoraj.

Fragmenty korespondencyi artystów polskich z Franciszkiem Tepą.

W spuściźnie po Franciszku Tepie (ur. 1828, zm. 1889), przechowała się także, dzięki pietyzmowi bratowej artysty, p. Tekli Teppowej, obfita jego korespondencya, jaką prowadził z kolegami swymi po rylcu, pędzlu i dłucie, oraz z Lucyanem Siemieńskim, Władysławem Mickiewiczem, przyjacielem swym Józefem Grelińskim i w. i.

Pożółkłe te karty wiele zawierają szczegółów, ważnych nie tylko dla biografii Fr. Tepy, lub autorów tych listów, ale i w ogóle, dla historyi sztuki polskiej w tej dobie, kiedy artyści polscy zmagać się musieli z wszelkiemi trudnościami na każdym kroku. Wieje z tych listów dawnych szczery zapał i ukochanie sztuki. Energia, którą przeciwności potęgują jeszcze, wiara w powodzenie, ułatwiająca kroczenie przebojem po spadzistej, kolcami najeżonej drodze ku pięknu, wspólna wreszcie bieda, łączyły tych pierwszych nieledwie bojowników odradzającej się na nowo sztuki polskiej węzłem serdecznym, nierozerwalnym.

Ówczesne środowisko doskonale malują zwłaszcza listy Wojciecha Gersona, jednego z najlepszych, najdroższych przyjaciół Tepy. Z tego też względu umieszczam je na początku, razem, a potem dopiero daję wybór listów innych, ułożonych również w porządku chronologicznym.

Z bogatego materyału podaję tylko listy artystów polskich, gdyż te największy dla każdego przedstawiają interes i ogólniejsze mają znaczenie. Pisownię zmieniam na dzisiejszą, interpunkcyę odpowiednio uzupełniam, a wszelkie własne objaśnienia podaję w klamrach, albo w przypiskach, kilka miejsc, które do druku się nie nadają, jako natury ściśle prywatnej, opuszczam, zaznaczając je klamrą i kropkami [. .].

Dodaję wreszcie, dla łatwiejszego zrozumienia niektórych listów, że Tepa, urodzony we Lwowie, po studyach u J. Maszkowskiego (wspólnie z J. Kossakiem), w Wiedniu u Waldmüllera i w Monachium u Kaulbacha, odbył w r. 1852. i 1853. podróż na Wschód z Adamem hr. Potockim, poczem od r. 1855. bawił w Paryżu, gdzie studyował u Cognieta, a w r. 1861. wrócił na stałe do Lwowa, gdzie też umarł w grudniu 1889. roku.

I.

Warszawa d. 6 Lipca 1858. r.

Kochany Franciszku!

Od paru miesięcy zbieram się odpisać Ci na list Twój ostatni; nie będę Ci się tłumaczył, dlaczego do tej chwili nie odpisałem, powiem Ci tylko, że w tym czasie udało nam się tutaj urządzić wystawę, która z czasem, jeżeli Pan Bóg da, będzie się mogła na jakieś akcyjne towarzystwo zamienić; od trzech dni otwarta jest dla publiczności — zwiedzającej ją, jak dotąd, dosyć licznie (opłata wnijścia złp. 1.) chociaż nie więcej, jak 90 sztuk obrazów i kilka rzeźb tylko, posiadamy; mamy nadzieję, że nam ciągle przybywać będzie, jeżeli mianowicie, kochani Koledzy z daleka i z blizka nie polenią się nam coś nadesłać — proś tam z łaski swojej wszystkich Kolegów — Straszyńskiego, Budkowskiego, Leona[1]) — zbierzcie się razem, dołóż też i Ty co i przyszlijcie — do tego czasu jeszcze, ponieważ nie wiemy, jak będziemy wychodzili z funduszami, prosiemy, żeby każdy zechciał swoim kosztem nadsyłać pod adresem: Wystawa Krajowa Sztuk Pięknych w Warszawie. Musieliście tam zapewne w dziennikach Warszawskich czytać już uwiadomienie o tem i zaproszenie do wszystkich Kolegów z ościennych krajów, co ma znaczyć Galicyanów, Krakowiaków, Poznańczyków, Szlązaków — Litwinów — i tych co za granicą bawią — cenzura nie pozwoliła na inne wyrażenie — w Gazecie Warszaw. też był krótki przegląd Wystawy; będzie później dłuższy pewnie. — Nie posyłamy ani Wam ani innym malarzom, każdemu z osobna, drukowanych zaproszeń, jak to robi Towarzystwo Krakowskie — bo nie mamy na to funduszów

---

[1]) Malarze: Gustaw Daniel Budkowski (1813†1884), Leonard Straszyński (1828—1879) i Leon Kapliński (1826—1873) bawili wówczas wraz z Tepą w Paryżu.

jeszcze, nie mniej jednak serdecznie, choć zbiorowo, zapraszamy was. — Tyle co do spraw publicznych, co do prywatnych zaś — to: [. . . . .]; zapomniałeś jednak prawie zupełnie o mnie — bo już i o fotografiach z wachlarza, obiecanych, wcale w ostatnim liście wzmianki niema; oj Franciszku, sądziłem, żem sobie u Ciebie na lepszą pamięć zasłużył? Co Józef porabia, czy jeszcze w Paryżu jest — czytałem w Czasie o jego kopii czy ją też sprzedał? Dziękuję mu za te kilka serdecznych słów które w Twoim liście do mnie napisał — gdyby więcej było ludzi z taką chęcią tłumaczenia wszystkiego dobrze i widzenia samego dobrego we mnie, jak on, tobym prędko w śmiertelną chorobę zarozumiałości mógł wpaść, umysł ma szlachetny, ale że gibki, do każdego pojęcia łatwo się naginający więc go lada płomyk błędny uwodzi i zapala [Tu brak pół kartki, wyciętej . . . . .] i gdyby nie znaczne wykształcenie, jakie posiada, jest bardzo blizkim przesady i przeto nienaturalności — uściśnij go odemnie, jeżeli jest jeszcze z Tobą, jeżeli zaś nie, napisz do niego, żem nie zapomniał go. Pozdrów tam w Aiyence kolegów, jeżeli jeszcze bywacie, mianowicie Budkowskiego, do którego też napiszę z osobna — i Sztycharza Szretera[1]), jeżeli go zobaczysz, któremu interesu zrobić tu żadną miarą nie mogłem. Jeżeli będziesz miał jaką chwilę, odpisz mi, czy przyszlecie co na wystawę i jak tam interesa stoją — ten odcinek bądź łaskaw odesłać podług adresu — bywaj mi zdrów, a o przyjaciołach pamiętaj.

Wojciech Gerson.
Ulica Miodowa 495.

Sypniewski i Pillati[2]) kłaniają Ci się, piszę na koszt i proszę Cię o wzajemność — bo to najkrótszy i najlepszy sposób.

Zapomniałem Ci napisać dwa artykuły wystawy które, koniecznie wiedzieć powinieneś: naprzód, że wystawa bierze od sprzedaży obrazów 5 od sta, drugie, że kopii nie przyjmuje, tylko oryginalne obrazy artystów.

Wybacz mi, że Ci przypominam — ale zdaje mi się, że i Budkows. wziąłeś na nasz rachunek.

W. G.

---

[1]) A. L. Szretter, uczeń Antoniego Oleszczyńskiego (1794—1879), znanego sztycharza i akwaforcisty.

[2]) Feliks Sypniewski, malarz historyczny, Henryk Pillati (1832—1894), malarz historyczny i rodzajowy, uczeń Kaulbacha w Monachium, gdzie i Tepa poprzednio (od r. 1849 do 1852, z przerwami) studyował.

II.

Warszawa d. 31 sierpnia 1858. r.

Kochany Franciszku!

Przykro mi, że muszę zacząć od zbicia Twojej dziwnej pretensyi do mnie, czy do nas, nie wiem do kogo? żeśmy ukrywali przed Tobą robienie rysunków do dzieł P. Adama Mickiewicza — a któż ukrywał? tracisz widzę pamięć, nie było co ukrywać, bo nie było nic pewnego, kto i co będzie robił — kiedym był w Paryżu nie wiedziałem, że ja będę co robił do tych dzieł. Lesser[1]) miał robić wszystko, dopiero w Warszawie ustąpił mi trzy rysunki do P. Tadeusza — jeden Kostrzewskiemu[2]) a teraz dopiero w tych dniach ostatni Pilatiemu, resztę sam zrobił — czy Ci nie wstyd urojonemi podejrzeniami, jak błotem przyjaciela obrzucać.

Obrazy Twoje doszły tu w jak najlepszym stanie i są już wystawione; ten basza[3]), czy jak tam, w profilu, co to był na paryskiej wystawie, bez szkła jest, więc go tu w sukienkę ubrać kazałem. Chcesz, żebym Ci moje zdanie otwarte powiedział i szczere, łatwo mi to przyjdzie, bo innego nie umiem, chybabym zamilczał — otóż powiem Ci, że mi się bardzo podobał co do tonu ogólnego i głowa też jego i ubiór cały (mówię o olejnym), pod względem malowania i charakteru, tylko ręce niedbale narysowane i namalowane, i tamta figura na drugim planie — kobieta czy coś — mógłbyś do rąk jakiego dziada wziąć, już gdzie, ale w Paryżu modelów nie brak — u nas to co innego, jest ich ze czworo, a i ci nie przychodzą na zamówione godziny, trzeba płacić drogo i jeszcze prosić się, żeby przychodzili. — Powiadasz, że między wami bieda, i u nas nie lepiej — twardo idzie — kuje się jak można — to tylko szczęście, że się to od młodości do trudnego kawałka chleba przywykło, bo inaczej ciężar byłby nie do podźwignienia. — Ale co mnie smuci, Franciszku, to Twoja czarna pieczątka, a listy nie smutne, co to znaczy, czy dla igraszki pieczętujesz się tak żałobnie? A przyszlij mi też kiedy obiecane fotografie, przecież one w liście się pomieszczą złożone w kilkoro, dawno na nie i niecierpliwie oczekuję — koszta z chęcią poniosę — pytasz się, czy mój głos znaczy co u dyrektora towarzystwa — my towarzystwa

---

[1]) Aleksander Lesser 1814—1884.
[2]) Franciszek Kostrzewski, ur. 1826, żyje w Warszawie.
[3]) Marek Botzaris, powstaniec grecki.

nie mamy, wystawę tylko — a co się na niej sprzeda, za to Panu Bogu dziękujemy, a pieniądze artystom oddajemy. Dyrektora też nie mamy — komitet przyjmuje, — lub odrzuca, jeżeli coś bardzo złego, a na to głos mój niepotrzebny — bo twoje rzeczy bardzo mile były przyjęte. Leon [Kapliński] też przysłał głowę tego młodego człowieka, wiesz, co to w sposobie Velazqueza malowana — bardzo ładna — Lessera złośliwości się nie bój — toć nie on jeden jest w Warszawie i w naszym komitecie, mamy i starszych, osiwiałych w pracy i życiu poczciwem i serdecznej pracy i nauczaniu czynem i przykładem własnego życia — od tych sądu złośliwego obawiać się nie możesz — ani Ty, ani nikt inny. Straszyński przysłał kilka aquarelli — szkoda, że nie co większego — co Budkowski porabia, pisałem do niego, nie odpisuje mi, czy już nie mieszka na rue de Donai? do Kossaka bym też napisał, żeby co przysłał, ale zapomniałem numer jego, czy 38 czy 39 na Vanneau — odpisując nie zapomnij o tym numerze — a gdzie też Józef w Krakowie mieszka, radbym i do Niego kiedy parę słów napisać, gdybym wiedział jego adres. — Zapewne licząc na to, że my mamy towarzystwo Szt. Pięk: na akcyach (tak jak w Krakowie) przysłałeś swoje obrazy na koszt wystawy. — Przyjęła wystawa zapłacenie na siebie, z warunkiem, że po sprzedaniu obrazu koszt poniesiony, a wynoszący 94 złote, będzie sobie miała zwrócony; nie możemy do dziś dnia jeszcze ponosić kosztów przesyłki, bo cały nasz dochód stanowią złotówki za bilety wnijścia — jeżelibyśmy przyszli do towarzystwa akcyjnego, to nie prędzej jak za parę miesięcy nastąpić może. A ciekawybym też był tego drugiego wachlarza, jak też skomponowany — narysuj choćby w liście, jak wygląda i co na nim jest — do sztycharza Antoniego [Oleszczyńskiego] list dołączam — znajomych i kolegów, Kossaka, Budkowskiego i wszystkich innych pozdrów odemnie i powiedz Im, że Ich mam w żywej i wiernej pamięci takimi, jakimi dla mnie byli.

Wojciech Gerson.

Ulica Miodowa No 495.

Schönfeldowi, jeżeli się z Nim zobaczysz, pozdrowienie moje oświadcz — podziękuj za przesyłkę, która mnie w całości doskonale doszła i zapewnij Go moim imieniem, że Tytus pamięta o nim, a nawet kto wie, czy za parę miesięcy nie wybierze się do Paryża.

Wojciech.

III.

Warszawa d. 20 Października 1858. r.

Kochany Franciszku!

Lubisz, widzę, i umiesz długie listy pisywać i często, czem mnie stawiasz w tem przykrem położeniu, że zawsze na dwa odpisywać muszę — zawstydzasz mnie w lenistwie i nieumiejętności rozpisywania się przewlekle — żądasz, żebym o sobie pisał, cóż Ci o sobie powiedzieć mogę? niechby raczej sąsiedzi (jak to mówią) o mnie świadczyli. Zdrów jestem, niewiele pracuję, od kilku miesięcy, to jest od samego prawie powrotu z Paryża, nie mogę się do niczego porządnego zabrać — drobne różne rzeczy kuję — aby codzienne wydatki opędzić. — Zaraz po powrocie, jak to już raz pisałem Ci, nająłem mieszkanie drogie, to mi wszystkie prawie dochody zjada — że chociaż ciągle pracuję, nie mogę się opędzić do tego czasu dawnym długom i nieraz nowy zaciągnąć wypada — i to też pisałem wam, że się w owej dużej pracowni mojej koledzy zbierali i rysowali przez trzy miesiące — lato przerwało tę pracę, teraz zaczniemy znów da Pan Bóg przy wieczornem świetle w przyszłym tygodniu. — Wystawa idzie swoim torem — dosyć jest w obrazy obfita, publiczność nieleniwie ją zwiedza — tak, że się nam koszta opłacą zapewne; na kupujących tylko nam zbywa — co małe obrazki, to się sprzedają od czasu do czasu, ale o większe nie bardzo się zgłaszają — najwięcej to publiczność trzy zera straszą — dwa, choć z grubą liczbą na początku, przemknąć się mogą, byle nie 3!

Nazwisko tego pana, co Ci o naszej wystawie opowiadał, niewyraźnie napisałeś — ale coś nieznane i niepodobne do warszawskiego — co do tych cudzoziemców, którzy tu wystawę założyli, to zdaje mi się, że my się mamy do nich jak drzewo które z korzenia na tej ziemi wyrosło, do zagranicznego, mającego się dopiero aklimatyzować i korzenie zapuszczającego, możemy przeto cierpliwie lata całe czekać, jak już czekamy dziesiątki lat — i lata i dziesiątki lat nas nie zniechęcą podobno, i z toru nie wysadzą, bo spekulacyi nie zakładamy na publiczności — o wielkie i nagłe zyski nam nie idzie — owszem, chętnie każdy swój czas poświęca dla dogodności kolegów i pracy nie żałuje we wspólnym interesie sztuki i publiczności. —

Pytasz się, czy się puliczność zajmuje sztuką? zajmuje się, o ile umie — na tem zajęciu przecież zakładamy przyszłość naszego zgromadzenia, na które jeżeli władze pozwolą, koło nowego roku wypu-

ścimy akcye — i mamy nadzieję, że nie będziemy mieli przyczyny narzekać na obojętność ogółu naszego — który ma więcej dobrych chęci, niż pieniędzy.

Fotografia z obrazu Klimkowicza wielką mi sprawiła przyjemność — widziałem oryginał u niego przed samym wyjazdem — żałuję, że nie mam mu co posłać w odwecie — ale z moich obrazków fotografie się nie udają zupełnie, uściśnij go ode mnie serdecznie — to człowiek gruntownej poczciwości — czy on długo jeszcze zamierza bawić w Paryżu? może się spotykacie w atelier Cogniet'a — jeżeli nie — proś Klimkowicza, niech Severaków odemnie też pozdrowi. — Co Budkowski porabia? czy wrócił już — co się tam dzieje z mojemi fotografiami, które u niego zostawiłem, [. . . . .] pisałem do niego na rue de Donai 15., ale mi nie odpisał — daj mu z łaski swojej mój adres, może kiedy znajdzie wolną chwilę — wszystkim znajomym braterskie uściski

przesyłam

Wojciech [Gerson].

Ulica Miodowa l. 495.

Już trzeci raz powtarzasz w liście, że im prędzej twoje obrazki tu się sprzedadzą, tem prędzej będziesz mógł oddać wizytę Panu Bohdanowi, [. . . . .].

W. G.

IV.

Warszawa d. 1. Lutego 1859.

Kochany Franciszku!

Mówisz, żem się zamknął jak trapista, radbym się jeszcze bardziej zamknąć, bo właśnie życie moje otworem stoi dla wszystkich i dlatego to, że tu blizko tak jestem silnie zajęty, pisać wiele nie mogę — dodaj do tego jeszcze i moje lenistwo do pisania — nie zapomniałem ja o nikim z Was tam znajomych — ale cóż mam pisać, ani ja Wam w waszych kłopotach ulgi i pociechy przynieść nie mogę, ani wy mnie nawzajem — cokolwiek bądź się tedy pisze — to po największej części marne, próżne androny, bez celu i skutku, dlatego chyba tylko, żebyśmy nie zapomnieli wzajemnie adresów swoich. — Wiesz na jakiem stanowisku u nas w kraju sztuka stoi, duchowego znaczenia zupełnie niema — jest rzemiosłem zbytkowem, tolerowanem dlatego chyba tylko,

że oświecone narody zachodu przywykło się nałogowo małpować — cóż chcesz, abyśmy mieli do pisania o sztuce, albo o sobie, skoro się jest ledwie z łaski cierpianem a szkodliwem krajowi indywiduum. Myślemy my tutaj nad zawiązaniem Towarzystwa w sposobie Krakowskiego; projekt dawno wygotowany — od trzech miesięcy podany władzom do potwierdzenia, ale jakoś im niepilno, więc nie mamy pewności, czy koło Ś-go Jana będziemy mogli rozpocząć czynności nasze — daj to Boże! Twoje obrazki Zakrzewski zabrał do Kijowa, obadwa co były na wystawie — za jeden (za Baszę, aquarella) posłał Ci na ręce brata swego Walentego, który jest w Paryżu, Wexel na sto Franków, olejny ma nadzieję sprzedać w Kijowie. Kossaka konie pojechały też do Kijowa. Do Krakowa zamierzamy stąd co posłać, ale kto i co, tego jeszcze nie wiemy — wkrótce musi to nastąpić, bo tylko do 15 Lutego podobno przyjmują — a 1. marca otwierają wystawę. Za obrazki Twoje zapłaciliśmy tylko drogę od Krakowa do Warszawy — co wystawie zwrócić zobowiązał się Zakrzewski po sprzedaniu obrazów. Wystawa nasza dobrze się trzyma — teraz mamy kilkanaście projektów konkursowych na kościół, który się ma w Warszawie stawiać może w tym jeszcze roku. Obrazy ciągle przepływają — jedne przybywają, inne ubywają — niewiele się jednak przedaje — mianowicie, co nad tysiąc złotych ceną przechodzi, to kilka miesięcy stać może. Lesser był w Monachium na tych uroczystościach, wrócił od miesiąca. — Z wystawy starożytności w Krakowie Baier (ten sam, co robił te fotografie moje, co Budkowski ma) zrobił sto kart. — Zbiór bardzo zajmujący — Budkowski pisał do mnie przed parą miesiącami, nie odpisywałem mu, bo nie mogłem dołączyć długu mego — ale cóż robić. — Do tego czasu nie mogę jeszcze tego uskutecznić — więc wstyd mi nawet odzywać się do niego kilku słowy w odpowiedzi — lepszy zawsze czyn, niż słowo; Szrettera uściskaj odemnie — Klimkowicza pozdrów — Pana Leonarda[1]) też — Leona[2]) — jak też Kossakowi idzie olejne malowanie naturalnej wielkości? to ciekawa rzecz. — Broszurę o Sztuce odebrałem i składam dzięki Cypryanowi[3]). Dolinę Kowieńską, a raczej całą tę okolicę, znam bardzo dobrze i będę się starał narysować Ci ją, jest bardzo zajmującą, bo Kowno leży na samem połączeniu się Wilji z Niemnem, ma ruinę zamku, kilka starych kościołów. Cymbały, to jest prosta czworograniasta skrzynka, głęboka

---

[1]) **Straszyńskiego.**
[2]) **Kaplińskiego.**
[3]) **Norwidowi.**

na niespełna dwa cale, w niej ponaciągane metalowe struny, w które się uderza pałeczkami drewnianemi, zakończonemi korkowemi kulkami. Skrzynka może mieć łokieć długości, a pół szerokości, może półtora łokcia długości, ale nie więcej. [Tu naszkicowane cymbały].

Pillati i Sypniewski pracują dosyć, poszlą pewnie każdy co na Krak. wystawę. Józef do mnie nie pisał, ale Raczyński ze Lwowa już dwa razy—żąda, żeby mu się o aquarelle od kolegów wystarać— jeszczem mu nie odpisał.—Kręcę się w mojem kółku, jak mogę, dla chleba powszedniego, byle jakie drobiazgi — bazgrzę — wieczorami koledzy do mnie przychodzą, rysujemy z natury i na tem życie spływa niepostrzeżenie, a jednak leniwo i szorstko — że się gorycz łyka, więc człek do gadaniny nieskory — wybacz — że z tym nowym rokiem nic Ci słodszego do podziału z resztą braci nie przesyłam. Dzielę to, czem mam, i co mi najdroższe: moje bóle. —

Wojciech Gerson.

V.

Warszawa dnia 6 Września 1859.

Kochany Franciszku!

Dowiedziałem się w tych dniach od Janickiego, że za dwa tygodnie wyjeżdżasz z Paryża; nie chciałbym — żebyś wyjechał, nie odebrawszy tej niespodzianki odemnie—bo pewnie myślisz, że ja już zapomniałem o Tobie, a to tylko ociężałość nieznośna do pisania.—Mam ja w pamięci wszystkich, czym komu jaką duchową, czy materyalną przysługę obowiązany, niełatwo to z umysłu wylata i z serca—ale jak to wiesz— człowiek w tem chudopacholskiem położeniu to wciąż goni, to za myślami, które mu codzienna na chleb praca przerywa, to znów pegaza wstrzymywać musi wędzidłem z żelaznych potrzeb i konieczności — więc w tym młynie to i pisać ochota nie bierze, bo ciągle jedno w życiu prywatnem, a w publicznem wystąpieniu, o obrazach, to trzeba już zostawić pole zębom krytyków, żeby się miała w co ich żółć obracać, bo inaczej, toby może chorowali na wątrobę.

Masz podobno do kraju wrócić, obiecujesz zawsze przyjechać do Warszawy—zróbże Nam tę przyjemność przecie—a sądzę że i dla Ciebie to z przykrością nie będzie — a tymczasem będę Cię prosił o małą przysługę: w tej samej kopercie idzie list do Pana Leonarda [Straszyńskiego] wiem, że dawniej mieszkał na Gai (!) de Betune na

wyspie Ś-go Ludwika, ostatni dom podobno numer 29 — otóż zrób tę grzeczność dla mnie i oddaj mu ten list, albo daj komu, żeby Go oddał z pewnością — o to głównie chodzi, bo to interes Pana Leonarda. — Jeżeliś łaskaw, a nie gniewasz się na mnie, żem Ci na ostatni list Twój nie odpisał i aż dopiero z pożegnaniem Paryża Twojem kilka słów Ci posyłam, to napisz parę wyrazów pod adresem Wystawy Krajowej Sztuk Pięknych, bo w tym samym domu i na tem samem piętrze mieszkam, gdzie wystawa, Krakowskie — Przedmieście — No. 11. Co robi Budkowski, czy mieszka jeszcze na rue de Donai, 15. bądź łaskaw i to mi donieś, bo chciałbym się jemu jednak z długu wypłacić i nawzajem odebrać od niego fotografie starożytności — on pewnie także niezadowolony ze mnie, żem mu nie odpisał, ale cóż miałem zrobić, trzeba było, albo dług odesłać, albo na próżno papieru nie psuć — a jako żywo, okoliczności wcale nieróżowe — zamiast żeby coraz lepiej, to co coraz trudniej idzie i mnożą się ciężary, aż głowa trzeszczy — jedyna nadzieja nasza, to w Warszawie w Towarzystwie Przyjaciół Szt. Piękn., które, mamy nadzieję, że z końcem tego roku będziemy mogli na dobre zawiązać, że już i pozwolenie Rządowe otrzymamy. Pozdrów tam z łaski Swojej i uściskaj wszystkich, o których wiesz, że im może być miłe moje serdeczne uściśnienie. — Klimkowicza, jeżeli go jeszcze spotykasz etc. — etc. — bywajcie mi zdrowi, o Budkowskim nie zapomnij — i Jego też uścisnąć — serdeczne pozdrowienie i uściśnienie Antoniemu Sztycharzowi[1]) i Tobie nareszcie od szczerze Cię miłującego

Wojtka Gersona.

VI.

Warszawa d. 26 Czerwca 1860. r.

Kochany Franciszku!

Z obrazów Twoich żaden jeszcze do tego czasu nie nadszedł z Krakowa, a Kraszewski się o nie dopytuje — może je w Krakowie sprzedano. O apoteozę[2]) tuszem, którą tu mamy, bardzo konkurują, ale się wszystkim zbyt drogą wydaje. Jeden z tych właśnie amatorów proponował, czy byś Ty nie pozwolił zrobić z tego rysunku fotografii, których najmniej dziesięć po 40 złp. rozsprzedać obiecuje, a tak

---

[1]) Oleszczyńskiemu.
[2]) Mowa o obrazie Tepy, przedstawiającym Apoteozę Mickiewicza, malowanym w r. 1859.

miałbyś i rysunek i wartość jego z osobna w kieszeni — jeżelibyś się zdecydował na tę propozycyę, napisz, a ja każę zrobić fotografię i zajmę się rozsprzedażą — sądzę, że na dzisiejsze czasy rzecz jest wcale nie do odrzucenia — jeżeli możesz, pospiesz się z odpowiedzią. Co tam Budkowski porabia i moje fotografie starożytności — czasy są tak ciężkie, że do tego czasu nie mogę się zebrać na te 50 franków, które mu jestem winien — uściśnij go odemnie. — Musiałeś zapewne poznać tam dwóch tutejszych artystów, z których jeden rzeźbiarz Święcki, jeszcze na Wielkanoc z Warszawy wyjechał, a drugi Szermentowski[1]), pejzażysta, przed dwoma prawie miesiącami. Co oni tam porabiają, jak korzystają z paryskich galeryi i zbiorów, jak im się podoba to, co widzą. Jeżeli się poznałeś ze Święckim — zaprowadź go do Luwru, do zbioru rzeźb staro-francuskich i zarekomenduj mu odemnie parę pomników grobowych z francuskiego piaskowego kamienia, to są te, o których mu tutaj jeszcze mówiłem, że bardzo są stosownym wzorem dla polskiego rzeźbiarza, jako obrobienie piaskowca, zrób to przez miłość dla sztuki, bo ten Święcki, to bardzo zdolny rzeźbiarz, — są tam też doskonałe wzory piaskowcowego rzeźbiarstwa z 14 wieku w Musée Cluny, w sali Termów rzymskich — jest to cały szereg posągów świętych, które w roku 1789 z Notre-Dame de Paris strącono na ziemię; głowy więc ani ręki żaden posąg nie ma, ale draperye są nieporównanej piękności. U nas tu nic nowego nie słychać, spodziewamy się zatwierdzenia Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych we wrześniu tego jeszcze roku, do tego czasu jednak jeszcze wegetujemy, jak możemy. Co Kossak porabia, czy się do nas nie wybiera? tak tu coś mówią, ale zdania są rozmaite, widać że i on niezdecydowany. Straszyńskiego dwa obrazy mamy tu na wystawie: Stanisława Augusta w pracowni Bacciarellego i Zygmunta Augusta z Barbarą, kiedy ich Kmitowie przepraszają — pod względem malowania to bardzo ładne obrazy, skończone starannie i bez pretensyi, tylko ludzie, szczególnie jako postacie historyczne, nie tak pojęte, jakby się spodziewać należało po tak wytrawnym z innych względów artyście. Antoniemu sztycharzowi serdeczne uściśnienia przesyłam, od siebie i od Henryka, wszystkim znajomym, którzy mnie jeszcze pamiętają, braterskie pozdrowienie — co się z Józefem dzieje, gdzie się teraz obraca, czy też elipsy naszego planetarnego krążenia po Bożym świecie spotkają się jeszcze kiedy ze sobą. — Czy nie słyszałeś

---

[1]) Wojciech Święcki, rzeźbiarz i Józef Szermętowski (1833—1876) pejzażysta, cieszący się później wielkiem uznaniem w Paryżu.

co o Pawlikowskim[1]) czy jest w Medyce? Chciałbym pisać do Niego, bo jest tu do nabycia bardzo ładny zbiór własnoręcznych rysunków polskich artystów po zmarłym jednym artyście — możeby mu się przydał? Jeżeli Ci czasu i ochoty starczy, odpisz mi.

Ściskam Cię serdecznie
Wojciech Gerson.

W lokalu Wystawy Krajowej Sztuk Pięknych.

VII.

[1860?]

[Urywek z listu, zachowany na wyciętej ćwiartce].

Weź się ostro do pracy, bo tu wszyscy (nie tylko familia, bo ta z przychylności i dobrego serca) ale i inni ludzie obmawiają Cię, że próżnujesz, że mniej pracujesz, niż dawniej; wszyscy wyglądają od Ciebie jakiegoś większego obrazu; ci, co Cię dawniej chwalili, dziś wątpią o Tobie; zawstydź ich — ale weź się z pokorą, bez dumy, do studjów, w jakiem atelier i licz czas pracy nie na dnie, ale na miesiące a bodaj na lata, a nie miej sobie tego za poświęcenie — a staraj się o książki, któreby Ci kluczem do duszy ludzkiej być mogły. Nie bierz mi za złe tego, co mówię, bo radzę z serca — bom się przestraszył, kiedym posłyszał od Krakowa aż do Lwowa, co o Tobie mówią — Ci, co może dawniej schlebiali Twojej miłości własnej, a dziś się dziwą, że te pochlebstwa odniosły skutek, ukołysały, a raczej rozmarzyły i rozbujały Twoją wyobraźnię i nie dadzą jej się w Tobie skoncentrować. — Widziałem też u Wł[odzimierza] Dzieduszy[ckiego], portrety Goszcz[yńskiego], Bohd[ana Zaleskiego] i Lenart[owicza], nie wiem, które z nich były pierwszemi, a które późniejszemi, ale Bohd. wydał mi się być niepodobnym, Goszcz. trochę, a obadwa bez porówna. . . . . [tu brak dalszego ciągu wskutek obcięcia, poczem następuje ustęp końcowy . . . .] Czy nie masz zamiaru wrócić do Lwowa, ja myślę, że gdybyś teraz, to jest pod lato, a choćby i w zimie wrócił do kraju, a zaczął co tak z krajowych typów robić, z obyczajów miejscowych, toby było i dla Ciebie bardzo zajmujące i na funduszach mogłoby Cię podreperować, a przy tem jest to jeszcze dobra droga od mniejszych rzeczy do większych,

[1]) Mieczysławie.

od wzajemnego stosunku ludzi do siebie, których spotykamy w życiu, do obrazów powieściowych lub historycznych, jeżeli sobie przypominasz wystawę Delarocha, ona może służyć jako potwierdzenie tego, co mówię, o ile znam historyę Ary Schefera, ten szedł podobną drogą, a zaszedł do najwyższych szczytów historycznego i religijnego tworzenia. — Zdziwisz się zapewne, że tak długi list napisałem, rzadko mi się to zdarza — nie zawsze też mam o czem pisać, ale skoro tylko mam przedmiot, nie żałuję papieru i czasu. Ta apoteoza, którą tu przysłałeś, mniej mi się podobała, niż poprzedzająca, czemu Tadeusz i Zosia tak w kącie schowani. Kompozycya-by zyskała, gdyby główna figura była otoczona większą ilością postaci i na tej rozmaitości bardzoby zyskać mogła; czemu zrobiłeś tę zmianę, nie rozumiem; bywaj mi zdrów a pamiętaj o mnie, a odpisuj

Wojtek [Gerson].

VIII.

Warszawa d. 21 Grudnia 1860. r.
Ulica Miodowa Nr. 495 (nowy 3).

Kochany Franusiu!

Nie odpisałem Ci zaraz na list Twój dla ważnej przyczyny, że fundusz, jaki Ci posłać miałem, nie był zgromadzony, starałem się jednak, aby to mogło być przed Nowym Rokiem; posyłam Ci więc wexel na 120 franków z których połowa wpłynęła ze sprzedaży fotografii z apoteozy, druga zaś od Zakrzewskiego za akwarelę, u niego też wexel wziąłem. Co do Hetmanów, tych możesz zrobić ołówkiem nawet, jeżeli portret niedokładny a brzydki, to kontur lekko podcieniowany dać mi może dosyć dokładne o nim wyobrażenie. Któryby zaś był dobrze malowany i z charakterem, tobym sobie życzył mieć z niego dokładną kopię, ale w każdym razie czarną tylko, nie kolorową. Przez ten czas ważna nam się nowina stała w sztuce: zostało zatwierdzone nasze Towarzystwo sztuk pięknych, o które przez dwa lata staraliśmy się — od nowego roku rozpocznie już na dobre swoje czynności — dotychczas tylko rozprzedaż akcyi, pierwsza wystawa nie będzie zapewne prędzej, jak w grudniu przyszłego roku.

Musieliście zapewne czytać w Warszawskich dziennikach i ustawę Towarzystwa i rezultat pierwszych wyborów do komitetu, nie jest to jeszcze alfa i omega dążeń do postawienia sztuki na właściwem jej stanowisku, ale krok w każdym razie znów jeden naprzód na tej drodze. Za parę dni Towarzystwo ma objąć wystawę naszą wraz

z obrazami, a ponieważ o jeden salonik się skurczy i obrazy, które nie są do nabycia, zechce może oddać właścicielom, tedybym Cię prosił, abyś mi napisał, co zrobić z Bozarysem; zapewne trzeba będzie odesłać go Siemieńskiemu, aby go na miejsce przeznaczenia wyprawił. Kossak na dobre myśli w Warszawie osiąść, najął już mieszkanie, ale przedtem jeszcze, właśnie wczoraj, pojechał przez Kraków do Lwowa podobno.

Tęskno Ci, piszesz, do kraju, o wierzę — więc nie czekając długo, przyjedź — chciałbyś jeszcze jedną wielką wystawę zobaczyć — jest Ci czego pozazdrościć, w tym kraju można się dużo nauczyć — a nadewszystko jak pracować i z młodych lat korzystać, póki służą, póki najmozolniejsze studyowanie jeszcze przyjemność sprawia. Ale i u nas przy pracy można postępować, mamy tego dowody naokoło siebie — jednym z nich Sypniewski które[go] każdy nowy obrazek lepszy jest od poprzedzającego. Kossak parę akwareli tu wystawił, znać w nich postęp, ale szkoda, że to zawsze tylko akwarele, przy jego kompozytorskim talencie zdałaby się też i potężniejsza technika. Co Budkowski robi, pewnie coś na Paryską wystawę przygotowywa; musi ładnie malować, bo to jest także jeden z tych artystów, co powoli, ale bez przerwy, do doskonałości zdążają i ani chwili zatrzymania się, ani kroku w tył zrobionego w nim nie dojrzysz. Zresztą nic u nas nowego nie ma, ja tylko oto od roku już, jak do ciężkiego zaprzągnąłem się jarzma, jestem nauczycielem rysunków w publicznym zakładzie — mam, prawda, pensyę stałą i jak do pracy niewielkiej dość odpowiednią, ale też i stale co dzień dwie popołudniowe godziny na belferce tracić muszę — nie złe i to, że jakiś stały jest dochód, bo choć o najpierwsze potrzeby człowiek jest spokojny.

Kazałeś mi ucałować piękne a poczciwe Warszawianki — tyle, żem się oblizał, — pokazywałem znajomym moim Pannom list Twój — ucieszyły się, że tak daleko sława ich sięga, że aż nieznajomi im hołdy składają, na tem się też tymczasem skończyło, właśnie dla tego, że czcigodne — że poczciwe. Coś zawsze jednakowym jesteś wielbicielem płci długowłosej i jak rycerz średniowieczny możebyś za nieznaną a wielbioną Krasawicę gotów kopię kruszyć — lub na turnieju kości sobie rozbijać. „Tyle szczęścia, co człek prześni — tyle życia, co jest w pieśni!...“

Chciałbym Ci co napisać o sobie, ale niestety nie mam co; samemi drobnemi zajęty jestem pracami, o których wspominać nie warto, a chociaż zabieram się teraz do czegoś większego, to z tem nie prędko będzie koniec, a wtedy dopiero będę mógł mówić, że zro-

biłem, jak się już ulęgnie i gotowe będzie, aby ludzkim oczom pokazać. — Co też Ty robisz, pytałem się Ciebie w poprzednim liście o ten Egipski duży obraz — nie odpisałeś mi, czy go kończysz i w jakim jest stanie; robisz też co na tegoroczną krakowską wystawę — ja myślę pejzaż jaki posłać. Budkowskiemu, Antoniemu, Święckiemu i Szermętowskiemu serdeczne uściśnienia przesyłam i życzenia wszelkich powodzeń przy nadchodzącym Nowym Roku —

Twój przyjaciel
Wojtek [Gerson].

IX.

Warszawa dnia 30 października 1869.

Kochany Franku!

Przyjemnie mi jest, że mam sposobność kilkoma słowy odezwać się do Ciebie; wolałbym, żeby wiadomość o obrazach Twoich była zupełniej wystarczającą, gdy jednak na teraz inną być nie może, przyjmij ją tak życzliwie, jak Ci ją podaję, z tem zastrzeżeniem, że jeślibyś podług wskazówek, które Ci tu podam, odszukać nie mógł Bozarisa Twego, gotów jestem jeszcze usilniej go poszukiwać. Otóż co do Apoteozy, tę dla P. Kr.[1]) odebrał do rąk własnych umocowany Jego w roku jeszcze 1861 czy 1862 pod dniem 29 Maja, zaś co do Bozarisa, został odesłany koleją Warszawsko-Wiedeńską w roku 1865 pod datą 3 Sierpnia, nie mogłem jednak doszukać się do tego czasu, na czyje ręce, prawdopodobnie do Krakowa, do tamtejszej Dyrekcyi Towarzystwa Sztuk Pięknych lub do P. Lucjana Siemieńskiego; było to uczynione, jeżeli mię pamięć nie zawodzi, na naglące Twoje żądanie; Kustosz naszej Wystawy nie mógł na razie dać mi dokładnego objaśnienia, do kogo ta paka była adresowana, jeżelibyś więc przez korespondencyę z Dyrekcyą Krak. Tow. nie doszukał się obrazu swego, chciej mi odpisać, ja zaś ze swej strony postaram się za pośrednictwem Komissanta rozpocząć poszukiwanie paki Twojej, jakkolwiek nie taję przed Tobą trudności, które pociągnąć musi za sobą sam czas ubiegły od daty odesłania obrazu Twego z naszej wystawy. Tomasz Malinowski, za pośrednictwem którego wiadomość o Tobie, kochany Franku, otrzymałem, mile bardzo wspomina wspólny Wasz pobyt u wód Karlsbadzkich, z czego widzę, że

---

[1]) Kraszewskiego.

jesteś zawsze tymsamym kochanym, serdecznym, towarzyszem, ujmującym serce każdego, z kim Cię losy skojarzą, z Jego ust też dowiedziałem się, że Tobie, jako jednemu z członków Dyrekcyi Towarzystwa Szt. Pięk. we Lwowie, winienem część tej życzliwości, z jaką pracę moją zeszłoroczną na premium Wasze obraliście. Cieszę się, że obraz ten wróci jeszcze do pracowni mojej, że zatem będę mógł usterki, jakie w nim widzę, poprawić; miałem z nim duże trudności do zwalczenia: pomrokę kończącej się nocy i odblask pierwszych promieni różowego wschodu słońca, co na obrazie, mającym się utrzymać w surowości i spokoju, jakiego wymaga historyczny przedmiot, nie jest tak łatwo do pogodzenia w szczęśliwy sposób, jakby się na pozór wydawać mogło; że jednak w szkicu kolorowym mam ten efekt daleko udatniej wykonanym, zatem spodziewam się, że i w obrazie, po pewnym, nadewszystko, czasie niewidzenia go, będę mógł do niego barwy moje dociągnąć. Zmartwiło mnie to, żeś aż u wód Karlsbadzkich pomocy w zdrowiu szukać musiał, wyobrażam sobie, jak Ci musiało być ciężkiem kilkotygodniowe wstrzymanie się od ulubionego zajęcia, tem bardziej, że mi Tomasz opowiadał o pokusie do pracy, jaką Ci nastręczała cudnej piękności czarnobrewa.

Musiałeś pewnie do tego czasu już wynagrodzić sobie stracony czas dla sztuki, usilną pracą po przyjściu do zdrowia. Praca jest także dobrym środkiem hygienicznym, a urozmaicenie onej najlepszą rozrywką; tej zasady trzymam się od dawna, a przeplatając chlebodajne roboty pracą dla sztuki, nie czuję zniechęcenia ani do jednej, ani do drugich i w zdrowiu trzymam się jako tako.— Zechciej przyjąć serdeczne moje pozdrowienie i zapewnienie prawdziwej życzliwości kochającego Cię

Wojtka [Gersona].

Adres mój albo: na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem w Warszawie,
albo: Ulica Bracka Nr. 1583.

[Dalej przypisek:]

Kochany Panie Franciszku!

Nie mogłem wcześniej zająć się Twym interesem, bo po powrocie do Kraju odesłano mi bardzo chorego chłopca, musiałem więc przez dwa tygodnie przeszło, być ciągle przy nim, aby uchronić go od śmierci, wybacz więc kochany Panie Franciszku, że chociaż tak późno odbierasz niniejszą korespondencyę, lecz lepiej niż nigdy. — Panna Buchowska opowiadała mi dużo o Tobie, polecając bezprzestannie

Twój interes, nie wiem jednak, jak tam czas spędzaliście z sobą, ale myślę że dosyć przyjemnie, bo to niezła dziewczyna. — Rychter obecnie bawi w Warszawie, widziałem się z nim dwa razy, jest zdrów, i nie nudzi, widać mu wody pomogły, jak również i mnie, czy też Tobie dobrze zrobiły, może podług przyrzeczenia, przysłania swej fotografii, zechcesz i o tem mnie zawiadomić. A obecnie przysyłając Ci serdeczne uściśnienia i ucałowania, zostaję zawsze życzliwym przyjacielem

T. Malinowski.

X.

Warszawa dnia 26 Marca 1870. r.

Kochany Franku!

Zrobiłeś mi Twoim listem nieprzemijającą przyjemność, oto trzy miesiące już prawie minęły od daty onego, a czuję to równie mocno, jakbym go dopiero co otrzymał, nie dlatego to jednak doświadczenia, uczuć moich przyjaznych dla Ciebie, teraz dopiero odpisuję; przyczyną opóźnienia, jedną z najgłówniejszych, jest to, że do tej pory jeszcze oczekuję na obraz mój z Monachium. Pisałeś mi, że w styczniu go odbiorę, przeczekałem więc styczeń i luty, aby Cię równocześnie zawiadomić o odebraniu i o tem, jak podług mego zdania litografia się udała, nie mogąc się jednak doczekać, piszę, zostawiając podzielenie się z Tobą tem, co tej sprawy dotyczeć będzie, przyszłemu listowi. Druga sprawa Twoja, dotycząca obrazu Botzarisa, szczęśliwie się wyjaśniła, znalazł się tam, dokąd odesłaliśmy go z Warszawy, zapewne do tego czasu już Ci go Towarzystwo Krakowskie zwróciło. — Wiadomość tę mam od Towarzysza M., który aż sam zgłosił się do mnie po przysłane przez Ciebie fotografie Twoje, powiedziałem mu zaraz po otrzymaniu, że je mam, alem się nie spieszył z oddaniem, ulegając przyjemności, jaką mi widok Ciebie, jakim jesteś dziś, sprawiał, a gdyby nie miały tak stanowczo oznaczonego przeznaczenia, byłbym z pewnością jedną dla siebie zatrzymał. Wcale nie znać na fotografii, żebyś potrzebował aż wodnej kuracyi w Karlsbadzie używać; porównywałem ją z dawniejszą, paryską, a nawet to naoczne sprawdzenie różnicy nie wykazało mi, prócz tej, że poza Twoja dzisiejsza bardziej artystyczna.

Na tegoroczną wystawę Waszą poszlę zapewne dwa obrazki moje, jeden będący własnością prywatną (a tu mam wątpliwość, czy wła-

ściciel pozwoli) historyczny, a drugi rodzajowy, który właśnie kończę i mam nadzieję na termin się z nim jeszcze zgłosić; przesyłkę tańszą wyrobiłem na naszej kolei żelaznej, więc też dwa posłać lub odebrać w każdym razie łatwiej — spodziewam się, że i Wy też korzystać z tego będziecie i częściej naszą wystawę swojemi pracami zasilać zechciecie. Nadewszystko ciekawy jestem Twoich, kochany Franku, olejnych obrazów, tak dawno już nic nie widziałem; na wystawie powszechnej 1867 miałeś tylko akwarele, nie mogę z nich mieć najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku dzisiaj idziesz pod względem pomysłów obrazowych i kolorytu. Jeżeliby Ci przyszła ochota lub myśl szczęśliwa pisania do mnie, chciej to zrobić po zobaczeniu obrazków, które teraz Wam poszlę — o poprzedzającym ogólnie mi tylko napisałeś że sympatyczny, zdanie to Twoje serdeczne, jako człowieka, ale co artysta obok tego mówi? na co się Twoje estetyczne poczucie oburza, a co pochwala?—z czem się zgadza, a w czem jest z mojem sprzeczne? oto są pytania dla mnie żywotne, mam nadzieję, że odpowiedź na nie znajdziesz w Twem poczuciu, a że ja w odpowiedzi znajdę choć trochę z tego Twojego dzisiejszego wyrobienia w sztuce, którego owoców tak dawno już nie widziałem.

Przyjm serdeczne uściśnienia braterskie

Twego Wojtka [Gersona].

Adres mój: Ulica Bracka Nr. 1583.

[Na tem kończą się listy W. Gersona.]

XI.

Warszawa 7-go Maja 1854.

Drogi Franciszku! Twoje przypomnienie się, niezmiernie mnie ucieszyło;—ale dziwi mnie, jak Ty mnie zapytywać możesz, czy ja zapomniał? Czyż można zapomnąć chwile spędzone we Lwowie razem, spacery na Wysoki Zamek,—posiedzenia artystyczne i u mnie i u Ciebie, kiedy to się malowało miniatury! — Mój Boże! wszystko minęło, a ludzie Ci sami, myśl tażsama; miejsca zostały — a reszta przeszła jak sen. A we Wiedniu? czyż to nie dałem Panu Dobr. na pamięć dla kolegi z albumu mego cztery woły? — więc z tego sądź, że kiedy pamiętam woły i chłopa, co batożek kręci, to na Franka poczciwego, artystę kochanego nigdy nie tylko że nie zapomniałem, ale nie zapominam i zapomnąć nie mogę.

Pro secundo: okoliczności miały nas zbliżyć; ale przeklęte moje przeznaczenie, że zupełnie co innego się dzieje, jak to, co sobie za-

myślam, i wtenczas nie dało mi uskutecznić tego, na com się cieszył naprzód.—Wracając z Wiednia, wracałem z Panem hr. Adamem P. [Potockim], przypadkiem, jadąc do Warszawy; koniecznie chciał mnie wziąść na Wschód z sobą; obiecałem mu, dał mi dwa termina — i nic z tego wszystkiego. — Tam bylibyśmy się zobaczyli. — Do Paryża już wiesz od kiedy jadę? — po Kijowach, Moskwach, Petersburgach siedziałem po kilka miesięcy, [w] Warszawie siedzę już drugi roczek nieuroku; — a Paryż? — na łasce Pana Zygmunta Rodakowskiego, któren mi w połowie Marca jeszcze obiecał od samego Pana Namiestnika Gołuchowskiego przysłać paszport — a tymczasem już połowa Maja blizka — oj tak mój kochany — nieszczęśliwy ten Paryż, nie wiem dlaczego dla mnie tylko? — a teraz właśnie mógłbym jechać!

Co się tyczy naszej poczciwej kochanki, która nas nigdy nie opuszcza, nam się nigdy nie sprzeniewierza, nawet swoim kosztem dosyć porządnie utrzymuje, wstęp między porządnych ludzi i kredyt wyrabia! — poczciwej i pięknej sztuki! — co się tyczy tej, muszę ci donieść, że nigdy o niej nie zapomniałem, i tak, jak dla córek Ewy bywałem ślepo wierny i bywam niestety — tak tem bardziej o Niej pamiętam. — Pracuję ciągle i staram się o ile możności robić postępy i Bogu dzięki lizie to jakoś, jest i doświadczenia trochę i wprawy i fantazyi nie brak — tylko — tylko — Ty wiesz co? — Tyś artysta, Ty mnie zrozumiesz, tego brak, że: nim się skończy jakie smarowidło, to jeszcze jako tako człowiek się cieszy, że może będzie coś lepszego, tym czasem zamiast finis coronat opus, — clapsit gloria mundi! — immer der alte Nazi (!) — Pomimo tego pracuję ciągle, — do olejnego zabieram się, maluję parę dni i rzucam, bo nie mam sposobu wykręcić się od akwareli, które robię na łokcie długości i szerokości; — tak Panie Dobr. — a Ty wiesz, że to potu czoła kosztuje zasmarować największego Wattmana, jaki egzystuje, dać temu kolor, czystość i siłę; — wszystkie obstalunki akwarelą, dla tego, że rzadkość i moda; — Mego rodzaju zawsze się trzymam, to jest: Portrety amazonek i sarmatów konno, — sceny z powieści naszych, gdzie konie, — sceny z historyi, polowania, — i tym podobne, co doskonale płacą, i ciągle mam obstalunki; — ostatnia akwarela już skończona i w środę oddana, bitwa pod Żółtemi Wodami, gdzie zginął Stefan Potocki, za czasów Władysława IV. — bardzo tu się podobała nie tylko amatorom i znawcom, ale i artyści tutejsi, którzy, jak wszędzie niestety, kochają się jak psy z kotami, oddają dużo pochwał, może niezasłużonych, ale cóż robić? — przyszlę wam fotografię z obrazu zdjętą, to wy tam swoje powiecie; — długa na dwa blizko łokcie i półtora szeroka, — grup

głównych, robiących całość, z grupą środkową, gdzie figuruje Potocki, spadający z konia: pięć; — samych figur dwadzieścia, koni osiem, nie licząc w to głów ludzkich i końskich, rąk, nóg, zadków i półdupków, nosów na kopy; — fatalnie się biją, to sobie muszę przyznać, aż trzeszczy wszystko; widać, że o życie idzie i to ludzi znakomitych i odważnych! — o reszcie nie mogę pisać, bo-byś mógł myśleć, żem już zgłupiał na starość. — Dosyć, że starałem się, przez kilka miesięcy, pracując powoli z namysłem; — i dosyć mi się udało pomimo trudności. — Teraz zacznę dla Pana Hr. Włodzimierza [Dzieduszyckiego] polowanie, z Dzieduszyckimi żyjącymi i nieboszczykami niestety; — rozpisałem, czyli raczej rozgadałem się z Tobą i może Cię już nudzę, ale daruj, bo tak mi jakoś miło z Tobą pobaraszkować, że jeszcze z kilka arkuszy byłoby za mało! — Dla tego do końca spieszę — a nadal zostawiam sobie przyjemność. — A teraz ad rem.

[Na tem kończy się pierwszy arkusz listowego papieru, formatu 4-o; reszty brak].

[Juliusz Kossak].

XII.

24. Grudnia 856.

Bardzo żałuję, żem nie był w domu przed wczoraj i tym sposobem stracił Pańską wizytę.

Posyłam Panu miniaturkę, z prośbą, żeby ją pan jak najprędzej zrobił; Osoba do której należy kopia, zgadza się z ceną 150 fs.

Polecam się pamięci Pańskiej

Henryk Rodakowski.

XIII.

7. Avril.

Szanowny Panie Tepa!

Spodziewając się, iż Maska i Medalion nie są mu już potrzebne — upraszam o łaskawe mi ich odesłanie.

Wdzięczny bardzo będę za akuratność, gdyż czas już wziąć się do ostatecznego ukończenia mojej pracy, a chciałbym, i potrzeba nawet, zacząć od głowy.

Proszę przyjąć zapewnienie mego szacunku

sługa

Władysław Oleszczyński.

Avenue Ste Marie du Roule
2. ter.

XIV.

Paryż dnia 18 Grudnia 1861.
76. r. N. D. des Champs.

Kochany Franciszku

Otrzymałem Twój list z 24. Listop. i bardzo Ci zań jestem wdzięczny — dziękuję Tobie serdecznie za to, żeś pamiętał o moich interesach. — Otóż i ja nie zapomniałem o Tobie:

Poszedłem do Michała z prośbą, którąś dla niego podpisał; listu zaś, który do niego pisałeś, nie oddałem mu (gdyż takie miałem czucie), a tylko powtórzyłem mu Twoje słowa, które do mnie mówiłeś w Twojem mieszkaniu, manifestując Twoje uczucia, wskutek których powziąłeś myśl zrobienia mu tej ofiary — otóż Michał to uczcił i z wdzięcznością dar Twój przyjął.

Byłem później u Goreckich; bardzo mię tam mile przyjęto i proszono o podziękowanie Tobie — zastałem tam także i p. Helenę, która niezbyt dawno z kraju wróciła, zrobiła się taka panna wspaniała, żem ją prawie nie poznał — wiele mi z kraju opowiadała, a po kilku chwilach serdecznego przyjęcia, prosiły mię uprzejmie, abym ich dom we środy odwiedzał, z czego, jak się spodziewasz, nie omieszkam korzystać.

A teraz Ci powiem o rzeczy niezbyt przyjemnej: Zaniosłem jeden exemplarz Lit.[1]) Gałęzowskiemu — powiedział mi, że gdyby nie podpis, toby prawie nie poznał, tak w tym portrecie nie znalazł jego wyrazu i rysów; Januszkiewicz mówi toż samo, inni mówią, że podobny — jednakże to wszystko bardzo mi szyki popsuło, bo w Paryżu dotąd jeszcze ani jednego nie sprzedałem, pomimo, żem zniżył na 3fr. cenę.

Pisał mi z Krakowa Baumgardten, odpowiedziałem mu, ale dotąd jeszcze mi nic nie odpisał — Wild wcale się nie zgłosił, może później.

Tymczasem u mnie jak zwyczajnie; zrobiłem portret P. Różyckiego, z którego wszyscy powszechnie są kontenci, ja sam jestem też dość zadowolniony, wkrótce będę go litografował.

Żegnam Cię tymczasem kochany Franciszku, życząc Ci z duszy dobrego powodzenia i polecając się Twej pamięci i przyjaźni,

Twój
Julian [Mackiewicz].

---

[1]) Litografii, wykonanej przez Mackiewicza z portretu Lelewela, którego Tepa portretował w r. 1859 w Brukseli, a następnie powtórnie, z początkiem roku 1861.

XV.

Poznań dnia 20 września 1870.
Hotel Bazar.

Kochany Kolego!

Dnia wczorajszego wróciłem ze wsi, gdzie na parę tygodni wyjeżdżałem — po przybyciu więc dopiero otrzymałem Twój list z d. 6 września — naprzód dziękuję Ci za życzliwą pamięć i uprzejmość w sztuce załatwienia mego interesu we Lwowie — a obowiązanym Ci będę, jeżeli takowy zechcesz ułatwić — gdyż pomimo, iż otrzymałem list od Łozińskiego, że Wild przyrzekł niesprzedane egzemplarze odesłać i pieniądze za te, których będzie brakować do par 50-ciu — dotąd jednakże ani pieniędzy, ani przesyłki nie odbieram, jednocześnie więc z tym listem posyłam znowu pismo do Wilda, aby raz chciał mi zwrócić to, co w przekonaniu za obowiązek uważać powinien. — Czy to będzie skutkować nareszcie, nie wiem. — Zawsze proszę Cię ze Swej strony, chciej to poprzeć. — U Was nie lepiej jak tutaj — smutno pomyśleć nad lekceważeniem cudzej własności — wchodzące nawet w zakres niepoczciwości — przysłałeś tu Twą piękną pracę, na odpowiedzialność Komitetu — któren wziął się nie do swoich rzeczy — niedotrzymując zobowiązań — gdyż już kilka takich wezwań od kolegów miałem — pościągali obrazy i już nie troszczą się o ich odesłanie — trudno się od tych Panów co dowiedzieć — jeden odsyła do Anaasza (!) drugi do Kaifasza — wszyscy ręce umywają — taka też historya z Twojemi żydami — wszystkie obrazy umieszczone są na tutejszem kółku Towarzyskiem — jest między niemi i Twój zawieszony w sali balowej — gdyż nie sprzedano żadnego — myślę jednak, że jeżeli nie masz pewności sprzedania go w Krakowie lub Lwowie, to może lepiej zostawić go tu jeszcze parę miesięcy, gdyż w porze zimowej bywają tu w tej sali liczne zgromadzenia obywateli, może więc znaleźć amatora — w każdym razie obowiązuję Ci go wydobyć z tej niewoli Egipskiej i przesłać — jeżeli zaś zgadzasz [się] na pozostawienie, to donieś mi o cenie — a sam chętnie pośredniczyć będę w wyszukaniu nabywcy.

Dziwisz się zapewne skąd tu przywędrowałem — oto tak, jakoby liść jesiennym wiatrem na pustkowia zagnany — wyjechałem z Paryża, aby po kilku latach odetchnąć naszem powietrzem — tymczasem wypadki wojenne zatrzymały mnie tu dłużej nad zamiar, a dziś zupełnie odcięty jestem od Paryża — jeżeli się tam źle skończy, nie będzie po

co powracać, bo któż tam każe sobie portrety malować — być więc może, iż — przedsięwezmę starania o pozwolenie powrotu do Warszawy — bo mi się już rzeczywiście ta włóczęga po obczyznach sprzykrzyła.

Otóż i wszystko, co Ci donieść mogę, tu smutno bardzo — bo zwycięzka wrzawa niemile do ucha wpada — wolę więc zakończyć na serdecznem pozdrowieniu i polecam się życzliwej Twej pamięci.

T. Maleszewski[1]).

P. S. Gdyby jakiś księgarz we Lwowie chciał zakupić wszystkie owe 50 par za 150 guldenów, z warunkiem, że pieniądze natychmiast mi tu do Poznania nadeszle, tobym je odstąpił; w sprzedaży księgarskiej Wizerunki te są dotąd po 5 guldenów para — tak więc zaledwie koszta wykładu pragnąłbym otrzymać.

XVI.

Bordeaux, rue de l'Arsenal, 32.

Kochany Franciszku.

Od trzech miesięcy, jak już przesiaduję w Bordeaux, wyczekując, aby powrócić do Paryża, jeżeli bomby oszczędzą atelier i pozostawione tam ruchomości — będąc w Poznaniu, doszły mnie posłuchy, że wystawa Lwowska ma być zupełnie zamkniętą. — Nie wiem, czy to prawda; mając do przesłania obrazek, chciałbym na pewno wiedzieć. Potem polecam Twej życzliwej pamięci myśl, podaną komitetowi Lwowskiemu: Zakupna portretu olejnego Bogdana Zalewskiego, znajdującego się teraz na wystawie Krakowskiej — sądzę, żeby dobrze zostały przyjęte przez Akcyonaryuszy Ziemi ukraińskiej premia portretu waszego Wieszcza — piszę na niepewne, bo może nie jesteś we Lwowie — próbuję jednakże — nie wątpiąc o Twej życzliwej pamięci i Koleżeńskiem poparciu —

ściskam Ci dłoń serdecznie

T. Maleszewski.

d. 28 stycznia 1871.

Od Łozińskiego za sprzedane exemplarze owego wydawnictwa nic nie otrzymałem.

---

[1]) Tytus Maleszewski (1829—1898), malarz rodzajowy, a głównie portrecista, który rozpowszechnił zapomocą litografii liczne wizerunki polskie, jak Chopina, Moniuszki Skargi, Kochanowskiego, Mickiewicza, Sobieskiego, Czarneckiego. Kształcił się w latach 1855—1858 równocześnie z Tepą u Leona Cognieta w Paryżu.

XVII.

Szanowny Panie,
Łaskawy Kolego!

Właśnie co wracam ze sesyi naszego Zgromadzenia Profesorów — była tam mowa o przedstawieniu kandydatów na opuszczoną posadę Profesora Krajowidoków, a myśl nasza zwróciła się ku Tobie, Panie. Nikt podobno godniej nie reprezentuje sztuki, nikt więcej nie kwalifikuje się na przewodziciela młodzieży na wyżyny sztuki, to też, o ile sądzimy, że zrobiłbyś Pan tę ofiarę dla dobra kraju, to jednak — jednak, nie śmiem powiedzieć, ale wielkiego wynagrodzenia spodziewać się niemożna. Namiestnictwo żąda postawienia spiesznie kandydatów, czyby nam wolno było i imię znakomite Kolegi położyć, skoro doniosę, że pensya była niezbyt zachęcająca, bo około 600 fl., ale też i zajęcie niewielkie, bo uczyć sześć godzin tygodniowo młodzieży kilku z dojrzałych i przygotowanych, głównie rysunek i akwarela ze wzorów i trochę natury w lecie.

Jeżeli, Panie, chciałbyś przynajmniej położyć swe imię na liście przedstawionych, jużbyś nam przysługę wyrządził, a nie przeczę, że powoli namyśliłbyś się Pan na przyjęcie. Dwa miesiące feryi — Koleżeństwo artystyczne z Matejką i drugimi, piękne okolice miasta — świat przeszłości pod ręką, czyż nie są zachętą do przyjęcia, jeżeli Bóg da, że Ministeryum zgodzi się na propozycye nasze. Wszakże Namiestnik, który w szczególnej łasce ma dobro szkoły naszej, jak to często opowiadał — niemało przyczynić się może, aby szkoła zyskała taką podporę w Osobie Pańskiej.

Wprawdzie dziwnym zbiegiem okoliczności narzuca nam ni stąd ni z owąd Rada Szkolna swego kandydata, ale szkoła, która przez lat tyle chwalebnie wydawała dobrych artystów, nie może przystać na wprowadzenie doń człowieka bez wykształcenia i znajomości traktowania pejzażu.

Prośbę moją w krótkości powtarzam: racz mi Szanowny Pan odwrotną pocztą odpisać, czy zgadzasz się Pan na proponowanie Pana przez Zgromadzenie Profes. Wysokiemu Ministeryum na posadę Profesora Krajowidoków w szkole naszej.

Oczekujemy z niecierpliwością odpowiedzi na tę wiadomość, która mi poleconą została przez Zgromadzenie Profesorów, iżbym zapytał.

Zostaję z poważaniem
sługa
[Kraków] 26/11.872. W. Łuszczkiewicz.

XVIII.

Panie Franciszku,
Szanowny Kolego!

Mea culpa, wyznam szczerze, że nie odpisałem natychmiast na łaskawy list szanownego Kolegi, ale wszystko to miało, jak powiadają, racyą. Sprawa posady w naszej szkole, to rzecz z tysiąca nocy i jedna[!], to rzecz dramatyczna, w której udział brało wielu, niewiedząc że ich ciągnie na pasku jedna okrutna zemsta! upersonifikowana w postaci proroka Eliasza!! Jakże można mi było połapać się i coś rzeczywistego odpisać. Dziś, kiedy wszystkie nadzieje nasze dla szkoły sparaliżowane zostały, kiedy nadzieja koleżeństwa z takim Tepą ominięta, niech mi będzie wolno po raz pierwszy o rzeczy brudnej mówić, a patrzę koło siebie, czy kto nie stoi za mną, kiedy to piszę i nie gorszy się, że cnotliwy dotąd Łuszczkiewicz o takich brudach pisze. Robię to dlatego, żeby się wytłómaczyć, co znaczyło, aby i S. Pan zdecydował się był szybko.

Zacznę ab ovo.

Historya szkoły sztuk pięknych w Krakowie poczyna się od roku 1818 — od tego czasu do 1830 kłócił się Prof. Peszka z Prof. Brodowskim — od tego czasu kłócił się Stattler z Głowackim — Bizański z Brodowskim[1]). Od roku 1852 nikt się nie kłócił, bom arrogował sobie dyrekcyę moralną, i choć młody, umiałem pracować. Od 1852, do dziś, wychodzili z tej szkoły młodzi artyści, bo była zgoda, a kierunek zwrócony był do tego, aby uczniów nie bawić igraszkami, ale seryo, jak to kochany Pan, coś szkołę poznał, sam twierdził. Powiem, że przy ubóstwie, to co się zrobiło, sumiennie wyznać muszę — mojej pracy dzieło, najmniej Rządu, który o tę szkołę nie dbał i dotąd jak widać mało dba, a tu Matejko głośno pisze po dziennikach, że tylko u nas się uczył.

Otóż w owe czasy, kiedy Tepa był sędzią co do wysłania ucznia za granicę, niejaki Pan [. . . . . .], Kochany uczeń, odsunięty przez S. Pana, powziął zemstę gwałtowną do Swego Profesora — zemsta ta urosła przez odsunięcie Papy [. . . . . .] od restauracyi Ołtarza W. Stwosza, a rosnąc coraz bardziej przemieniała się w listy anonymy, rozrzucane po kraju — w artykuły — w denuncyacye anonyma do Namiestnictwa, na nutę, że Łuszczkiewicz nie mniej, ni

---

[1]) Józef Peszka (1767—1831), Józef Brodowski (ur. ok. 1775, zm. 1853), Jan Nepomucen Bizański (1804—1878) Wojciech Korneli Stattler (1880—1875), Jan Nepomucen Głowacki (1802—1847), profesorowie krakowskiej szkoły sztuk pięknych.

więcej, tylko złodziej. Każde nowe uznanie mych zasług — każda praca moja, podnosiła zaciętość rodu [. . . . . .] tak, żem się odsuwać musiał od wielu usług, byle nie drażnić żmii. Tyle co do stosunków z temi figurami, a teraz akt drugi, pod tytułem: Zemsta.

Był w szkole naszej niejaki P. Dembowski, który dawną tradycyą będąc Z Profesora[!] Rysunku w Gimnazyum, miał obowiązek uczyć Krajowidoków. Dużo gadający człowiek o swych poświęceniach, że za darmo uczy, o tem kilka razy na tydzień mówił — a uczył głupio przez lat 8, nikogo nie wykształcił, a młodzież bałamuciła się, bawiąc się, a uczyć poważnie niechcąc. Jako kierownik, kilku wyjątkowo zdolnych uczniów, przestrzegłem, że się bawią, a wiek upływa, że źle studyują, że lekceważą, bo wolno było kopiować to zielono, co było na wzorze czerwone — wiesz Pan co to niedouczonych nauczyć sposobiku, a grunt ominąć. Doniosło się to do Dembowskiego i umyślił pomścić się na mnie. Opuścił Gimnazyum, a więc i nas, bo został w Realce Profesorem, wtedy wyrzekł: wychodzę, ale wpakuję żmiję za kark Łuszczkiewiczowi. Znajduje się pomoc w Radzie Szkolnej — ta mianuje [. . . . . .], który o pejzażu ani śnił, — który zaledwie farę skończył — szkoły naszej nikt się nie pyta. — Ponieważ w nominacyi jego do Gimnazyum wspomniano o obowiązku uczenia u nas, przeto zgłasza się, ale cóż, kiedy w tej chwili odbieramy Namiestnictwa żądanie, abyśmy postawili kandydatów na posadę Prof. Krajowidoków, gdyż Namiestnictwo łączy się ze zdaniem Korporacyi, iżby te posady rozłączyć. Wtedy czekając próżno na odpowiedź od Sz. Pana, podaliśmy Kossaka, że zaś ten później umyślił się na: nie, przeto była mowa na seryo o Tobie Panie.

Tymczasem wszelkie pisanie szkoły do Ministeryum zostało skręcone przy pomocy dobrych przyjaciół z Rady Szkolnej — wczoraj przyszedł ukaz wprowadzenia [. . . . . .] na złość i upokorzenie moje — na krzywdę i smutek uczniów, którzy jak cały świat, wiedzą, co to za sztuka. I my mamy mieć autonomię! chyba, żeby szewcy o sztuce decydowali.

Zawsze Twój, Panie,
W. Łuszczkiewicz.

Daruj Sz. Pan, że, choć sine ira et studyo mu przedstawiam, wydaje się być nie do uwierzenia — czyż nie godziło się jednak Panom Referentom mieć więcej miłości dla sprawy sztuki w kraju, czyż nie godziło się być ostrożniejszym?

[Kraków] 2/1 873.

XIX.

Dnia 27. Sierpnia 1880.

Szanowny Kolego!

Pociesza mnie to bardzo, że interesujesz się pracami mojemi, że oko Twoje, dusza, niezaciemnione zostały tym realnym kierunkiem, jaki się dzisiaj objawia w sztuce. Gdzie figura w obrazie, aby tylko dobrze zmodelowana podług natury, już jest dostateczną, aby obraz stanowiła. — Porzucili wszystkie bogate treścią i myślą temata. — W głowach ich i sercu jakaś zimnota. Imaginacya przygnieciona sprawą codzienną, dusze bez egzaltacyi. — Chęć zysku przeważa we wszystkiem. — Ta choroba wszystkich ogarnęła — rozprawiają wszędzie o sztuce w ogóle, a ledwie tysiączny coś nabywa. — To, co widzisz w moich pracach, jest to zabytkiem czasów po-Mickiewiczowskich. — Jak mogłem wywiązałem się w moim Konradzie, któren się Wam podobno podobał. — Miałem wiadomość od Fabiańskich, że podobno pragniecie go nabyć i reprodukować. Scena ta z Konrada przez nikogo tu w obrazie nie była traktowaną, oprócz przezemnie, a zatem z korzyścią dla Towarzystwa waszego przypadnie. — Tylko nie wymagajcie, abym wiele spuścił z ceny. — Zresztą zadecydujcie, co ostatecznie dać możecie — abym wiedział, jak postąpić. — Będąc na wsi odebrałem tę wiadomość od Fabiańskich, odpisałem pobieżnie na ręce Towarzystwa Sztuk waszego — dość pobieżnie. — Odpowiedź z waszej strony będzie mnie szukać i już nie znajdzie, bo jestem obecnie w Warszawie. Pospieszam zatem i proszę, abyście mi dali odpowiedź, adresując do Warszawy, Ulica „Chmielna“ Nr. 5-ty. Dziwię się, że ktoś z amatorów nie zajął się „Toastem“, ten obraz przecież pokaźny, starannie opracowany, przy prostocie swojej ma pewien powab i obyczaje nasze uwydatnia — i nie jest tak drogi. — Ale to już do Ciebie, Panie Franciszku, nie należy, Twoje dobre chęci są już objawione, a daj Boże, abyśmy zawsze zobopólnie byli z siebie zadowoleni i stosunek nasz koleżeństwa podtrzymali, o ile się da.

Całuję cię serdecznie i będę się starał, aby do Was tak kiedyś przyjechać. Gdzie bawią obecnie Fabiańscy, nie wiem napewno, ukłony im zasyłam.

F. Sypniewski.

Ulica Chmielna Nr. 5 w Warszawie.

XX.

Busk 28/8, 881.

Mój zacny i kochany Kolego!

Pisałem do Ciebie na początku b. m., a nie otrzymawszy odpowiedzi łaskawej z Twej strony, ośmielam się drugi raz nadużyć Twojej cierpliwości. — Zapewne jeszcze nie wykończyłeś Akwareli do Album — i to zapewne wstrzymuje Cię od nadesłania mi wiadomości, co się stało z moim obrazem — Cierpiącym Chrystusem? — któren Twojej łaskawej powierzyłem opiece. — Drugi teraz nadesłałem obraz „Wesele ruskie w okolicy Buska“ — przesłałem go na ręce P. Hawranka, dlatego, że mi ram do niego potrzeba. — Proszę Cię, bądź łaskaw, zobacz go i umieść na Wystawie.

Ja tych wszystkich Panów nie znam, dlatego Ciebie mój poczciwy i zacny Kolego proszę, abyś był łaskawym przewodniczyć i popierać moją sprawę, za co może Bóg dobry da, że Ci się odwdzięczę. — Oczekując Twojej odpowiedzi — Ściskam Cię z całego serca po Koleżeńsku,

Konrad v. d. Coghen.

XXI.

Stwierdzam niniejszem że:

znajdując się w czwartek 19. Października b. r. w pracowni Pana Franciszka Tepy, artysty malarza, zastałem obraz Jego (akwarela — portret ś. p. ojca autora) powracający z wystawy w Przemyślu, a który w tejże chwili został był rozpakowanym, w najokropniejszym stanie zniszczenia.

Szkło grube szlifowane, pokrywające jedną całą szybą obraz, znalazło się stłuczonem, wskutek czego obraz został gęsto porysowany i cięty, mianowicie:

1) przy zewnętrznym kąciku i pod jaskinią prawego oka dwa[!] szramy;

2) na nosie długi rys;

3) na czole kilka cięć;

4) koło brody również, tudzież niemało popsutych miejsc na tle i ubraniu.

Widziawszy tenże sam obraz poprzednio u Pana Tepy, jakoteż na samej wystawie w Przemyślu, w stanie zupełnie nienaruszonym, łatwo mi było osądzić — stan uszkodzenia po jego powrocie z wy-

stawy; — Przyczynę zniszczenia należy szukać w złym i niestosownym sposobie opakowania onegoż obrazu przy odsyłce; śruby przytrzymujące wieko do paki, zostały wbijane młotkiem, co, zważywszy, że w pace znajdował się obraz pokryty szkłem, jest nie do pojęcia, i nie do uniewinnienia. Specymen tych młotkiem wbijanych śrub widziałem.

Nie mogę również nie wspomnieć, że rama i złocone passepartout, w wielu miejscach poniszczone, i że akwarela niechybnieby poszła była w kawałki, gdyby nie okoliczność, że papier jest przylepionym na desce.

Jestem gotów w każdej chwili potwierdzić to wszystko ustnem zeznaniem.

Paweł Merwart
artysta malarz[1]).

Lwów, dnia 19-go Października 1882.

XXII.

Paris. 13 Avenue Trochot.

Piątek 17. 11. 82.

Kochany mój mistrzu!

Spodziewam się, że Cię ten list zastanie przy dobrem zdrowiu i wesołym humorze.

Mój humor trochę zwichnięty; poniosłem stratę znaczną w fotografiach, szkicach i rysunkach, gdyż w Bruxelli skradziono mi kuferek, w ostatniej chwili wyjazdu. Drugą jeszcze mam przykrość: w czasie mej podróży nie doglądnięto czasu, i wysyłki do Rzymu zastałem w mej pracowni: więc przepadło, bo już termin minął. — Szczęście, że dużo mając do roboty, niewiele mam czasu myśleć o tem.

Jak ci się rama podobała: pojmujesz że niecierpliwy jestem dowiedzieć się o tem, czym się z gustem i ekonomią z zadania wywiązał.

Espérons que tout est pour le mieux, i że — szczęśliwszy odemnie — mogłeś na czas odesłać obrazy do Rzymu.

---

[1]) Poświadczenie to, spisane na zwykłym papierze listowym, przechowywał Tepa wraz z resztą korespondencyi. Jakkolwiek więc to do korespondencyi, ściśle wziąwszy, nie należy, umieszczam i tę pamiątkę po Merwarcie, zwłaszcza, że zawiera ciekawą wiadomość, dotyczącą chef d'oeuvre'u F. Tepy, tj. portretu ojca (obecnie w posiadaniu Michała Hr. Baworowskiego w Sorocku).

Czy jest co nowego we Lwowie, jak Ci zdrowie służy, i jak się wiedzie przyjaciołom, wszystko to są pytania, na które z przyjacielską niecierpliwością oczekuję miłej odpowiedzi.

Pozdrów łaskawie odemnie wspólnych przyjaciół, i przyjm Kochany mój mistrzu, serdeczny uścisk od wiernego

przyjaciela.

Paweł Merwart.

Hrabstwu Dzieduszyckim proszę przedłożyć wyrazy czci i poważania; straconą akwarelę drugi raz muszę zrobić — i zrobię.

XXIII.

Wien, den 24/12, 1883.

Hochverehrter Freund!

Verzeihen Sie, dass ich so lange versäumte, Ihren werthen Brief zu beantworten — doch bin ich so sehr in Anspruch genommen, dass es mir fast unmöglich war den Herrn Hofrath Exner aufzusuchen. Neulich sah ich das Bild; es ist unstreitig ein echter Lampi, doch ist dieser Meister überhaupt von zu geringer Bedeutung, als dass irgend [ein] Museum oder... Sammler nach solchem Besitze strebten.

Ihre freundliche Glückwünsche zu Weihnachten u. zum Neujahr auf das herzlichste erwiedernd, verbleibe ich Ihr stets aufrichtig ergebener

D. Penther[1]).

[Przekład].

Wiedeń, dnia 24/12, 1883.

Wielce Szanowny Przyjacielu!

Wybacz Pan, że tak długo zwlekałem z odpowiedzią na cenny list Pański — ale byłem tak bardzo zajęty, iż niepodobieństwem prawie było dla mnie odszukać radcę dworu Exnera. Świeżo widziałem obraz; jest to bezsprzecznie autentyczny Lampi, lecz malarz

---

[1]) Daniel Penther (ur. we Lwowie 1837, zm. w Wiedniu 1887), portrecista, był w Wiedniu od r. 1881 kustoszem i konserwatorem Galeryi obrazów w Akademii Sztuk Pięknych. Słynął jako restaurator obrazów.

[mistrz] ten jest wogóle zbyt małego znaczenia, aby muzeum jakie lub... zbieracze ubiegali się o jego posiadanie.

Odwzajemniając się najserdeczniej za Pańskie uprzejme życzenia szczęścia z powodu świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, zostaję Pańskim szczerze zawsze oddanym

D. Penther.

* * *

Podał do druku Mieczysław Treter.

Z korespondencyi Norblina.

(Listy Norblina, ks. A. Czartoryskiego, Kościuszki, Płońskiego, J. Krasińskiego).

Dwa najważniejsze listy J. P. Norblina ogłosił z archiwaliów domowych ks. Radziwiłłów w Nieborowie prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski w Sprawozdaniach Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce (wydawn. Akad. Umiej.) Kraków 1900, T. VI, str. XCVII—XCVIII. Jest w nich mowa o jednym z głównych dzieł malarskich artysty, o suficie w Arkadyi pod Nieborowem i o pracach w Powązkach.

Listy mieszczące się w niniejszym zbiorku mogą być również ciekawe, gdyż zawierają także wzmianki o pracach artysty, nie powstałych co prawda w najdojrzalszej epoce twórczości, lecz należących do charakterystycznych jego utworów, częścią nieznanych. Pochodzą przeważnie z trzeciego okresu życia Norblina, po osiedleniu się we Francyi, stwierdzają ciągłość związków artysty z krajem naszym, szczególnie żywo utrzymywanych z domem ks. Czartoryskich, są wyrazem szczerego przywiązania do Polski i wzajemnej, pozostawionej po sobie sympatyi. O ile zaś odnoszą się tylko do stosunków życia rodzinnego Norblina w późniejszym wieku, lub spraw ściśle prywatnych, nie przestają budzić ciekawości z innych powodów. Listy Kościuszki, jeden pisany do żony artysty, drugi do niego samego, są interesującym rysem wpływu, jaki Kościuszko wywierał na współczesnych, wówczas gdy przestał brać udział w życiu publicznem, list zaś Michała Płońskiego do Norblina jest pierwszym dotychczas okazem korespondencyi tego znakomitego rysownika i rytownika, rzadkością wyjątkową, a oprócz tego, łącznie z odpowiedzią Norblina, maluje stosunek osobisty obydwóch artystów. Wreszcie ostatni, list Józefa Krasińskiego, taksamo nieobojętny ze względu na osobę korespondującego, potrąca znowu o prace Norblina i wprowadza w związek z nim jeszcze jedno nazwisko artystyczne, godne pamięci — Jakóba Sokołowskiego.

Wszystkie listy z wyjątkiem oznaczonych numerami I, II i IV są własnością prawnuka artysty po kądzieli p. Leona Gaucher'a, komendanta batalionu szaserów w Stenay we Francyi (dep. Meuse), który z niezrównaną uprzejmością pozwolił zrobić z nich odpisy celem ogłoszenia. Za to niechaj przyjmie z tego miejsca wyrazy najszczerszej podzięki.

W papierach rodzinnych, odziedziczonych przez p. Gauchera, mieszczą się jeszcze trzy listy niejakiego Poirsenot'a, księdza, nauczyciela języka francuskiego u Czartoryskich, pisane z Puław do Norblina w latach 1807 i 1808. O nich wystarczy tylko wspomnieć, bo dotyczą wyłącznie spraw

rodziny Norblina, mianowicie jego córki zamężnej Schatzfaierowej. Razem z tem dochowały się jeszcze w tem samem posiadaniu urywki korespondencyi drugiej żony Norblina od brata kupca w Wilnie z lat 1815—1824, oraz parę dokumentów jej i jej dzieci, które też mogą pozostać nieogłoszone.

List oznaczony numerem IV pochodzi z archiwum rodzinnego ks. Czartoryskich w Krakowie, gdzie się znajduje w rękopisie Nr. 23 wraz z dwoma innymi listami Norblina, datowanymi „Paris le 25 Decembre 1817" i „Paris le 1 Janvier 1819", nie zawierającymi jednak nic więcej jak tylko życzenia noworoczne, przesłane ks. Adamowi Czartoryskiemu, Generałowi Ziem Podolskich. Możność zrobienia wypisu z powyższego fascykułu zawdzięczam uprzejmemu pośrednictwu p. Bolesława Biskupskiego.

Dwa listy na czele umieszczone weszły do niniejszego zbioru drogą pośrednią — z rysunków. Norblin miał zwyczaj szkicować na wszystkiem co mu pod rękę wpadło, na świstkach, na czystej stronie listu, koperty, druku, aktu, rachunków, wypracowania kaligraficznego swych dzieci i t. p. Na odwrotnych stronach szkiców w albumie rysunków w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie Nr. 386, spotyka się pismo różnych osób z nim korespondujących, czyta się urywki listu J e u f f r o y z Opola 9 lipca 1795 (karta 19), najniezawodniej owego R.-V. Jeuffroy (* 1749 † 1826) gliptyka, pracującego przez pewien czas w Polsce dla Stanisława Augusta, a także autora jednego z portretów Norblina — urywki listu pisanego około r. 1804 z Pałacu Błękitnego przez S z y m a n o w s k i e g o, zapewne bratanka poety Józefa, (k. 49), — fragment listu adresowanego do Norblina do Paryża przez jakąś n i e w i a d o m ą o s o b ę z koła przyjaciół Aleksandra Orłowskiego (k. 51) — a tak samo w albumie rysunków Norblina w zbiorze ks. Witolda Czartoryskiego w Gołuchowie, kryje się początek listu od któregoś z ks. P o n i a t o w s k i c h z roku mniejwięcej 1795 (k. 42) i inne.

Mając odpisywać na listy Norblin wyrabiał często koncept na czystej stronie rysunku, lub też nie przebierając w papierze, rzucał szkice na niezapisanej stronie brulionów. Tym to okolicznościom zawdzięczamy dochowanie się listów Nr I i II. Pierwszy z nich mieści się w albumie „Maîtres polonais" w Gołuchowie na odwrocie szkicu sepią 24×34 cm., wyobrażającym scenę wojenną z roku 1794, drugi dwukrotnie w albumie Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, raz na rysunku przedstawiającym obozowisko żołnierskie (k. 33), powtórnie na odwrotnej stronie sąsiedniego rysunku z datą 1795, przedstawiającego wymarsz wojska z armatami.

Z wyjątkiem obydwóch listów do Norblinowej (Nry VI i VII) pisanych po polsku, wszystkie inne są francuskie. Formą wyróżnia się korzystniej tylko list Krasińskiego i to w przeciwstawieniu do reszty. Wykwintny artysta Norblin razi niezręcznością słowa i lekceważeniem formy literackiej. Pióro jego cechuje nadto osobliwa swoboda pisowni. Jeszcze niepoprawniejszą jest ortografia Płońskiego przy lichej francuszczyźnie.

Podając ściśle, bez zmian żadnych tekst każdego z listów, dołączam do francuskich przekład polski, ile możności wierny.

ZYGMUNT BATOWSKI.

I. — NORBLIN DO PRZYJACIELA W PARYŻU.

[Brulion bez adresu, miejsca i daty, z roku około 1795].

Monsieur & Ami.

Je profite de l'Ocasion du valet de chambre de Monsieur Deschorches pour minformer de l'etat de votre Santé et pour vous prier de me rendre un service, depuis 7 ans n'ayant aucune nouvelle, de mes peres meres ni parans ayant ecrit et comme vous savez que tout est intercépté Je madresse à vous en vous priant de faire quelques informations sur mes parens Si vous vouliez bien passer chez un oncle, qui doit s'il est encore en vie demeure a sa maison rue du nouveau marché St. Nicolas des champs au coin de la rue philipeaux quartier dtemple Je ne sais si tous ces noms existent encore, ensuite on dit que les français ne peuvent point rentrer en France mais je crois que cela ne setand qu' aux emigrés moi qui suis depuis 20 ans en Pologne est-ce que la loi setand jusque sur moi je puis en donner temoiage par mes pasports j'aurais des affaires à arranger en France Je vous prirais de me faire reponse sur les moyens que je pourais faire le voyage de france ensuite vous m'avez connu. Je vous prirais de m'écrire et me dire votre facon de penser la dessus. Sil etait

Kochany Panie i Przyjacielu!

Korzystam z okazyi pokojowego Pana Deschorches(?) [1] ażeby się dowiedzieć o stanie Pańskiego zdrowia i ażeby Pana prosić o pewną przysługę. Ponieważ od 7 lat nie mam żadnej wiadomości ani o moich rodzicach ani krewnych, chociaż pisałem, i ponieważ, jak Panu wiadomo, wszystko zostało przejęte w drodze, zwracam się do Pana z prośbą o niektóre informacye o moich krewnych. Gdyby też Pan zechciał zajść do jednego z wujów, który, jeżeli jeszcze żyje, pewnie mieszka w swoim domu przy ulicy nowego targu St. Nicolas des Champs na rogu ulicy Philipeaux, w dzielnicy Temple. Nie wiem, czy wszystkie te nazwy jeszcze istnieją; potem mówią, że Francuzi nie mogą wcale wracać do Francyi, lecz sądzę, że to się odnosi tylko do emigrantów. Czyż prawo miało by się rozciągać aż na mnie, który od 20 lat jestem w Polsce. Mogę to zaświadczyć moimi paszportami. Miałbym pewne sprawy uporządkować we Francyi. Prosiłbym Pana wskazać mi w odpowiedzi, w jaki sposób mógłbym odbyć podróż do Francyi, — na tyle mię Pan poznał. W tym względzie prosiłbym Pana

---

[1] Może Descorches (Marie Louis Henri, marquis de Ste Croix), minister pełnomocny francuski w Polsce w latach 1791—2.

possible d'avoir un passeport qui peut me parvenir par la Suisse car je prendrai ma routte s'il etait possible par ce chemin ou instruiser moi que je pourais pratiquer pour cette affaire enfin si cela ne se peu, faite le moi savoir par un petit mot par le moyen du valet de chambre de M. D.

o napisanie mi i powiedzenie swego zapatrywania. Gdyby tak mieć paszport, który może dojść do mnie przez Szwajcaryą! zamierzam bowiem obrać drogę tamtędy, jeżeli by to było możliwem, albo niech mi Pan da wskazówki, jak mam chodzić koło tej sprawy, wreszcie jeżeli to być nie może, donieś mi Pan o tem słówkiem przez pokojowego p. D.

[Urywa się na tem, reszta strony niezapisana].

II. — NORBLIN DO KS. ADAMA CZARTORYSKIEGO GEN. ZIEM. POD. (?)

[Brulion bez adresu i bliższej daty, z roku 1795].

Mon prince.

Selon ce que vous m' aves ordonné j'ai fini les deux dessins du trois may et de dix sept Avril. J'ai fait remettre le premier comme vous m' avies dit au Jardin de Saxe a Monsieur le General Kaminiecky et il m'a satisfait. Pour le second il i à un mois et plus qu' il est fini. J'ai passé ches Monsieur Kaminiecky pour lui remettre, ainsi que le premier. Mais il m'a

Mości Książę!

Stosownie do polecenia JOKsięcia skończyłem dwa rysunki Trzeciego Maja[1] i Siedmnastego Kwietnia[2]. Pierwszy odesłałem, jak mi JOKsiążę powiedział, do Ogrodu Saskiego[3], Panu Generałowi Kamienieckiemu[4] i on mi zapłacił. Co się tyczy drugiego to jest już skończony więcej niż od miesiąca. Udałem się do Pana Kamienieckiego, by mu go oddać, tak jak

[1] Ogłoszenie Konstytucyi 3-go Maja 1791, rys. sepią. w.: $53\frac{1}{2} \times 76$ cm., podp. *Le 3 Mai 1791* w posiadaniu Zofii hr. Zamoyskiej w Wysocku pod Jarosławiem.

[2] Wybuch powstania w Warszawie 17-go kwietnia 1794, rys. sepią w.: $53\frac{1}{2} \times 75$ cm., podp. *Le 17 Avril 1794* i oznacz. *Norblin f. 1795* — tamże.

[3] Mowa o Pałacu Błękitnym ks. Czartoryskich, graniczącym z Ogrodem Saskim. — Z powodu braku interpunkcyi nie jest wykluczonem również tłómaczenie: „...jak mi JOKsiąże powiedział w Ogrodzie Saskim". Wówczas nie musiałby wchodzić w grę Pałac Błękitny i list odnosiłby się może do ks. Józefa Poniatowskiego.

[4] Ludwik K., z porucznika kapitan pułku pieszego Potockich 1785 r., generał major wojsk koronnych 1794 r. [Boniecki, Herbarz polski IX, 183] na ostatku, w służbie Księstwa Warszawskiego, adjutant ks. Józefa Poniatowskiego.

dit qu' il n'avoit pas d'ordres; et qu' il vous écrirais, mon Prince, pour en avoir. Je ne sais s'il s'est acquité de sa parolle. J'ai été ches lui, et qu' il n'est pas à Varsovie, je prend la liberté de vous ecrire mon Prince, pour que Monsieur le General Kaminiecky selon vos ordres puisse me donner de l' argent, car Mon Prince j'en ai un grand Besoin, excuses moi mon Prince si je vous suis importum mais vous savez la situation on nous sommes.

Varsovie le 18. Agust.

J'ai l'honneur d'etre mon Prince votre tres humble et obeissant serviteur Norblin.

pierwszy, lecz mi powiedział, że nie ma zleceń i że napisze do JOKsięcia po nie. Nie wiem, czy się wywiązał ze swego słowa. Byłem u niego, ale ponieważ niema go w Warszawie, ośmielam się pisać do JOKsięcia, aby Pan Generał Kamieniecki stosownie do polecenia JOKsięcia mógł mi dać pieniądze, ponieważ, Mości Książę, bardzo ich potrzebuję. Niech mi JOKsiążę wybaczy, jeżeli mu się naprzykrzam, lecz JOKsiąże zna położenie, w którem jesteśmy.

Warszawa 18. Sierpnia.

Mam zaszczyt być JOKsięcia najniższym i powolnym sługą

Norblin.

III. — KS. ADAM CZARTORYSKI GEN. ZIEM POD. DO NORBLINA.

3. Juillet 1806. Puławy.

C'est le 2. de Juillet que j'ay reçu mon Cher Norbelin votre lettre du 22. Mars, ce desordre des Postes est une chose vrayment desolante; je ne laisse jamais croitre l'herbe sur le sentier de l'amitié j'aime a vivre dans le souvenir de ceux que j'estime et que j'affectione comme vous; vous me dites mon Cher Norbelin qu'il faut que la chevre broute la ou elle est attachée, tous vos amis tous ceux qui savent apprecier et vos qualités & un talent aussi distingué, seroient bien aise de voir venir la che-

3. Lipca 1806. Puławy.

Dopiero dnia 2. Lipca otrzymałem, Mój Kochany Norblin, Pański list z 22. Marca. Ten nieporządek na pocztach jest prawdziwem utrapieniem. Nie pozwalam nigdy róść trawie na ścieżce przyjaźni, lubię żyć wspomnieniem tych, których szanuję i darzę sympatyą, jak Pana. Mówisz mi Pan, Mój Kochany Norblin, że koza musi tam szczypać trawę, gdzie ją przywiązano. Wszyscy Pańscy przyjaciele, wszyscy ci, którzy umieją cenić i Pańskie zalety i talent równie znakomity, byliby bardzo radzi,

vre rebrouter parmi eux, Me Dembowska m'a parlée des vuës de Puławy que vous avez dessinées, et du prix de 300 # Ducats que vous y avez mis; je desire en faire l'acquisition et au cas que cela vous convienne j'attendrai votre reponse, si vous acceptez la proposition vous acheminerez les dessins par la diligence les addressant a Varsovie a Mr Boczkowski Commissaire du Pr C. a Varsovie au Palais Bleu et le Comptoir de Berneaux vous feroit éscompter les trois cent Ducats, vous me parlez d'un dessein que vous avez entrepris compter vous le mettre en Tableau, resterat'il en dessein, quel sera le prix de l'un ou de l'autre, nous devons etre touchés de l'affection que vous conservez pour notre Nation. Adieu cher Norbelin, je vous embrasse de bien bon Coeur. bien des amitiés a vos Enfants.

gdyby widzieli kozę pasącą się napowrót pomiędzy nimi. Pani Dembowska[1] mówiła mi o widokach Puław[2], któreś Pan wyrysował i o cenie 300 # dukatów, którą Pan na nie naznaczył. Pragnę je nabyć i na wypadek, gdyby się Pan na to godził, będę oczekiwał Pańskiej odpowiedzi. Jeżeli Pan przyjmuje propozycyę, wyszle Pan rysunki dyliżansem do Warszawy pod adresem pana Boczkowskiego, pełnomocnika ks. Czartoryskiego w Warszawie w Pałacu Błękitnym, a kantor Berneaux wypłaci Panu trzysta dukatów. Mówi mi Pan o rysunku, który Pan przedsięwziął zrobić. Zamierza Pan przenieść go w obraz, czy też zostanie rysunkiem? Jaka będzie cena jednego względnie drugiego? Uczucie, jakie Pan zachowujesz dla naszego narodu, musi nas wzruszyć. Bywaj zdrów, Kochany Norblin, ściskam Pana z całego serca. Wyrazy przyjaźni Pańskim dzieciom.

[Bez podpisu i adresu].

IV.—NORBLIN DO KS. ADAMA CZARTORYSKIEGO G. Z. P.

Provins le 7. Decembre 1806.

Monseigneur

Voules vous me permettre en le commencement d'année de vous

Provins 7. Grudnia 1806.

Zechce mi JOKsiąże pozwolić bym na początku roku złożył ży-

[1] Konstancya z Narbuttów, żona Józefa D., b. rotmistrza Kawaleryi narodowej, matka Leona autora pamiętników, wychowanica i przyjaciółka ks. Izabeli Czartoryskiej.

[2] Utwory trudne do zidentyfikowania z podobnemi znanemi kompozycyami Norblina, stanowią prawdopodobnie osobną, nową pracę, poza seryą widoków Puławskich z lat 1802—1804, znajdującą się w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie.

souhêter tout ce qui peut vous êstre agréable. J'y joint la santé et le contentement de LEsprit et de vouloir toujours me continuer votre bonne facon de penser a mon Egard. Je fere toujours mon possible pour m'en rendre dígne. Jai Envoyé selon que vous m'avies marqué les vues de Puław, mais comme je les ais fait partir selon que Votre Altesse m'avais marqué par berlin pour warsovie á Mr Boszkowskij. Je le ai mis a la diligence le 3. Octobre on ne s attendais pas á la guerre et ma foy! je crois quil seront resté dans quelque bureau de Poste si vous ne les aves pas recus jespere pourtant que V. A. les recevra Jai eu l'honneur decrire a Votre Altesse dans l Envelope de M. Boszkowskij. Je ne sais sy ma lettre vous sera parvenue car comme cetais par la prusse la guerre interrompant toutte communication la lettre sera peut-estre perdue cetais pour vous faire savoir que les dessins etoient partis. On dit icy que le Royaume de Pologne va reparaitre sur la scene du monde j'en suis on ne peu plus content pour la Nation Polonoise qui ne meritais pas la defaveur que lui avait fait le Destin. au moins sy elle reprend sa splendeur cela ferá plaisir a tout ce que l'Europe a d'honêstes gens. pensans bien. Cest encore une crise mais que faire! Cest la Matiere qui suis les loix du mouvement et qui donne au commencement de ce siecle

czenia wszystkiego co JOKsięciu może być przyjemne. Do tego dołączam zdrowie i zadowolenie duchowe i prośbę, by JOKsiążę zechciał zawsze zachowywać swoją łaskawą życzliwość względem mnie. Zrobię co w mojej mocy, aby się okazać tego godnym. Posłałem widoki Puław wedle tego jak mi JOKsiążę naznaczył, ale ponieważ wyprawiłem je w drogę wedle tego jak mi Wasza Książęca Mość naznaczył przez Berlin do Warszawy do p. Boczkowskiego. Oddałem je do dyliżansu 3. Października, kiedy nie spodziewano się wojny i zaiste mniemam, że pewnie zalegają gdzieś na poczcie, jeżeli ich JOKsiążę nie otrzymał. Spodziewam się jednak, że W. Ks. Mość je otrzyma. Miałem zaszczyt pisać do Waszej Książęcej Mości w kopercie adresowanej do p. Boczkowskiego. Nie wiem czy mój list doszedł do JOKsięcia, skoro bowiem szło przez Prusy, a wojna przerwała wszelką komunikacyę, może być, że list zginął. Było tam doniesienie JOKsięciu, że rysunki odeszły. — Mówią tutaj, że Królestwo Polskie niebawem zjawi się znowu na widowni świata. Jestem z tego, jak nikt bardziej, zadowolony ze względu na naród Polski, który nie zasługiwał na tę niełaskę losu. Przynajmniej, jeżeli odzyska swą świetność, sprawi to przyjemność wszystkim w Europie uczciwym i dobrze myślącym ludziom. Jestto jeszcze przesilenie, ale cóż

une suitte d'Evénements dont il será parlé — Eternellement ce sont des choses a ne pas croire! cela fait croire à une Justice distributive qui chatie les souverais aussi bien que les individus en attendant on souffre mais il faudra bien que la paix vienne a la fin! Car tout le monde soufre et sur tout le commerce mais quand cela sera finy il faux Esperer que nos enfants seront heureux Je finis en me recommand toujours a votre bon souvenir et suis Monseigneur de Votre Altesse le tres humble et obeissant serviteur

Norblin.

robić! Jestto przedmiot, który stosuje się do praw ruchu i który z początkiem tego wieku sprowadza szereg zdarzeń, o których będzie się mówiło — wiecznie! to są rzeczy nie do uwierzenia! to każe nam wierzyć w jakąś sprawiedliwość rozdzielającą, która karze tak samo panujących, jak i jednostki. Tymczasem cierpi się, ale pokój w końcu musi nastąpić! ponieważ cały świat cierpi a nadewszystko handel. Lecz kiedy to się skończy, spodziewajmy się, że nasze dzieci będą szczęśliwe. Kończę, polecając się zawsze łaskawej pamięci JOKsięcia i pozostaję Mości Książę Waszej Książęcej Mości najniższym i powolnym sługą Norblin.

V. — KS. ADAM CZARTORYSKI, G. Z. P. DO NORBLINA.

le 1. de May 1808. Vienne.

Je serois bien faché mon Cher Norbelin si vous pouviez penser que c'est par oubli ou par négligence que j'ay eté si longtems sans vous ecrire, je vous avoue que cela m'a même fort inquieté, mais des deplacements continuels d'un endroit plus hors de communication sure l'un que l'autre, en ont été l'unique cause. Cette Lettre vous sera remise par le Chef d'Office de mon gendre le Comte Zamoyski, le S[r] Marc, un galant homme, & qui aura soin de la reponse que vous luy donnerez,

1. Maja 1808. Wiedeń.

Przykroby mi było bardzo, Mój Kochany Norblin, gdybyś Pan mógł myśleć, że przez zapomnienie lub przez niedbalstwo nie pisałem tak długo do Pana. Wyznaję, że to mię samego wielce niepokoiło, lecz ustawiczne ruszanie się z jednego miejsca w drugie, nadto brak pewnej komunikacyi — i jedno i drugie było tego wyłączną przyczyną. List ten wręczy Panu główny sekretarz mojego zięcia Hrabiego Zamoyskiego Imć Pan Marc, człowiek na miejscu, a który też będzie miał pieczę nad odpowiedzią, jaką mu

envoyez moy le compte de ce que je vous dois que je ferai solder sur l'heure; et le prix du Dessin de la Diete de 88. aynsi que des details sur le tems & les moyens de me le faire parvenir. Adieu mon Cher Norbelin croyez a la certitude de mon Estime & de mon amitié pour vous

A: Czartorijski.

Pan da. Przyszlij mi Pan rachunek tego, co jestem Panu winien, a co zapłacę natychmiast; oraz cenę rysunku Sejmu z 88[1], jako też szczegóły w jakim czasie i w jaki sposób mógłby mi je Pan przysłać. Bywaj zdrów, Mój Kochany Norblin, wierz Pan w pewność mojego szacunku i mojej przyjaźni dla Pana

A. Czartoryski.

A Monsieur Monsieur Pierre Norbelin

[Bez miejsca].

VI. — KS. ADAM CZARTORYSKI, G. Z. P. DO MARYANNY Z KOPSCHÓW NORBLINOWEJ, DRUGIEJ ŻONY ARTYSTY.

1. Lipca. 1806 z Puław

List dobrey Polki, i wysmienicie wrodowitym swym Języku pisany odebrałem zukontentowaniem wdzięczen jey jestem za ufność we mnie pokładaną, każdy w naszym kraju radby widział przywiązaną do Narodu swego obywatelkę powracającą do kraju swego zkochanym i szacowanym wnim mężem, czego zycząc zostawam zPrzyjaznią i Szacunkiem WMMPani Szczerze zyczliwym Bratem i sługą

A: X: Czartorijski.

A Madame Madame Norblin a Provins.

VII. — TADEUSZ KOŚCIUSZKO DO TEJŻE.

[Bez miejsca i daty. Pisany albo z Paryża albo z Berville (we Francyi) około 1806].

Madame

Odebrałem dwa listy od niey wiednym żądaniu, podług iey żądania starałem się uczynić iey przysługe. ale znalazłem przeszkody iXięzna nie mozetego uczynić, pozwol pani abym dał iey moie uwagi przychilne iak zawsze dla moich ziomków. prosze tylko z zimno krwią rozwazyc iprzez czas nieiaki. Nayprzod młodo iestes nieszpetno, miłą.

---

[1] Mowa o nieznanym utworze przedstawiającym Sejm Czteroletni [1788 r.].

przyday ieszcze do tego słodycz humory, cierpliwość, aco koniecznie potrzeba do pozycia dobrego a zapewnie zniewolisz serce twego Męza tak ze ty sama dyrygować im możesz winteressach familli iak on przekonanym będzie zePani stara się opowiększenie sposobow do uszczęsliwienia iego i familii waszey. tak zapewne zaufanie iego ziednasz dla siebie ale potrzeba zaniechac kaprysy, lubienie stroiow, kompanie, balow, gdyż miedzy nami mowiąc oiednych twych dzieciach i oswym Męzu myślic powinaś Pani. zgadzam się ze twoy wiek żąda wesołosci, ale zacosz masz odalac od spułkowania twego Męza owszem staray się mu dogadzac wewszystkim i wzłym humorze nawet. gdziesz znaydziesz osobe bez ale, to iest bez wad. widziałem Małzęstwo naykłutliwsze z początku za moią rado iak Dama zaczeła cierpliwością i słodyczą uskramiac imped niepomiarkowany Męza a iakiego ieszcze ze nikt w domu mu dogodzic nie mogł zczasem przysła do tego ze w kazdey okolicznosci radził się iey i zniego anioła zrobiła dla wszytkich. Cierpliwosc iuleganie potrafi ułatwic niepodobne rzeczy. Radze tedy Pani ziednac [u] niego dla siebie zaufanie, iezeli iest skąpym dogodzic mu wtey mierze. i skromno bydz [w] wydatkach, starac się wgospodarstwie waszym bydz czynno i przewidywac żądanie iego — a obaczysz ze zczasem będziecie dobrze i ciebie szczyrze kochac będzie, masz Pani dzieci zaprzątnąc się powinas onich iestes Matką czułość dla nich bydz powinna zNatury wielka, niech ieybędzie staraniem pierwszym i z ukontentowaniem widocznym przypodobać się Mężowi i zaspac dzieci na łonie swoim macierzymskim — Nic nierob dla oka drugich, szczęscie twoie zalizy od wnętrznego obchodzenia się. Ze wszystkie Damy wypiętrzone i szukaiące wesołosci wierz mie nakoniec staią sie nieszczęsliwe i wruznych umieraią martwieniach wielkich. wielebym mogł dodac do przekonania obchodzeniasię z cierpliwoscią iak naywiększą z początku ale czasu nie mam bądz zdrowa T Kosciuszko.

à Madame Madame Norblin a Provins a la ville haute
Departement de Seine et Marne.

VIII. — KOŚCIUSZKO DO NORBLINA.

[Bez adresu, miejsca i daty — współczesny z poprzednim.]

Monsieur

Madame votre Epouse arivant à Paris est venue me voir pour

Żona Pańska przybywszy do Paryża odwiedziła mię dla zasięgnięcia porady, jak ma postąpić,

consulter comment elle doit agir pour assurer son sort, si elle va en Pologne. Je lui ai conseiller de rétourner che vous de vous engager a lui donner par écrit une pension que vous lui prometez, sufisante cependant la la nourir et Jéspere que vous comme un home d'honeur fairez toute la justice qu'elle demande. Pardonez moi si je prends qué que part a la reussite pour elle il est naturel de souhaiter à ses Compatriotes agreez ma Consideration avec un Estime

T. Kościuszko

aby zapewnić sobie los, jeżeli uda się do Polski. Radziłem jej, ażeby powróciła do Pana i zobowiązała Pana do dania jej na piśmie pensyi, jaką jej Pan przyrzeka, byleby jednak była wystarczająca do jej wyżywienia. Spodziewam się, że Pan jako człowiek honorowy postąpi zupełnie sprawiedliwie, tak jak się ona domaga. Wybacz Pan jeżeli zajmuję się tem cokolwiek by sprawa się dla niej powiodła, jestto rzeczą naturalną życzyć dobrze swoim ziomkom. Przyjmij Pan moje poważanie z szacunkiem

T. Kościuszko.

[Reszta papieru zapisana konceptem odpowiedzi Norblina — list IX.]

IX. — NORBLIN DO KOŚCIUSZKI.

[Brulion na liście Kościuszki; pisany ołówkiem, a poprawiany i uzupełniany atramentem.]

Monsieur.

Jai des ja dit a ma femme ce que je puis lui donner Sy elle ne veux pas rester ou je suis [To wszystko przekreślone, a nad tem napisana poprawka: ma femme ne voulant pas rester ou j'abitte] J'en suis faché le devoir d'une femme est de rester avec son mari Sy elle ne veux pas ce n'est pas moi qui la renvoye Car sy je voulais elle serais bien obligé de rester chez moi et ce n'est que par complaisance pour son caprice que je lui ay accorde de s'en aller apres lui avoir dit ce que je lui donnerais. Je sais quelle me donne des torts mais le plus grand cest de n'avoir

(Już powiedziałem mojej żonie, co ja jej mogę dać. Jeżeli nie chce zostać tam gdzie ja jestem, jest mi to bardzo przykro.) — Ponieważ żona moja nie chce tam zostać gdzie ja mieszkam jest mi to bardzo przykro. Obowiązkiem żony jest zostać przy mężu. Jeżeli ona nie chce, to ja jej nie odsyłam, ponieważ gdybym chciał byłaby zmuszoną zostać u mnie i tylko przez uprzejmość dla jej zachcianki przystałem na to, aby sobie pojechała, powiedziawszy jej, co jej będę dawał. Wiem, że ona wyrządza mi krzywdę, ale największą jest to, że niemam 10000 dukatów dochodu i że sądziłbym,

pas 10000 # de revenú et je [crois przekreślone] croyarais que le mieux qu'elle a afaire Serais de suivre le conseil que vous lui aves donné Je ne ——— Je ne fais pas l'ecrit ce que jai dit je le tiendré et lui feré passer a varsovie la pension que je veux bien lui faire, Jai l'honneur.

iż najlepszą rzeczą dla niej byłoby pójść za radą, którą jej Pan udzielił. Nie daję pisma. To co powiedziałem dotrzymam i przekażę jej do Warszawy pensyą, którą chcę istotnie jej wypłacać. Mam zaszczyt i t. d.

X.—MICHAŁ PŁOŃSKI DO NORBLINA.

Monsieur.

Je vous ecrie dans l'interai de l'argent que je vous doit, le quell je preté de vous etant la seconde foi a Paris le vingt pieces de Cent et un sou, et en liar, qui font la Somme total Cent et un Franc e vingt Liar. Comme dans cet moment je suis en etat de vous le payer, je voudrai savoir par quell moien sur ce l'argent la vous faire parvenir, la deçu je m en adresse a vous et en meme tens je vous ecri la difficulte que je epruvé en ça, que comme je suis in certain de resté ici, e que je ne suis sur si je pourai recevoir de vous en reçu, sur le dit Somme, et que perssome de ma famille ne ce trove a Varsovie a qui je pourai lessez la Comission, j'emrai mieux plus tôt que cela ce pourai arange d'en autre façon, que vous m'en voyez l'adresse a quelquen d'ici de vos amis, ou de vos connaissance, a le quell je pourai remettre le dit Somme cela mais pourai facilité beaucoupe,

Piszę w sprawie pieniędzy, które winienem Panu, które pożyczyłem od Pana będąc za drugim razem w Paryżu, dwadzieścia sztuk po sto *sou*, tyleż po jednem *sou* i po jednym *liardzie*, które czynią sumę ogólną 101 franków i 20 liardów. Ponieważ w tej chwili jestem w możności zapłacić je Panu, chciałbym wiedzieć w jaki sposób pewny posłać Panu te pieniądze. W tym względzie zdaję się na Pana ale równocześnie donoszę o trudnościach, które w tem napotykam, jako że jestem niepewny pozostania tutaj że nie jestem upewniony czy będę mógł odebrać od Pana kwit na rzeczoną sumę i że nikt z mojej rodziny nie znajduje się w Warszawie, komu bym mógł zostawić upoważnienie. Wolałbym raczej, aby to można załatwić w inny sposób, ażeby mi Pan przysłał adres którego z tutejszych swoich przyjaciół albo, znajomych, któremu bym mógł wręczyć rzeczoną sumę. To mo-

la de çu je vous prie de pensé serieusment, et de mais donné de vos nouvelles les plus tôt qu'il vous é possible, sou l'Adresse, a Mr Plonski, loge na Rynku Nowego Miasta między Franciszkanamy y Panną Marią pod No 356. w kamienicy Łapinskiego. je vous salu Plonski

Varsovie le 18 Aprill 1810.

gło by mi bardzo ułatwić. Co się tyczy tej rzeczy, proszę Pana myśleć o tem poważnie i dać mi wiadomość możliwie jak najrychlej pod adresem: Płoński zamieszkały na Rynku Nowego Miasta między Franciszkanamy y Panną Marią pod No 356 w kamienicy Łapinskiego. Pozdrawiam Pana

Płoński.

Warszawa 18. kwietnia 1810.

a Monsieur Norblin le Pere a Paris [bez ulicy]

[Pod spodem na resztce czystego miejsca, brulion odpowiedzi Norblina — list XI.]

XI. -- NORBLIN DO MICHAŁA PŁOŃSKIEGO.

[Brulion, pisany na poprzednim liście.]

repondu le 8 may 1810.

Mon cher Plonsky

Jai recu votre du 18 avril sous le couvert de marcinek comme vous estes dans l'intention de me rendre le peu d'argent que je vous ai prêté, vous n'aves qu'a le remettre au pere de Zieir dont je vous envoye l'adresse vous en prendrés la reconnaissance et vous me l'anvaires dans la reponsse que vous me feres a ce suget et cela será finy Jespere que vous portes bien et que la raison vous est revenüe Songes à profiter d'un proverbe qui dit pierre qui roulle n'amasse jamais mousse Jespere que votre santé est bonne.

odpowiedź dana 8 maja 1810

Mój Kochany Płoński!

Otrzymałem Pański list z 18. kwietnia pod kopertą Marcinka[1] Ponieważ ma Pan zamiar zwrócić mi tych trochę pieniędzy, które Panu pożyczyłem, niech je Pan poprostu odda Ojcu Zieira, którego adres Panu posyłam. Niech Pan weźmie stamtąd potwierdzenie odbioru i niech mi je Pan przyszle w odpowiedzi, którą mi Pan da w tym przedmiocie — i będzie koniec. Spodziewam się że ma się Pan dobrze i że Pan znów wrócił do rozsądku. Pamiętaj Pan korzystać z przysłowia, które mówi: kamień toczący się, nie zbiera nigdy mchu na sobie. Mam nadzieję, że Pańskie zdrowie jest dobre.

[Na odwrotnej stronie rachunki Norblina i szkic piórem głowy kobiecej w czepcu.]

[1] Marcin Norblin syn, muzyk; Płońskiego rówieśnik i współtowarzysz w nauce rysunków zanim się poświęcił muzyce.

XII. — JÓZEF KRASIŃSKI DO NORBLINA.

Varsovie le 28. Mars 1819.

Cher Monsieur Norblin

Vous rapellez Vous encor d'un certain Joseph Krasiński un de Vos elèves a Varsovie, tres mauvais ecolier, paraisseux et ne voulant rien apprendre et maintent marié et Pere de 5 enfants... eh bien c'est lui même qui Vous ecrit. J'ai vu avec un plaisir extrême, Cher Monsieur Norblin, votre charmante collection de costumes Polonois que Vous avez fait paroitre a Paris et que malheuresement il est impossible de trouver a Varsovie. Comme Votre Eleve et bien ancienne connoisence je prends la libertee de Vous en demander un examplaire par l'entremise de qui Vous voudrez a Varsovie a qui je m'empresserai de remettre tout de suite le montant. Jugez combien je dois avoire de confiance dans mon ancient Jnstituteur et ami puisque j'ose Vous envoyer en revange 9. Estampes dessinees et gravees par mon Ami Sokołowski, dont

Warszawa 28. Marca 1819.

Kochany Panie Norblin!

Czy przypomina Pan sobie jeszcze niejakiego Józefa Krasińskiego, jednego z Pańskich uczniów w Warszawie, bardzo lichego ucznia, leniwego i niechcącego się nic uczyć a obecnie żonatego i ojca 5 dzieci, otóż to ten sam, który pisze [1]. Oglądałem z nadzwyczajną przyjemnością, Kochany Panie Norblin, Pański śliczny Zbiór Ubiorów Polskich, który Pan wydał w Paryżu, a z którym niestety niemożliwem jest spotkać się w Warszawie [2]. Jako Pański uczeń i bardzo dawny znajomy, ośmielam się prosić Pana o egzemplarz przez pośrednictwo czyje Pan zechce w Warszawie, której to osobie pospieszę zwrócić natychmiast należytość. Osądź Pan, ile muszę mieć zaufania do mojego dawnego nauczyciela i przyjaciela, skoro odważam się posłać Panu w zamian 9 rycin rysowanych i rytowanych przez mego przyjaciela Sokołowskiego [3], z których 4 przed-

[1] Józef Wawrzyniec Krasiński * 1783 † 1845, „obożnic", wojskowy z czasów Księstwa Warszawskiego i adjutant jenerała Kniaziewicza, senator Królestwa Polskiego, znany w literaturze jako autor pierwszego Przewodnika po Polsce [1820 r.], zasłużony miłośnik teatru, tłumacz i pisarz sztuk scenicznych, wydawca „Piasta czyli Pamiętnika technologicznego" 1829—1834, wreszcie autor Pamiętników.

[2] Zbiór wzorowy rozmaitych polskich ubiorów pędzlem znanego malarza Norblin wydanych a przez sławnego Debucourt na miedzi wyrzniętych. Collection de Costumes Polonais, &... Paris, Charles Bance [1817] kart. 5o.

[3] Jakób Sokołowski * 1784 † 1837, rysownik, znany główny z karykatur, amator i samonk, pozostawał w przyjaznych stosunkach z Józefem Krasińskim. Robił dla niego między innemi 2 ryciny do „Zamku na Czorsztynie", przedstawiające aktorów Zdanowicza i Dmuszewskiego w rolach tej opery. Oprócz tego rytował Sokołowski Dmuszewskiego w roli z opery „Jadwiga", oraz Wolskiego i Kudlicza w rolach Tarnowskiego i Boratyńskiego do „Barbary Radziwiłłówny"

4 representent nos principeaux Acteurs en costumes vraiment Polonois, comme les portoient nos Ancêtres et non comme les affublent les théatres de Paris... et 5 qui sont les differents cris de Varsovie faits d'aprés nature... et qui corrigés par Vous et gravées par le même Artiste qui a travaillé a Votre Collection pouront en faire une suite [si vous le trouvez convenable] Etabli a Paris vous devez connoitre quelques Artistes des principeauz Theatres de cettre Capitale voila pourquoi je Vous envois par 4. Examplairs de chaque costume de nos Acteurs affin que Vous ayez la bontee de les leurs distribuer pour que cela puisse [s'il est possible] corriger l'idee des costumes qu'on emploit a Paris dans les Pieces Polonaises ou l'on nous affuble plustot en Persans Turcs Tartars qu'en Polonais. Pardonnez je Vous prie cher Monsieur Norblin la libertée que je prends de Vous importuner par mes prieres et agreez l'assurance du profond Estime et de l'amitié la plus sincere de Votre Ancient Eleve, Ami et serviteur

Joseph Krasiński.

Mon Adresse est Joseph Krasiński Chambellan de S: M: l'Empereur de T: l: R: a Varsovie Rue

stawiają naszych głównych aktorów w ubiorach prawdziwie polskich, jak je nosili nasi przodkowie, a nie jak ich dziwacznie przystrajają teatry paryskie — i 5, które przedstawiają rozmaitych „wołających" [zarobników ulicznych i domokrążców] Warszawskich, robionych z natury, — a które to typy poprawione przez Pana i wyrytowane przez tego samego artystę, który pracował nad Pańskim zbiorem, będą mogły tworzyć ciąg dalszy tegoż — jeżeli Pan to uzna za stosowne. Jako osiadły w Paryżu powinien Pan znać niektórych artystów głównych teatrów tej stolicy, dlatego posyłam Panu po 4 egzemplarze każdego ubioru naszych aktorów, ażeby Pan był tak łaskaw je im porozdawać, by to — w miarę możności — mogło poprawić wyobrażenie o ubiorach, których się używa w Paryżu w sztukach polskich, gdzie nas przebierają raczej za Persów, Turków, Tatarów, niż za Polaków. Wybacz Pan, proszę, Kochany Panie Norblin, śmiałość z jaką Pana nachodzę z mojemi prośbami i przyjmij Pan zapewnienie głębokiego szacunku i najszczerszej przyjaźni od Pańskiego dawnego ucznia, przyjaciela i sługi

Józefa Krasińskiego.

Mój adres jest Józef Krasiński,

Felińskiego. [Rastawiecki, Słownik rytowników polskich str. 269—270]. O czterech z tych rycin jest mowa w liście. Pod 5ma „cris" Sokołowskiego wspomnianymi w dalszym ciągu listy, należy się dorozumieć następujących jego rycin: l. Katarynkarze, 2. Kołdry, kołderki, 3. Garnki, garnuszki, rynki, 4. Orzechy Włoskie, orzechy, 5. Cebuli, czosnku, koszałki, sieci [Rastawiecki l. c.].

de Masovie No 1352, c'est toujours dans la même maison ou Vous Vous fachiez si souvent contre l'Ecolier paraisseux.

Nous travaillons a la continuation des Cris et costumes que nous vous envairons aussi-tot qu'elles seront sorties si cela peut Vous etre util.

Szambelan J. C. Mci Cesarza Wszech Rosyi w Warszawie, ulica Mazowiecka No 1352, t. j. zawsze w tym samym domu, gdzie się Pan tak często gniewał na leniwego ucznia.

Pracujemy nad dalszym ciągiem domokrążców wywołujących i ubiorów, które Panu poszlemy natychmiast, skoro tylko wyjdą, jeżeli się to może Panu przydać.

Monsieur Monsieur Norblin père à Paris.

Bajki.

I. ZIELONY OSIOŁ.

Jakże często się w życiu taki przykład widzi,
Że głupiec głupią sztuczką stu głupszych zawstydzi!
Neran był sprytnym błaznem z głową rozwichrzoną:
Pomalował raz osła swego na zielono,
A nogi mu cynobrem wytarł aż do brzucha
I takiego po mieście wodził długoucha.
Za nim tłum gapiów snuł się z krzykiem i hałasem,
„Co za dziwo!“ wołając dyszkantem i basem.
„Patrzajcie cud natury!... Na osłów miliony
Ten ma nogi czerwone a tułów zielony!
Przecież to dla przyszłości kronikarz wymowny
Zapisze, że był u nas osioł tak cudowny!“
Podziw nad kolorowym osłem z każdą chwilą wzrasta,
Każdy go chce zobaczyć; tłoczy się pół miasta
Po ulicach i placach, drugie pół w rozmachu
Lezie na drzewa, z okien spogląda i z dachu —
Wszystkich szał ciekawości unosi, rozpala,
By zielonego osła zobaczyć choć z dala, —
Choć kawałek ogona dojrzeć, choćby udo;
O ośle całe miasto mówi: „Cudo! cudo!“
Młodzi pełni zachwytu, podziwienia starzy,
Zielony osioł dzieciom w kołysce się marzy,
Żaden temat nie zdołał nastroić tak wzniośle
Uczuć tłumu, jak wzmianka o zielonym ośle.
Dwie doby wyczekano w tej oślej malignie;
Aliście dnia trzeciego zapał nagle stygnie,
Równie szybko upadła, jak i szybko wzrosła
Ciekawość dla biednego zielonego osła,

Poczęto nawet mówić o „głupiem oślątku“
Co taki podziw, zachwyt budził na początku.
Otóż tak to niestety bywa z każdym tłumem;
Niech się rzecz jaka kłóci z sensem i rozumem,
Niech się w niej jawne głupstwo pod osłoną chowa,
Tłum ją przyjmie z podziwem dlatego, że nowa.
Nie pomogą przestrogi zdrowego rozsądku
Tłum szaleć gotów nawet w zapale z początku,
Ale czas, mistrz nad mistrze i mędrszy od ludzi,
Zapał i zachwyt głupców powoli ostudzi,
Czy chcą, czy nie chcą, muszą rozumu nabywać,
Bo czas ma dar szczególny głupich przekonywać.

II. MŁODY KSIĄŻĘ.

Pewne książątko, w pewnym kraju,
Nie powiem tylko w jakiem mieście,
Dostało raz od swego stryja
Pistolów w podarunku dwieście.
„Użyj ich dobrze!“ — stryj mu rzecze;
A młody książę głowę skłonił
I z kiesą pełną złotych krążków
Wesoły w piękny świat pogonił.
Po pewnym czasie wraca znowu, —
Z kieszenią pustą, — tak myślicie?...
„No, jakżeż? — pyta stryj ciekawie,
„Użyłeś złota należycie?...“
Rozradowany książę wstaje
I z dumą na młodzieńczem czole,
Przed stryjem kładzie pełny worek:
„Wszyściutkie, wszystkie me pistole.
„Ani jednego nie straciłem,
Licz stryju!“ — chwali się niecnota.
Stryj chmurny wstał, otworzył okno,
Wyrzucił przez nie kiesę złota
I rzekł: „Ucz książę się tej sztuki
„Wydawać pieniądz w dobrym celu, —
„Na to ma władca pełne dłonie,
„By z pełna mógł pomagać wielu!...“

III. NIEŚMIERTELNY AUTOR.

Był pewien autor wielce płodny,
Ogromnie w swoim czasie modny,
O którym prasa wciąż głosiła,
Że jest nieśmiertelności godny!...
Dzień i noc ciągle pisał pono,
Miał wielbicieli liczne grono,
A wziętość taką, że dzieł jego
Aż sześć edycyi rozkupiono.
Poświęcał się poezyi, sztuce,
Belletrystyce i nauce;
Przy dziełach jego portret dano.
(W hiszpańskiej był „allonge“ peruce!...)
Nikt nie śmiał dotknąć go, ni drasnąć,
Za życia wszyscy go wielbili. —
Śmierć mu przy biurku dała zasnąć,
Bo pisał do ostatniej chwili.
Gdy umarł, obok życiorysu
Coś trzy arkusze było spisu
Wszystkich dzieł jego cięższych, lżejszych,
Utworów dłuższych i prac mniejszych.
Po śmierci tego męża sławy,
Chcąc prawdę całą ujrzeć nagą
Ten i ów zaczął go ciekawy
Czytać, lecz z większą już rozwagą.
I patrzcie, pisarz taki słynny,
Co laury zrywał bez przeszkody,
Po zgonie stał się jakiś inny
A wkrótce całkiem wyszedł z mody.
Mówiono o nim, że nieszczery,
Że w myślach płytki i zawiły,
Że oprócz stylu i maniery,
Nie miał ni głębi, ani siły,
Że był bożyszczem swojej chwili,
Że przeceniony, i tam dalej,
Bo go partacze przechwalili,
Zanim go znawcy przeczytali.
Tak sławnym zostać to nie sztuka,
Może wielbionym być pod nieba, —

Tłum małych dusz obroku szuka,
Więc mu obroku sypać trzeba,
I takiej, jakiej żąda strawy
By szybko dojść do marnej sławy!...
Lecz by potomność cię uznała
I wielkość twa nie zaszła chmurą,
Musi twa dusza być nie mała,
Musisz coś więcej mieć, niż... pióro!...

* * *

Z Gellerta przełożył Maryan Gawalewicz.

TREŚĆ ROCZNIKA 1910.

TREŚĆ ZESZYTU PIĄTEGO:

TREŚĆ ZESZYTU SZÓSTEGO:

TREŚĆ ZESZYTU SIÓDMEGO:

TREŚĆ ZESZYTU ÓSMEGO:

Skorowidz imion

(kursywa oznacza osobę, o której tylko mowa).

LAMUS

ROCZNIK ARTYSTYCZNO-LITERACKI.

OD WYDAWNICTWA.

Pod dobrą wróżbą zamknęliśmy przed rokiem pierwszy rocznik „Lamusa". Czyśmy wróżbę tę ziścili, i oczekiwaniom czytelników zadośćuczynili, odpowiedzią na to niech będzie treść rocznika drugiego. Nie opuszczali „Lamusa" najwięksi autorowie polscy, pragnęliśmy w myśl naszego programu, zamieszczać tylko rzeczy najdoskonalsze, dające wyraz prawdziwemu uczuciu i głębokiej refleksyi. Dla części drugiej znaleźliśmy długi, nieznany ciąg listów Grottgera i Wyspiańskiego, nieznaną (w całości) korespondencyę Chopina, nieznane listy Mickiewicza, Kościuszki, urywki listów Orzeszkowej i wielu innych, poemat Gaszyńskiego, odkryliśmy najświetniejszy dokument: list Kopernika do Króla Zygmunta i u nas też położono jedną z pieczęci na aktach bezpodstawnych sporów o jego narodowość. Nie prowadząc stałych kronik dawaliśmy zawsze wyraz najważniejszym zdarzeniom chwili bieżącej: głos nasz w sprawie sprowadzenia zwłok Słowackiego powtórzyła cała prawie prasa polska, zorganizowaliśmy i ogłosili komunikat w sprawie pozbywania się dzieł sztuki, podpisany przez najwybitniejszych przedstawicieli naszej kultury artystycznej i naukowej. Żeśmy nie zaniedbywali sprawy, zdaje nam się że mamy na to dowód w tem, iż pisarze wybitni trwać przy nas raczą, widzimy dowód w poparciu coraz większem czytającej publiczności, i prasy. Nie będziemy tu jak zeszłego roku przytaczać głosów jej o nas, wystarczy wspomnieć, że wszystkie pisma, nawet te, które inne czasem przekonania popierały, wyrażały się o nas z uznaniem, za które składamy im podziękowanie. Artykuły nasze przedrukowywała nieraz in extenso lub w wielkich częściach cała prawie prasa.

Mimo to w warunkach bardzo jeszcze ciężkich zaczynamy trzeci rok wydawnictwa, rozpoczynamy go jednak z wiarą w przyszłość i ufni w nasze siły, z przekonaniem, że dobrej służymy sprawie.

Z powodu nagromadzenia ogromnego materyału, a z drugiej strony dla wygody czytelników „Lamusa" rocznik trzeci wychodzić będzie nie w czterech, ale w sześciu zeszytach do roku (w maju, w lipcu, we wrześniu, w listo-

padzie, w styczniu i w marcu). Powiększając część artystyczną, dawać będziemy w każdym zeszycie najmniej po sześć reprodukcyi na osobnych tablicach, (z tych jedną heliograwurę, druk kolorowy, lub dzieło grafiki oryginalnej); ilość tych dodatków wzrośnie jednak nieraz do kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu sztuk; prócz tego w tekście rozsiane będą gdzieniegdzie klisze kreskowe. Najznakomitsi autorowie częściowo nadesłali już rękopisy, częściowo obiecali swój niezawodny współudział (m. i. Jan Kasprowicz, Ignacy Paderewski, J. Gw. Pawlikowski, W. S. Reymont, Zenon Przesmycki, Adam Szymański, W. Sieroszewski, Leon Piniński, Jerzy Żuławski, Leopold Staff, Maryla Wolska, J. B. Antoniewicz, J. H. Retinger, K. Woźnicki, Laurence Alma Tadema etc. etc.) W części drugiej umieścimy m. i. nieznane utwory Słowackiego objętości około ośmiu arkuszy, listy, pamiętniki, utwory etc. Lenartowicza, Kraszewskiego, Jabłońskiego (pamiętnik o Matejce), Voltaira, Miecz. Pawlikowskiego, i wiele innych nieznanych rękopisów najznakomitszych nieraz autorów polskich i obcych, które bądź mamy w przygotowaniu, bądź to o które czynimy starania.

Taki jest nasz program, oparty na założeniu, któreśmy dwa lata temu wypowiedzieli, a przy którem wytrwać chcemy i wytrwamy.

*

Prenumerata, którą przyjmują wszystkie księgarnie, wynosi na rocznik 1911/12 Koron 20·—.

*

Przypominamy tu prócz treści rocznika 1910 i treść poprzedniego rocznika „Lamusa":

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

*Mieczysław Smolarski: Gdzie huf ten wasz? Maryla Wolska: Była raz królewna... Jan Kasprowicz: Z cyklu „Chwile". Zofia Rylska: Dalekie echa. Włodzimierz Tetmajer: Bronowskie wczasy. Stamir: Mgławice. Leopold Staff: Śladem stopy antycznej I. *** Rondo. Stanisław Wyspiański: Wernyhora. Jan Gw. Pawlikowski: Słowacki w okresie mistycyzmu. J. H. Retinger: Humorysta dni dzisiejszych — Jules Renard. Marek: Na czasie.*

Część druga — Wczoraj:

Kornel Ujejski: Moja autobiografia. Kornel Ujejski: Erotyki. Mieczysław Romanowski: Z pamiętnika. Bohdan Zaleski: Wzrok anielski. Adam Asnyk: Sonet. Cyprjan Norwid: Przyczynek do „Rzeczy o wolności słowa". Cyprjan Norwid: List. Th. Gordon Hak: Polish Hymn.— Tłómaczenie tegoż J. Kasprowicza.— Ze starszej Eddy — wedle miary oryginału przełożyła Maryla Wolska. Rozmaitości: Wiersze okolicznościowe i polityczne.— Wspomnienia z lat dawnych.

Ilustracye:

Leon Wyczółkowski: Lamus (okładka). Arthur Grottger: Świt — Zmrok — Noc. Jan Matejko: Przyjęcie Chrześcijaństwa w Polsce. Portret C. Norwida (według współczesnej fotografii.)

TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO:

Część pierwsza — Dzisiaj:

J. B. K.: Sonety. Władysław Orkan: Suplikacye. Bąk: Niemrawiec. Michał Pawlikowski: Tercyny. Maryla Wolska: Godzina słoneczna. Adam Krasiński: Z teki pośmiertnej. Jadwiga Marcinowska: Areopag. Aleksander Naworski: Rymy wesołe i smutne. Ludwik Kubala: Oblężenie Lwowa w r. 1655. L. Piniński, Wilhelm Suida, Karol Lanckoroński: Galerya miejska we Lwowie. E. P.: Dwa hymny do Polski. Nowe książki.

Część druga — Wczoraj:

Stanisław Wyspiański: Listy. Fryderyk Chopin: Mazur. Stefan Vrtel: Tymona Zaborowskiego Klub Piśmienniczy (komentarz). Tymon Zaborowski: Klub Piśmienniczy.

Ilustracye:

Okładka wedle rytu J. Falcka (ur. w Gdańsku 1619). Stanisław Wyspiański: Portret córki. Leon Wyczółkowski: Portret Juliana Klaczki. Fryderyk Chopin: Facsimile autografu.

TREŚĆ ZESZYTU TRZECIEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

St. Eljasz Radzikowski: Dziawolenie... Leopold Staff: Śladem stopy antycznej (II). Lucyan Rydel: Eros i Afrodite. Mieczysław Smolarski: Wiosna. Marya Znatowiczówna: Kwiat milczał. Leon Piniński: Rafael galeryi Czartoryskich. Zygmunt Bytkowski: O monologu w dramacie. Nowe książki.

Część druga — Wczoraj:

Arthur Grottger: Z listów Artysty (r. 1866). Kornel Ujejski: Erotyki (II). A. Mickiewicz: List do Mazziniego (facsimile). Józef Kallenbach: Z epoki emigracyjnej. (Listy Eustachego Januszkiewicza).

Ilustracye:

Okładka wedle rytu Chodowieckiego: Rodzina artysty. Rafael: Portret mężczyzny.

TREŚĆ ZESZYTU CZWARTEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

Jan Kasprowicz: Poezye. Jan Strzemię: Dwie pieśni. Michał Pawlikowski: O wojnie Greków z Trojami. Stanisław Koczorowski: Na dawniejszą nutę. José M. Heredia: Trofea (przełożył J. Klemensiewicz). Szymon Pretwic: Dziś. Jan Gw. Pawlikowski: O czci poetów. Leon Piniński: „Leonardo da Vinci“ Galeryi Czartoryskich. Franciszek Krczek: W sprawie pisowni polskiej. Nowe książki.

Część druga — Wczoraj:

Mieczysław Treter: Rysunki sułtana Abdul Azisa. Juliusz Słowacki: Z nieznanej spuścizny (podali Bronisław Gubrynowicz i M. P.). Józef Szujski, Wincenty Pol, Adam Asnyk, Kornel Ujejski: W Sztambuchu Z. R. Arthur Grottger: Z listów Artysty („Wojna“ — Paryż). Karol Brzozowski: Pacierze. Ryszard Berwiński: Na wyjezdnem.

Ilustracye:

Okładka według rytu K. W. Kielisińskiego: Zamek w Podhorcach. Leonardo da Vinci: Kobieta z gronostajem. Abdul-Azis: 10 szkiców batalistycznych. — St. Chlebowski: Miniatura Abdul-Azisa.

WYSTAWA PODHALAŃSKA

Jak już wiadomo z doniesień dzienników odbędzie się we Lwowie w salach Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych Wystawa Podhalańska. Przedmiotem tej wystawy będą okazy pierwotnej, rodzimej sztuki podhalańskiej, a następnie rozwinięty z nich przemysł artystyczny, znany pod nazwą stylu zakopiańskiego. Wystawa obejmie zatem budownictwo (modele, plany), meblarstwo, sprzęty różnego rodzaju, tkactwo artystyczne (kilimy), hafty artystyczne, wyroby galanteryjne, ceramikę itd.

Ponadto wystawa ta, chcąc przedstawić z jednej strony tło krajobrazowe i etnograficzne, z drugiej dać obraz ruchu artystycznego, rozwijającego się tak intenzywnie w Zakopanem, ruchu, który może mieć duży wpływ na kierunek i rozwój przemysłu artystycznego, a który dziś już może ma pewne indywidualne cechy, obejmie także dział sztuki czystej (malarstwo i rzeźbę) bądźto osiadłych w Zakopanem i okolicy, bądźto szukających tam tematu do swojej twórczości artystów.

Komitet żywi nadzieję, że wystawa ta przyczyni się do spopularyzowania tej sztuki w szerokich warstwach społeczeństwa, a przez to, iż da w przybliżeniu dokładny jej obraz, wywoła tak pożądaną krytykę, która może wpłynąć na przyszły jej rozwój i kierunek.

Komitet zwraca się przeto z gorącą prośbą do wszystkich, którzy są w posiadaniu okazów pierwotnej sztuki rodzimej lub rozwiniętych z niej przedmiotów artystycznych (mebli, sprzętów, naczyń, tkanin itp.) jak i do wytwórców, wreszcie do artystów-malarzy, rzeźbiarzy i architektów o wzięcie udziału w wystawie i zawiadomienie nas jak najrychlej o ilości i jakości rzeczy, które zechcą posłać.

Przesyłki należy adresować do

Komitetu Wystawy Podhalańskiej — Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych - Lwów - ul. Dzieduszyckich L. 1.

Wystawa zostanie otwarta 15-go marca i potrwa do 1-go maja b. r.

Ostateczny termin przesyłek do 1-go maja b. r.

Miejsca na wystawie dla przedmiotów wystawionych są bezpłatne.

Koszta transportu przedmiotów, które nie będą przeznaczone na sprzedaż lub które nie zostaną sprzedane, ponosi tam i z powrotem Komitet.

Od sprzedaży poszczególnych przedmiotów Komitet zastrzega sobie 10%.

Wystawa będzie ubezpieczoną.

PREZYDYUM KOMITETU WYSTAWY:

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

JAN KASPROWICZ TADEUSZ RUTOWSKI STANISŁAW REYCHAN

ALEKSANDER LISIEWICZ BOLESŁAW WYSŁOUCH.

PORTRETY POLSKIE

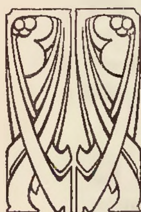
WIEK XVI. — XIX.

WYDANE PRZEZ

MARYĘ z hr. BRANICKICH ks. JERZOWĄ RADZIWIŁŁOWĄ

POD REDAKCYĄ

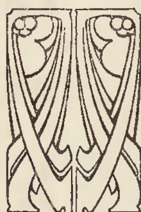
DRA JERZEGO HR. MYCIELSKIEGO, PROF. UNIW. JAGIELL.



TOM I. OBEJMIE 6 ZESZYTÓW PO 10 RYCIN W HELIOGRAWURZE, W FORMACIE FOLIO ORAZ 10 ARK. TEKSTU POLSKIEGO I FRANCUSKIEGO

CENA ZESZYTU W PRENUMERACIE KORON 15.
Z PRZESYŁKĄ KORON 15·80.

OPRÓCZ WYDANIA ZWYCZAJNEGO UKAŻE SIĘ WYDANIE ZBYTKOWNE NA PAPIERZE JAPOŃ- :: :: SKIM W CENIE KORON 30 ZA ZESZYT :: ::



Ikonografia dziejów Polski ostatnich czterech stuleci w najszerszem tego słowa znaczeniu, czyli portrety najznakomitszych osobistości, rolę wybitną w dziejach Kościoła, polityki, wojen, kultury, literatury, sztuki grających, wraz z malarstwem portretowem polskiem i często obcem z Polską związanem — oto treść naszego wydawnictwa, którego coraz naglejszą potrzebę od ćwierci już wieku coraz to dotkliwiej każdy u nas, przeszłość narodową miłujący, odczuwa. Każdy dom, każda rodzina pyta, jak wyglądali naprawdę królowie nasi i królowe, znakomici duchowni i mężowie stanu, wodzowie i rycerze, drobna szlachta i mieszczanie, poeci i uczeni, artyści i niewiasty, znakomite cnotami i wysoką kulturą albo nieraz na całą Europę głośne niezwykłą pięknością.

Na to pytanie wydawnictwo niniejsze pragnie odpowiedzieć. Pragnie ono zapełnić tę wielką lukę w pracy nad dziejami Polski, ma zaś nadzieję zapełnić ją żyjącemi w portretach a z prawdą ściśle zgodnemi postaciami.

Tom pierwszy wydawnictwa w cząstce minimalnej tylko będzie w stanie wyczerpnąć bardzo bogaty materyał, którym ono rozporządza, a który tylko z miesiącem każdym i z zainteresowaniem się publiczności wzrastać będzie, tak, że na kilka tomów z pewnością wystarczy. Możliwość ukazania się dalszych tomów zależeć będzie jedynie od zajęcia, jakie publikacya obudzi. Każdy z 6 zeszytów tomu I-go obejmie zawsze po kilka portretów z każdego z czterech minionych stuleci. Przy zeszycie ostatnim każdego tomu wydanym zostanie spis jego treści, chronologicznie 60 jego tablic ułożyć pozwalający.

Do każdego portretu dodane będzie historyczne objaśnienie, jedną stronę druku wynoszące, na ostatnich naukowych badaniach oparte, a dziejową rolę danej postaci jak najzwięźlej streszczające. Jako dodatek umieszczona będzie krótka wiadomość o samym portrecie, o artyście, który go wykonał, o jego pochodzeniu i obecnym stanie. Objaśnienia te będą miały cechę wybitnie historyczną, w drobnej tylko części artystyczną. Współpracownictwo w tej mierze obiecali nam prócz kilku innych: Prof. Dr. Stanisław hr. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności, Prof. Dr. Szymon Askenazy, Dr. Zdzisław Jachimecki, Dr. Kazimierz Maryan Morawski, Dr. Witold Kamieniecki, Dr. Wł. Konopczyński, Prof. Dr. Wiktor Czermak, Prof. Dr. Wacław Sobieski, Prof. Dr. Wacław Tokarz i t. d. — część zaś artystyczną poda sam naczelny redaktor wydawnictwa, Prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski.

Zeszyt I. zawiera następujące portrety: Król Zygmunt I. Królowa Bona Sforza. Król Zygmunt August. Trzy żony króla Zygmunta Augusta. Jerzy Ossoliński. Andrzej Morstin. Izabella Czartoryska. Ks. Józef Poniatowski. Fryderyk Chopin. Adamowa Potocka.

Następne zeszyty zawierać będą między innemi: portrety wszystkich Królów polskich i Królowych od Henryka Walezego począwszy aż do Stanisława Augusta włącznie — Jana Zamojskiego, Michała Kazimierza Paca, Stanisława i Anny Oświęcimów, Tadeusza Kościuszki, Stanisława Małachowskiego, Ignacego Potockiego, ks. Adama Czartoryskiego, ks. Antoniego Radziwiłła, Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego i jego żony Elżbiety, margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, Jana Matejki portret własny, Heleny Modrzejewskiej i t. d. i t. d.



I.



II.



III.



LAMUS



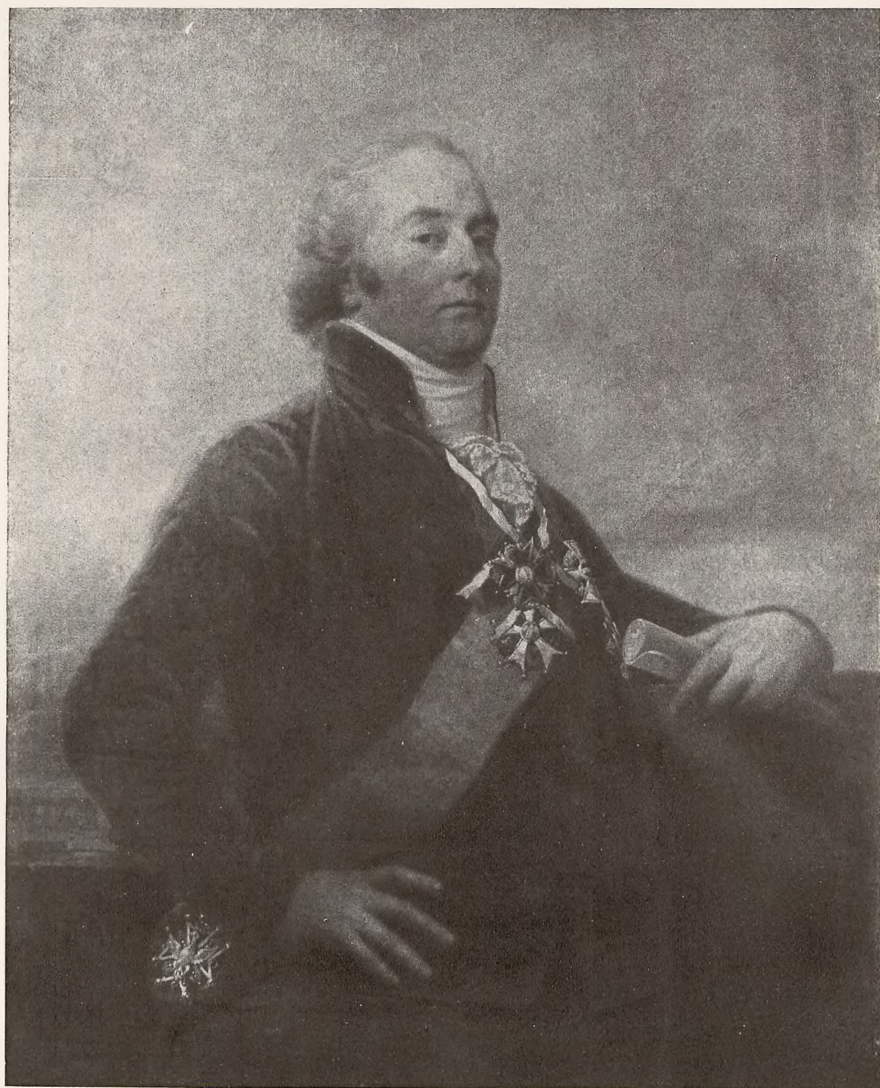




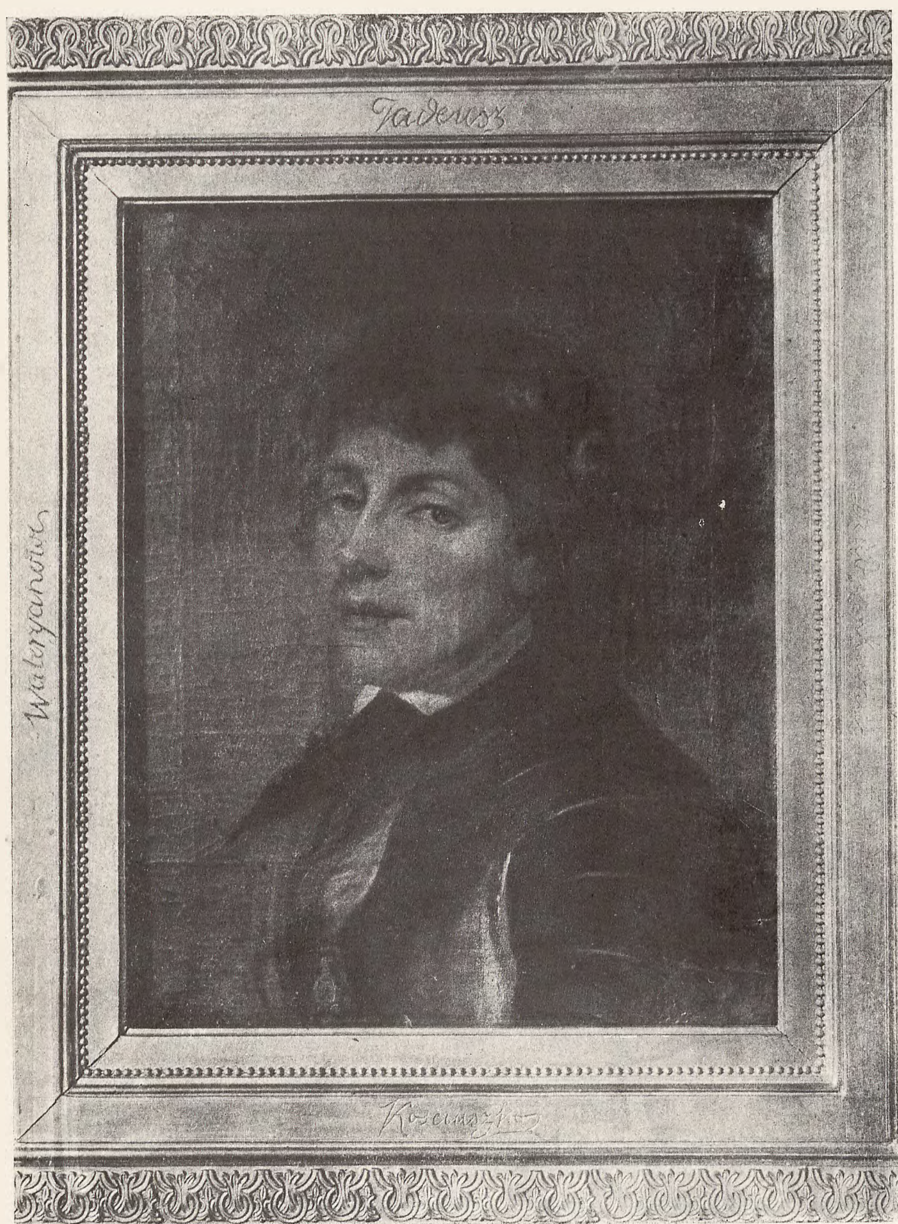
Watteau: Polka.



LAMUS



Füger: Portret Ign. hr. Miączyńskiego
(Galerya Dzieduszyckich)



J. Grassi: Portret Kościuszki
(Galerya Dzieduszyckich)



J. Ch. Lampi: Amor
(Galerya Dzieduszyckich)

Illustrissime et Ser^me princeps, Rex et domine clementissime, post devotas et humillimas
servitiorum debitam. Saepe nos Ser^tis vestrae iniurias nostras questuros retraxit pudor
quidam noster et maiestas sacri nominis vestri, quod nobis veneratione magis quam
actionibus semper est appellandum. Nunc vero et nostra necessitas et indignitas rei et
ipse etiam vestrae Ma^tis honor nos cogit eandem Ser^tem vestram maximis alioqui rebus
detentam querelis et supplicatione nostra molestare. Non enim est obscurum quot calamitates
ex federatorum hominum audacia iam integrum septennium sustinuimus, cum alio post alium
nobis crescente hoste, igne ferro incursionibus latrociniis nos nostrique subditi afflicti
ipsi etiam in ~~captivitatem~~ abacti sumus, ita ut ne una quidem hora aedes nostras quae aperto
campo site illorum patent libidini, tuto incolamus. vix etiam templum dei et
sacra inviolata custodiremus, [illegible] quam ab aliis pretio recipimus, reddere
nobis vix licent impune. Haec mala quibus auctoribus adeo invaluerint, speramus
Ma^ti vestrae abunde cognitum esse. Nec enim est inexploratum quibus locis predones illi
hactenus foti, ubi in nos armentur, quorsum predam predonumque referunt. Nos hoc
patientia interim vivimus qui catholicum ordinem professi ad nullorum sumus operatores.
Verum cum in generali conventu Elbingensi nuper placuisset, adversus has pestes ut
eliminarentur omnibus esse arma sumenda, sed quoniam intelligeremus edicto Ma^tis
vestrae ratum esse, non defuimus ab officio, sed primi in tantum scelus fuimus ultores.
Nam principio huius mensis cum in terris nostris quidam subditus vestrae Ma^tis civis Elbingensis
ab octo latronibus itinere publico appetitus ~~et bonis omnibus~~ utraque manu truncata
bonis etiam omnibus spoliatus esset, burgravius noster nox vocatis paucis subditorum nostrorum
manu crudelissimorum latronum vestigia in terras [illegible] sex [illegible] continuo
itinere insecutus eos prius quam sub [illegible] in [illegible]
prede dividende intentos invenit, unum ex eis [captum] Marchita nobili, aliis fuga
elapsis, cum universa preda ac ipsorum predonum equis et armis domum retulit. primus
[illegible] nobilis cui is locus subest, pretio habeo [illegible], qui etsi ad id nimis
esset [illegible], tamen non ille solum iam se iniuriam passum [illegible], quod sibi [illegible]
negotium forsitan cognoscere, sed et commendator in Balga et ipse etiam illustris dominus magister
captum illum latronem cum omni abacta preda ad se in Balgam reduci non postulat modo sed
etiam contendit, quam rem [illegible] domino nostro presuli Ma^ti vestrae latius exposuit. Sed cum
latrones [illegible] quam contra terrore in nos [illegible], qui primus [illegible]
nunc omnes in nos conversi novis diffidationibus comminationibus et crebris minis nobis
insultant, deinde et a domino magistro nobis [illegible] et [illegible] adeo [illegible] vidimus
adversus quam [illegible] modus nobis non est [illegible] dimicandi. est vereor
nisi Ma^tis vestra sua [illegible] clementia opem ferret, quam ut [illegible] potuimus
[illegible] causae [illegible] Ma^ti vestrae [illegible] cognoscere semper
habent [illegible]. humili igitur obsecratione eandem Ma^tem vestram rogamus
dignetur his [illegible] regia prudentia et [illegible] obviare, nosque et ceteros
[illegible] in [illegible] fluctuantes consiliis et presidio opportuno protegere et tueri
quo possimus et cultum divinum et nos ipsos qui pro felici statu sacri regni vestri orare non
cessamus sub umbra [illegible] melius [illegible] conservare. Offerentes fidelia
servitia nostra et ipsa [illegible] eidem Ma^ti vestrae quam ut diu [illegible] clementissimam
volumus, ~~[illegible]~~ Cupientes nos eidem humiliter esse commendatos. Ex
Warmia xxii mensis Julii Anno 1516

E. S. R. Ma^tis vestrae

Humiles et devoti Capellani
Capitulum Warmiense.